

**PEDOFILIA, NARKOTYKI,
BRUDNE DOLARY – Z TEGO
ŻYJE „PRAWORZĄDNA” HOLANDIA**

GROCHMAŁSKI: TUSKA
TRZEBA TŁUMACZYĆ
Z NIEMIECKIEGO NA POLSKI



Strefa Wolnego Słowa

GAZETA POLSKA

#TYGODNIK NIEPODLEGŁEGO POLAKA #W KAŻDĄ ŚRODĘ W TWOIM KIOSKU

JAROSŁAW KACZYŃSKI
UJAWNIA KULISY NEGOCJACJI

POLSKA SUWERENNOŚĆ ZOSTAŁA OBRONIONA

Mocny wywiad
specjalnie
dla „Gazety Polskiej”



CENA 5.99 PLN (w tym 8% VAT) www.gazetapolska.pl nakład 69 467 indeks 320919 #51 (1427) 16/12/2020



NASTĘPNY NUMER „GP”
UKAŻE SIĘ WE WTOREK
22 GRUDNIA



Wybierz instalację słoneczną Energa Grupa ORLEN

**Postaw na własną instalację słoneczną z Energa,
produkuj własny prąd i obniż swoje rachunki.
Zyskaj aż 25 lat gwarancji na panele oraz roczne ubezpieczenie
instalacji w wybranym wariancie.**

Zadzwoń pod 555 555 505 lub wypełnij formularz na www.energa.pl.

Koszt połączenia wg stawek Twojego operatora telefonicznego.

Remis ze wskazaniem

Tomasz
Sakiewicz

Tomasz
Sakiewicz
poleca

Nie podzielam hurraoptymizmu tych, którzy uważają, że rzuciliśmy Europę na kolana, a sprawy polskie w UE będą już biegle prosto i przyjemnie. Ale też absolutnie nie zgadzam się z tymi, którzy sądzą, że Polska jest dzisiaj bardziej zagrożona niż przed ostatnim porozumieniem w Brukseli. To zagrożenie, ryzyko dla naszej niepodległości, było i jest realne. Zrobiliśmy jednak, co w naszej mocy, by je zminimalizować. Moglibyśmy je całkiem zlikwidować, wychodząc z UE. Ale wtedy pojawiłoby się jeszcze większe ze strony Rosji. Dzisiaj Polska bez Unii byłaby słabsza, nie miałaby pieniędzy na rozwój armii, a dla USA nie stanowiłaby tak atrakcyjnego partnera, jakim jest teraz, będąc bramą do UE.

Polska nie weszła do Unii po to, żeby z niej wyjść, lecz by ją w jakiś sposób poszerzyć o wspólnotę atlantycką. Działania Niemiec i Francji przeszkadzają w tym w sposób zasadniczy. Sama Unia stanie się wkrótce projektem archaicznym. Nie wytrzyma konkurencji z USA i Chinami. Niebawem pewnie także z Indiami.

Ale nie zawsze bycie w Unii daje profity. Nie opłaca się, gdy nie pilnujemy własnego interesu. Nie daje korzyści, gdy sami rezygnujemy z niepodległości. W Unii są sami zdeklarowani przyjaciele. Oznacza to, że należy spać z siekierą w łóżku, trzymając strzelbę w szafie. Inaczej

zaprzyżąnią się z naszymi pieniędzmi, a na koniec oskarżą, że tolerujemy korupcję.

Propozycje Niemiec były całkowitym złamaniem traktatów. Faktycznie z tego się nie wycofały. Obiecały jednak, i to w wielu miejscach, że będą tak łamały traktaty, by to nam nie przeszkadzało. Czy to są żelazne gwarancje? Są papierowe. Ale zagrożenia też są papierowe. Mogliśmy pójść na udry, nie dostając żadnych gwarancji. Rząd wybrał strategię optymalną. Czy to koniec? Oczywiście nie. To absolutnie początek bitwy o kształt UE. Do tego potrzebna jest obecna ekipa Zjednoczonej Prawicy, bo żadna inna nie będzie w stanie egzekwować tych gwarancji. Obozowi niemieckiemu będzie zależało więc na obaleniu rządu. Broniąc naszej niepodległości, musimy starać się, by obóz Dobrej Zmiany mógł przetrwać jak najdłużej. Sam czasem jestem zmęczony jego niezręcznościami albo wpadkami. Ale radzenie sobie w dzisiejszej rzeczywistości to nie jest organizowanie SPA dla dziewczyn. Po drugiej stronie mamy gangsterów i nie dziwmy się, że nasi czasem tłuką porcelanę albo niechcący wejdą nam na odcisk. Patrzmy na całość, a całość jest po prostu lepsza. I jeszcze rzecz najważniejsza: czas pracuje na naszą korzyść. Wygraliśmy właśnie ten czas. Oby jak najdłuższy.

Rafał Zawistowski



Nie wiem, czy to idealny prezent na święta, ale na pewno polecam piękną rzecz. Album „Tamara Łempicka” wydawnictwa Bosh to arcydzieło samo w sobie. Ta skandalistka o wielonarodowym pochodzeniu w dużej mierze związana z Polską – genialna malarka, królowa Paryża początków ubiegłego wieku – jest na pewno również naszą wizytówką. Owszem, nie nadaje się na wzorce dla konserwatystów. Z drugiej strony, patrząc na dzisiejsze wzorce feministek, które straszą na polskich ulicach, proszę jednak o Łempicką. Jej obrazy emanują prawdziwą kobiecością, która nie może nie fascynować. A bez prawdziwych kobiet nie ma prawdziwych mężczyzn.

W numerze

TEMAT NUMERU

10 Ostateczna konfrontacja, której nie było

Maciej Kozuszek

14 Porozumienie Rady Europejskiej wywoła furję

Z prof. Ryszardem Legutką rozmawia Maciej Kozuszek

KRAJ

26 Nowak i jego podsłuchane rozmowy

Piotr Nisiztor

32 Lasy są kluczowe dla polskiej gospodarki

Z Andrzejem Koniecznym rozmawia Jacek Liziniewicz

36 Polityczne związki gangu przebierańców

Piotr Nisiztor

PUBLICYSTYKA

40 Tuska trzeba tłumaczyć z niemieckiego na polski

Piotr Grochmalski

44 Niemiec płakał, jak sprzedawał

Grzegorz Wszolek

46 „Gdyby w kuchni ktoś przy dziecku...”

Witold Gadowski

50 Mój pedofil jest lepszy niż twój

Dawid Wildstein

54 Opozycja, czyli jeździć bez głowy

Krzysztof Wołodźko

58 Jak amerykańskie media ukrywają dowody wyborczych fałszerstw

Iwo Bender

GOSPODARKA

72 Aptekarski układ zamknięty

Maciej Pawlak

HISTORIA

86 Generał, który w niebezpiecznych chwilach wszędzie był obecny

István Kovács

KULTURA

102 Odkurzyliśmy muzykę klasyczną

Z Mariann Peller rozmawia Sylwia Krasnodębska

104 Wołała role osób dojrzalszych od niej

Sylwia Krasnodębska

ŚRODOWISKO

106 Plan Liziniewicza

Jacek Liziniewicz



KRAJ



Jak Trzaskowskiemu i Budce lokalne układy Platformy grają na nosie

Piotr Lisiewicz

Stałe

1 Tomasz Sakiewicz

4 ZYIU NA KONIU HYZIU

25 Jacek Liziniewicz

25 Krzysztof Karnkowski

38 W INTERNETACH

48 Jerzy Targalski

48 Dawid Wildstein

49 Tomasz P. Terlikowski

49 Jan Pospieszalski

52 Joanna Lichocka

56 Józef Wiecek

60 Ryszard Czarnecki

65 ROSJA NA WESOŁO

66 WIEŚCI Z UE

78 KLUBY „GP”

87 Tadeusz Płużański

110 KULINARIA



112 MOTO

113 NAUKA

114 PLASTUSIOWY KOMENTARZ BARBARY PIELI

116 OBURZAJĄCA KRZYŻÓWKA LISIEWICZA

119 Marcin Wolski

119 Tomasz Łysiak

120 Katarzyna Gójska

121 Michał Rachoń

KRAJ



Jak kancelarie wykorzystują młodych prawników

Hubert Kowalski

ŚWIAT



Chory car to martwy car

Antoni Rybczyński

HISTORIA



Ręce złożone na pancerzu

Tomasz Łysiak

Dariusz Sapiński

Prezes Zarządu Grupy Mlekovita



**„Rozwinęliśmy polskie mleczarstwo
na światową skalę”**



&



Biedronka
Codziennie niskie ceny

**Razem możemy zrobić
więcej dla polskiej gospodarki**

KUPUJ CO POLSKIE

co tworzy wartość
dla polskiej gospodarki

biedronka.pl/kupujcopolskie



Piotr
Lisiewicz



News na Onecie „Lider Agrounii: na ministra rolnictwa dali nam idiotę”. A na nowego Leppera dali nam niedojdę, którego nazwiska nikt nie pamięta. I nawet Onet nie daje go w tytule, bo nikt by nie kliknął.

ZYZIU NA KONIU HYZIU

Jakie cechy powinien spełnić niezależny dziennikarz, nonkonformista, obrońca wolności słowa? Po pierwsze, posiadać drogi samochód. Po drugie, dbać o wygląd i „potrafić dobrze się ubrać”. Po trzecie, „wrosnąć w establishment”. Po czwarte, spełnić marzenie o prywatnym samolocie. Który z dziennikarzy sięgnął tego ideału? Tylko Andrzej Skworz, redaktor naczelny nie kupowanego przez (z grubsza) nikogo pisma „Press”. Tak, ten co prowadził galę Grand Press i wzywał dziennikarzy do walki z degermanizacją prasy lokalnej. By ktoś nie posądził mnie o niesłuszne przypisywanie mu owych cech, to cytuję z tekstu o Skworzu z „Wyborczej” z roku 2004: „Andrzej nie jeździ już po mieście czerwonym Traperem, lecz reprezentacyjnym volvo S-80. – Dbą o wygląd, potrafi się dobrze ubrać – twierdzą jego współpracownicy... Wrosł w establishment: działa w Rotary Club... Jakie ma marzenie? – Mieć oddział w Warszawie i latać stamtąd awionetką do Poznania”. Wiwat niezależność!

News na Onecie „Lider Agrounii: na ministra rolnictwa dali nam idiotę”. A na nowego Leppera dali nam niedojdę, którego nazwiska nikt nie pamięta. I nawet Onet nie daje go w tytule, bo nikt by nie kliknął.

Lidia Dudziak, radna PiS z Poznania, napisała o tych, którzy wtargnęli w czasie mszy do kościoła: „To jest zwyrodniała swołocz opętana przez diabła”. Atak na diabła spotkał się z reakcją jego przyjaciół, czyli zwyrodniałej swołocz opętanej przez Jaśkowiaka, skupionej w klubie radnych PO. Opętańcy odwołali Lidię Dudziak ze stanowiska przewodniczącej komisji sportu. Gdyż w sporcie rządzić muszą układy bliskie PO i SLD, które zdefiniowano w piosence do filmu „Piłkarski poker”: „Poker, poker, piłkarski poker trwa. Diabeł w piłkę gra!”.

Młody Bolek, czyli Jarosław Wałęsa, poseł PO, wdał się w polemikę w jednym użytkownikach Facebooka, wobec którego użył określeń „p...do” „cioto” oraz „szmato”. Cóż, dożyliśmy czasów, gdy wypowiedzi posłów trudno odróżnić od tekstów piosenek Dr Huckenbusha. Przepraszam, prze-



„Andrzej nie jeździ już po mieście czerwonym Traperem, lecz reprezentacyjnym volvo S-80. – Dbą o wygląd, potrafi się dobrze ubrać ... Wrosł w establishment: działa w Rotary Club... Jakie ma marzenie? – Mieć oddział w Warszawie i latać stamtąd awionetką do Poznania”.

„Gazeta Wyborcza” o Andrzeju Skworzu, naczelnym pisma „Press”, 2004

sadziłem. Dr Huckenbush używa ich z nieporównywalnie większym polotem.

Lewacka palma z ronda de Gaulle'a skończyła 18 lat. Z tej okazji Muzeum Sztuki Nowoczesnej opublikowało list „od palmy” do mieszkańców: „Odzywam się, ja, sztuczne drzewo, bo zaczynam się niepokoić... Koniec z tym ryciem w ziemi, emitowaniem dwutlenku węgla do atmosfery, wycinaniem lasów, zjadaniem zwierząt”. To ja odpowiem ci, droga palmo, językiem twoich przyjaciół: „Morda w kubel, bo cię wytniemy, ty szmato! Wyp... z ronda de Gaulle'a!”.

Grupa Stonewall (czy są tam może jakieś Wąsowscy cioty?) podsumowała projekt „Szkoła wolna od homofobii i transfobii” dofinansowany przez Miasto Poznań. Jak ocenili warsztaty ich uczestnicy? „Z naszych warsztatów skorzystało ok. 100 osób pracujących z młodzieżą w Poznaniu. 100% potwierdziło, że zakres szkoleń i przygotowanie osób prowadzących było na bardzo wysokim poziomie!”. Tylko 100 procent?! Homofobia! W wyborach w Petersburgu w 2014 roku jeden z kandydatów otrzymał 105 proc. głosów!

Swoją drogą to dobra wiadomość, bo wskazuje, że warsztaty odbyły się we własnym gronie i ciemnego ludu za bardzo nie indoktrynowano. A może bym tak ja zrobił podobny numer? Założę Fundację Edukacji, Wychowania i Dobroczynności „Zakaz Pedalowania”. I przeprowadzę warsztaty w klubach „GP”. Oczywiście za pieniądze jakiejś prawicowej gminy.

Pisałem tu o żenującym zjawisku, jakim są lansowane przez „GW” „Polskie Babcie”, na czele z Katarzyną Augustyniak. Tymczasem okazało się, że Babcia Kasia zrobiła w organizacji rozłam – nie życzy sobie być kojarzona z Polskimi Babciami. Wydawałoby

się, że owe babiny to element wynarodowiony, a jednak sarmackie warcholstwo siedzi w Babci Kasi wbrew niej samej! Taka jest siła polskości!

Jak Państwo pamiętają, ogłosiłem się kuratorem Jana Krzysztofa Ardanowskiego, wobec którego rozpocząłem serię wychowawczych wpisów sugerujących by... wszedł na dobrą drogę. Moja praca przyniosła skutek. Zgodnie z obietnicą, odnotowuję udaną resocjalizację podopiecznego. Nie jest całkiem satysfakcjonująca, ale jest. Na razie nie widzę więc potrzeby kolejnej bluzgoterii. Niektórzy pomyślą, że potrzebował by jej



senator Jan Maria Pajackowski, ale w tym beznadziejnym przypadku nie podejmuję się roli kuratora. Pajackowski niebawem sam zademonstruje nam, skąd wzięły się jego głupawe wypowiedzi.

Solidarna Polska nie popełniła spektakularnego samobójstwa i nie wystąpiła z koalicji. W jej demonstracjach chodzi wyłącznie o to,

by zwiększać szanse na to,

by w przyszłości Ziobro, a nie Morawiecki, został następcą Kaczyńskiego. No więc SP kreuje się na radykałów w Zjednoczonej Prawicy, czym choćby ja, jako radykał, powinienem być zachwycony. Ale jakoś nie jestem. Kalkulacja, że najbardziej ideowy elektorat PiS zachwyci się radykałem Ziobro, jest chybiona. Ziobro w ogóle nie ma takiego wizerunku. Powód jest tyleż taktownie pomijany, co oczywisty – sposób prowadzenia śledztwa smoleńskiego. Owszem, Ziobro ma atuty, sam wspierałem go w sporze z prezydentem w sprawie reformy sądów. Ale pretenjonalne demonstrowanie radykalizmu przy okazjach takich jak negocjacje z UE, zwolenników PiS tylko wkurza. Wywalczyliśmy ile się dało, teraz czas na dyskutowanie tego sukcesu w sondażach, a nie pozerskie jęki wątpliwych „radykałów” w imię tego,

by Ziobro kiedyś został wodzem. Od decydowania, kiedy osiągniemy tyle, ile się dało, jest Jarosław Kaczyński. A kto się dalej wyśmądla, ten nigdy naszym wodzem nie będzie – taka jest reakcja blisko 100 proc. zwolenników ZP. Szansa dla Ziobry na zyskiwanie szacunku w naszych szeregach jest oczywista – szczyście komunistów w sądach do końca. Wtedy czy zostanie wodzem, czy nie, przejdzie do historii.

Olga Tokarczuk nie nadaje się na noblistkę, ale o dziwo (wiem, nie mówi się „o dziwo”, tylko proszę pani) zgadzam się z nią, że „trawi nas ciężka choroba dosłowności”: „Pierwszym objawem jest brak zdolności do rozumienia metafory, potem pauperyzacja poczucia humoru. Towarzyszą jej skłonność do wydawania ostrych, pochopnych sądów, nietolerancja niejednoznaczności, zanik wrażliwości na ironię”. Tak, zjawisko to występuje zarówno po polskiej, niepodległościowej, jak i po antypolskiej, ubekistańskiej stronie barykady.

GP

Mirosław Andrzejewski { RODZINA WACIAKÓW }



www.galeriazbirk.pl

POLSKA SUWERENNOŚĆ ZOSTAŁA OBRONIONA

FOT. FOTOGRAFIAKULAGMAIL.COM

Z JAROSŁAWEM KACZYŃSKIM
ROZMAWIAJĄ KATARZYNA GÓJSKA
I TOMASZ SAKIEWICZ

Rząd Zjednoczonej
Prawicy jest gwarantem
suwerenności Polski,
gwarantem najlepszej
obrony naszych interesów.
Zachwianie większością
może utorować drogę do
władzy ludziom, którzy
bez mrugnięcia okiem
oddaliby naszą niezależność
i sprowadzili nasz kraj do
pozycji proszącego o łaskę
przy drzwiach najsilniejszych
unijnych graczy – mówi
Jarosław Kaczyński,
wicepremier i prezes PiS.

ARENA WALKI

Jeszcze nieraz znajdziemy się
w sytuacji, w której będziemy
musieli twardo walczyć
o swoje, bo UE to żadna
rodzina czy krąg przyjaciół,
tylko arena twardej walki
o własne interesy. Jednak
dzięki efektem negocjacji
sprzed kilku dni nasza pozycja
jest znacznie mocniejsza.

**Panie Premierze, w jakim stopniu
porozumienie dotyczące budżetu
i koronafunduszu zabezpiecza naszą
suwerenność?**

Opiszę tę sytuację obrazowo: udało się
uzyskać narzędzia, które sprawią, iż teraz
obrona naszej suwerenności, a jest to nie-
ustające zadanie, będzie nieporównywalnie
skuteczniejsza, niż byłaby bez tego porozu-
mienia. A dodatkowo proszę pamiętać, iż
utrzymaliśmy fundusze, które w tej perspek-
tywie budżetowej są dla naszego kraju nie-
zwykle korzystne. Powiem zupełnie szczerze,
że udało się zdobyć wszystko, co tylko było
teraz do zdobycia możliwe, by z jednej strony
zabezpieczyć pozycję naszego kraju wewnątrz
Wspólnoty, a z drugiej wzmocnić polski
budżet, polską gospodarkę potężnym za-
strzykiem pieniędzy.

**Pojawiają się głosy, również z obozu
Zjednoczonej Prawicy, że trzeba było
domagać się wycofania rozporządzenia
wprowadzającego mechanizm oceny
praworządności.**

Niestety wszyscy, którzy tę opinię formu-
lują, zdają się nie rozumieć, iż nawet gdyby
ten mechanizm został wykreślony, cofnięty,
to za kilka miesięcy mógłby zostać wprowa-
dzony ponownie i wówczas nie mielibyśmy
żadnej możliwości zablokowania go. Przy-
pominam, że wystarczyłoby do tego większość
kwalifikowana, a ta by się znalazła. Jeszcze
raz powtarzam – to, co udało się wyne-
gocjować, w najwyższym możliwym stopniu
zabezpiecza nasze interesy. Ktoś oczywiście
mógłby powiedzieć, że gdyby jednak później
przeforsowano ten mechanizm, kłamstwo
widoczne byłoby jak na dłoni. Ale co to dla
nas za interes? Co to za odkrycie, iż w ra-
mach Unii dochodzi do oszukiwania part-
nerów negocjacyjnych?

**A jeśli jednak zostaliśmy oszukani
i unijna większość za chwilę będzie
łamać zawarte właśnie porozumienie?**

Bierzemy taką ewentualność pod uwagę,
przecież nie jesteśmy naiwni. I właśnie dlatego
uważam, że ustalenia dają nam silne argu-
menty w walce o nasze interesy. A jeśli nasi
partnerzy dotrzymają słowa, to tym lepiej,
bo wówczas okaże się, iż wygraliśmy wszyst-
ko, co było do wygrania.

**Czyli uzbrojeni w to porozumienie
będziemy trudniejsi do ogrania w jakichś
kolejnych przesileniach unijnych?**

Dokładnie tak. To porozumienie jest jak
szabla, której w razie ataku na nas będziemy
mogli użyć. Gdybyśmy go nie wynegocjo-
wali, nie doprowadzili do tak precyzyjnego
opisania efektów naszych ustaleń, ujęcia
ich w obowiązującą w Unii formułę wytycz-
nych, wówczas bylibyśmy nieporównywalnie
mniej skuteczni.

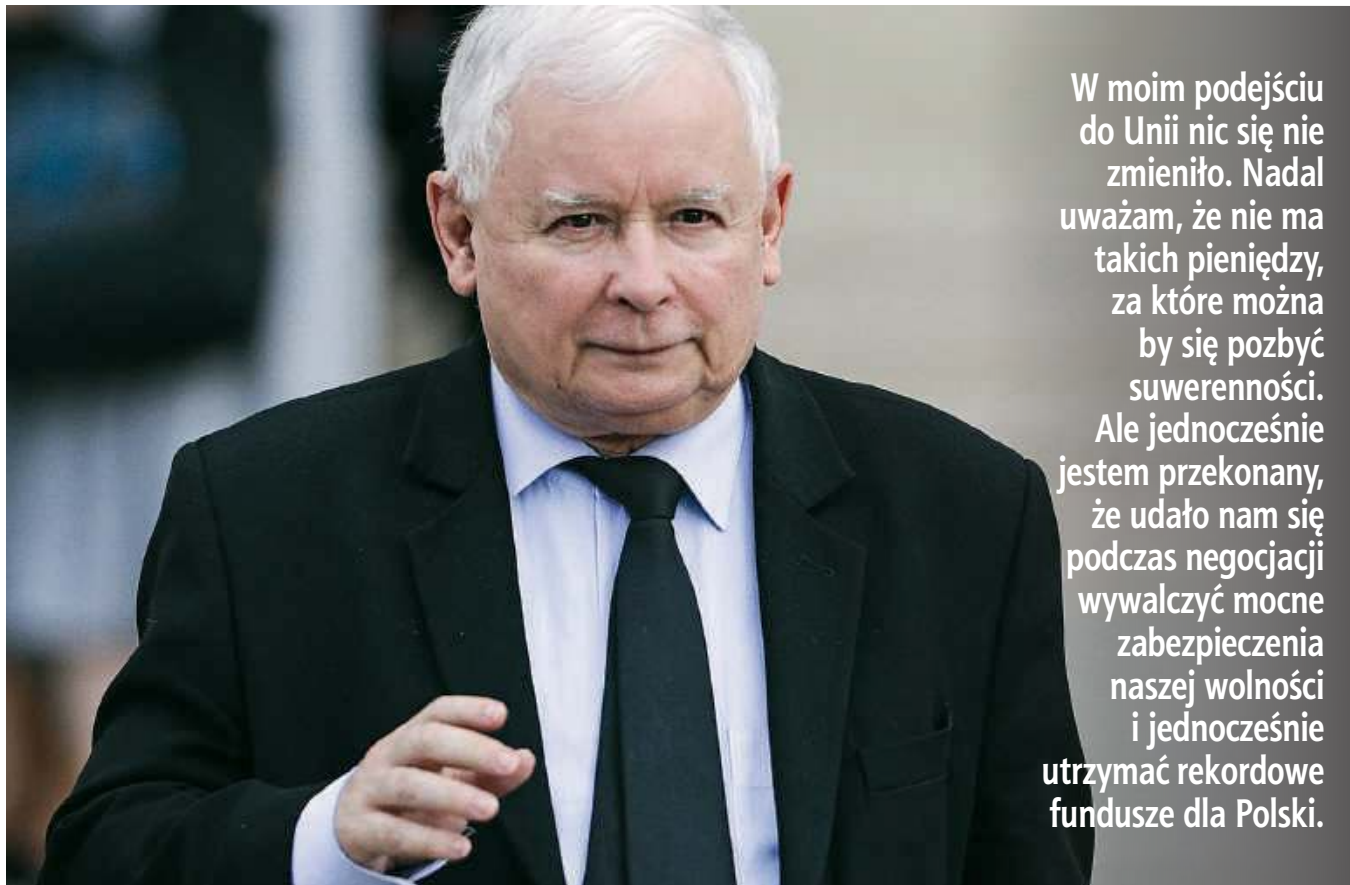
Proszę pamiętać, iż my ciągle mamy kontrolę
nad sytuacją. Komisja Europejska wywiązała
się ze swojego zobowiązania i zatwierdziła
wytyczne – słowo w słowo – które zostały
wynegocjowane. Teraz Sejm będzie mógł za-
palić zielone światło dla powołania tzw. koro-
nafunduszu. Jasno to zakomunikowaliśmy na
szczycie – zgodę Sejmu uzależniamy od reali-
zacji ustaleń.

**Panie Premierze, sęk w tym, iż od
jakiegoś czasu praworządność w działa-
niu instytucji unijnych jest dość wątpli-
wa. Łamane są traktaty, ustalenia, dobre
obyczaje. Unia nie jest najbardziej
wiarygodną instytucją.**

Podzielam tę opinię. Ale każdy racjonalnie
myślący człowiek przyzna, iż w takiej sytuacji
lepiej mieć oręż do obrony, niż pozostać bez
niego. Wynegocjowane porozumienie jest
tym orężem.

**A jak Pan Premier ocenia stabilność
większości rządzącej?**

Liczę na to, że zwycięży rozsądek i troska
o interes Polski. Jesteśmy szerokim obozem
politycznym, nie jest tajemnicą, iż w ramach
Zjednoczonej Prawicy są ugrupowania nie-
kiedy znacznie się różniące w niektórych
kwestiach, ale mimo wszystko zdające sobie
sprawę z tego, iż tylko ta większość rządowa
jest w stanie najskuteczniej reformować nasz
kraj, rozwijać go i bronić jego suwerenności.
Jaka Unia jest, każdy widzi, ale nasza formacja
jako jedyna jest w stanie w tych skrajnie
trudnych i nieuczciwych warunkach bronić
interesu Polski. Co by było, gdyby na naszym
miejscu był rząd Koalicji Obywatelskiej?
Zgodziliby się na wszystko. Bez tego rządu
nie ma możliwości obrony naszej suweren-
ności, bo nikt inny nie użyje tych narzędzi,
tej szabli, którą dostaliśmy.



W moim podejściu do Unii nic się nie zmieniło. Nadal uważam, że nie ma takich pieniędzy, za które można by się pozbyć suwerenności. Ale jednocześnie jestem przekonany, że udało nam się podczas negocjacji wywalczyć mocne zabezpieczenia naszej wolności i jednocześnie utrzymać rekordowe fundusze dla Polski.

Panie Premierze, czy ten ostry ton wypowiedzi polityków PiS przed szczytem to był blef, czy też rzeczywiście byliśmy przygotowani na wariant B, w którym blokujemy budżet, nie przystępujemy do koronafunduszu?

Byliśmy i jesteśmy zdeterminowani w kwestii obrony naszej suwerenności. Kilka tygodni temu w rozmowie z państwem powiedziałem, że nie będzie naszej zgody na narzucanie Polsce rozwiązań sprzecznych z naszą kulturą i tradycją, do podporządkowania naszego kraju głównym unijnym graczom. Nic się nie zmieniło i nie zmieni w tej sprawie. Dlatego twardo negocjowaliśmy i domagaliśmy się bardzo precyzyjnych zapisów chroniących naszą wolność. Oczywiście, że byliśmy gotowi iść drogą niezgody na budżet, byliśmy przygotowani na nieprzystępowanie do funduszu odbudowy, ale tylko wówczas, gdyby efekt negocjacji był niekorzystny i niosłby duże ryzyko dla suwerenności naszego kraju. Ale jednocześnie mieliśmy świadomość, iż ten wariant wiązałby się z oczywistymi niedogodnościami.

W moim podejściu do Unii nic się nie zmieniło. Nadal uważam, że nie ma takich pieniędzy, za które można by się pozbyć suwerenności. Ale jednocześnie jestem przekonany, że udało nam się podczas negocjacji wywalczyć mocne zabezpieczenia naszej wolności i jednocześnie utrzymać rekordowe fundusze dla Polski. A to bez wątpienia znacznie korzystniejsza sytuacja niż opisany przed chwilą wariant B. Chcę powiedzieć jeszcze jedno: póki my rządzymy, pozycja naszego państwa zawsze będzie tak twardo broniona, ale broniona racjonalnie, z głową i jak widać niezwykle skutecznie. Nie mamy kompleksów, nie jesteśmy jakąś gorszą częścią UE. Nie. Jesteśmy pełnoprawnym, dużym, silnym państwem członkowskim i nikt nas nie będzie sprowadzał do parteru. Polacy mają być we Wspólnocie tak samo szanowani jak Niemcy i Francuzi.

Nie było w szeregach Zjednoczonej Prawicy takich, którzy zwątpili, mówili, że się nie da, że należy się poddać i wziąć to, co dadzą?

Rzeczywiście pojawiali się tacy, którzy uważali, że porwali się z motyką na słońce, ale jak widać, nie doceniali naszej siły i naszych umiejętności albo po prostu puścili im nerwy. Tymczasem podczas takich negocjacji trzeba trzymać emocje na wodzy i odważnie, bez kompleksów walczyć o swoje. Ci, którzy na chwilę przed finałem rejterują i mówią, iż się nie da, delikatnie mówiąc nie dają najlepszego świadectwa swojej dojrzałości politycznej.

Czy tą twardą postawą powstrzymaliśmy proces federalizacji Unii?

Jestem daleki od takiego triumfalizmu. Oceniam sytuację bardzo realistycznie: uzyskaliśmy tyle, ile można było uzyskać. Zdobiliśmy kilka bardzo pomocnych narzędzi do obrony naszej suwerenności, ale nie mijemy złudzeń – działania na rzecz federalizacji będą nadal prowadzone. Jeszcze nieraz znajdziemy się w sytuacji, w której będziemy musieli twardo walczyć o swoje, bo UE to żadna rodzina czy krąg przyjaciół, tylko arena twardej walki o własne interesy. Jednak dzięki

FOT. ANDRZEJ HULIMKA / FORUM

efektem negocjacji sprzed kilku dni nasza pozycja jest znacznie mocniejsza.

Czy nie jest tak, że i w UE może się sporo zmienić i za jakiś czas rozkład sił okaże się bardziej dla nas korzystny?

Niektórzy prognozują taki obrót spraw. Z zainteresowaniem słuchamy wypowiedzi pana premiera Słowenii, która przecież za jakiś czas przejmie przewodnictwo we Wspólnocie. Nie wiadomo, jaki układ polityczny wyłoni się po wyborach we Włoszech. Być może rzeczywiście pojawiają się okoliczności bardziej sprzyjające temu, co Unię tworzyło i tworzyć powinno – Europie ojczyzn.

Z tego, co Pan Premier mówi, wynika, że mamy do czynienia z rolowaniem konfliktu, odsuwaniem go w czasie, ale spór o pryncypia między Polską czy Węgrami a większością UE nie znika.

Widzimy tę sytuację tak: bronimy suwerenności Polski, odsuwamy niebezpieczeństwa, zdobywamy argumenty i narzędzia, które pozwolą nam w przyszłości chronić interesy naszego kraju jeszcze skuteczniej, a jednocześnie korzystamy z wszelkich pozytywów związanych z obecnością we Wspólnocie.

Czy można było jeszcze mocniej zabezpieczyć nasze stanowisko? Na przykład na poziomie niemal traktatowym? Krytycy rezultatów negocjacji mówią, że to, co uzyskała Polska, to tylko deklaracja polityczna bez znaczenia prawnego.

Teoretycznie można sobie wyobrazić, iż to samo, co uzyskaliśmy, byłoby zapisane w postaci protokołu, który jako swego rodzaju dodatek do traktatów miałby większą moc. Ale wówczas musiałby on być zatwierdzony przez wszystkie państwa członkowskie w procedurze ratyfikacji, a to byłby proces długi, żmudny i moim zdaniem w części krajów zakończony odrzuceniem. Jednym słowem nic by z tego nie wyszło. Mamy teraz tzw. konkluzje, które oczywiście nie są zapisami prawnymi – tu zgoda – ale mają bardzo silne znaczenie i w dotychczasowej praktyce zawsze były traktowane jako ustalenia obowiązujące, nienaruszalne. Ale są też już wytyczne, które mają zgoła innego typu znaczenie. Ktoś może oczywiście powiedzieć,

że to może się zmienić i staną się niewiele warte. Nie przeczę. Może tak się stać. Ale proszę pamiętać, że mamy do czynienia coraz częściej z łamaniem traktatów, czyli najsilniejszych zapisów. Niestety Unia ma problemy z praworządnością. A w takiej sytuacji nic nie daje stuprocentowej pewności. Taka jest niestety przykra prawda o dzisiejszej UE. W takich realiach musimy bronić polskiego interesu, a nie karmić się fikcją. Trzeba twardo stąpać po ziemi i my to robimy.

Czy zaskarżymy mechanizm praworządności do TSUE?

Tak, zrobimy to.

Podobno podczas negocjacji część państw domagała się od nas, byśmy uznali, że mechanizm praworządności jest zgodny z traktatami. Czy to prawda?

Tak, pojawiło się takie oczekiwanie. Ale nasza odpowiedź była, jest i będzie taka sama – mechanizm uzależnienia budżetu od praworządności nie jest zgodny z prawem UE.

W mediach pojawiły się informacje, że premier Orbán na ostatniej prostej zaczął wycofywać się z twardego kursu, jaki obraliśmy, i chciał dogadać się z większością unijną sam, zostawiając Polskę na lodzie. Czy tak było?

To absolutne kłamstwo. Chcę to bardzo jasno powiedzieć: pan premier Wiktor Orbán współpracował z nami niezwykle lojalnie i uczciwie. Do końca, nawet wówczas, gdy na pełnym finiszu my jeszcze podjęliśmy walkę o zapis mówiący o „dążeniu do zajęcia stanowiska” przez Radę Europejską zamiast proponowanego „dążenia do konsensusu”. Co oznacza de facto konieczność jednomyślności.

Gdybyśmy mieli używać terminologii wojskowej, to jak określiłby Pan Premier efekt negocjacji?

Jako sukces operacyjny. Czyli większy niż taktyczny, ale nie strategiczny.

Opozycja ciągle krzyczy, że chce wyprowadzić Polskę ze Wspólnoty.

A czy ktoś poważnie traktuje te wypowiedzi? Nawet nie wiem, czy oni sami – przynajmniej wszyscy – w to wierzą. Proszę darować, ale to są ludzie kompletnie niepo-

ważni. Kilka dni temu w Sejmie oświadczyli, że są opozycją totalną, bo myśmy im taką gębę przypięli. Zastanawiam się, czy ich lider w ogóle rozumie znaczenie słów, które wypowiada. Warto, by ci, którzy dziś krytykują efekty negocjacji, zastanowili się, co by było, gdyby właśnie ta opozycja prowadziła ustalenia w ramach UE, gdyby tacy ludzie trzymali ster polskich spraw? Apeluję do naszego środowiska politycznego, wszystkich jego opcji, by oceniać sytuację nie przez pryzmat emocji, lecz racjonalnie. Rząd Zjednoczonej Prawicy jest gwarantem suwerenności Polski, gwarantem najlepszej obrony naszych interesów. Zachwianie większością może utorować drogę do władzy ludziom, którzy bez mrugnięcia okiem oddaliby naszą niezależność i sprowadzili nasz kraj do pozycji proszącego o łaskę przy drzwiach najsilniejszych unijnych graczy.

Panie Premierze, jak Pan ocenia, dlaczego doszło do kompromisu? Powiedział Pan o determinacji polskich negocjatorów, pana premiera Morawieckiego, o naszych interesach, a jaki interes w osiągnięciu porozumienia miała druga strona?

Dobiega końca niemiecka prezydencja. Pani Kanclerz deklaruje, iż niebawem zakończy karierę polityczną. Brak porozumienia byłby porażką Berlina i oznaczałby kryzys we Wspólnocie, a tym samym kładłby się cieniem na dokonaniach pani Merkel. Byłby ciemną kartą na zwieńczenie działalności publicznej. Bez wątplenia szefowa niemieckiego rządu chciała tej sytuacji uniknąć i działała na rzecz osiągnięcia zgody. Współpracując z Węgrami, mieliśmy świadomość tych uwarunkowań i wykorzystaliśmy je jako okoliczność sprzyjającą. Uznaliśmy, że właśnie teraz możemy uzyskać najwięcej, że odkładając rozmowy na czas kolejnej prezydencji, popełnimy błąd.

Są tacy, również w obozie Zjednoczonej Prawicy, którzy oceniali sytuację odwrotnie. Twierdzili, iż to z prezydentą portugalską będzie nam łatwiej negocjować.

Oceniliśmy sytuację inaczej, że najszybciej osiągniemy akceptowane przez wszystkich stanowisko właśnie teraz, i efekty negocjacji potwierdzają, że się nie pomyliliśmy. GP



Z jednej strony korzystne dla Polski konkluzje szczytu, z drugiej strony utrzymanie w mocy niekorzystnego rozporządzenia. UE jeszcze raz pokazała, że w jednej kwestii nie ma sobie równych – w odkładaniu palących problemów na później.

Artykuły prasowe, wypowiedzi George’a Sorosa, Donalda Tuska, komentarze przedstawicieli opozycji i Zjednoczonej Prawicy – jak po każdym unijnym szczycie, ruszyła giełda, mająca ustalić prawdziwych zwycięzców negocjacji europejskich przywódców. Odpowiedni dobór cytatów i położenie akcentów pozwala na stwo-

wienie wrażenia, że albo rządy Polski i Węgier poniosły sromotną porażkę, albo osiągnęły epokowe zwycięstwo. Bliższa rzeczywistość, choć oczywiście dużo mniej ciekawa, interpretacja jest taka: efekty szczytu nie zadowolą maksymalistów z żadnej ze stron. Radykałowie z PE i Komisji chcieli, by Rada Europejska przyklepała w końcu mechanizm warunkowości,

który w przeciwieństwie do procedury z art. 7, miałby zęby. A nimi realnie można byłoby straszyć Polskę i Węgry. To się nie udało. Z kolei dla eurosceptyków, także dla niektórych polityków obozu Zjednoczonej Prawicy, weto wobec budżetu miało być szansą na ostateczne i konkluzywne zakończenie procesu grillowania Polski. To też nie miało miejsca. Ostatecznie

właściwe pytanie, które należy postawić, dotyczy tego, nie jakiej polityki europejskiej byśmy sobie życzyli, ale tego, jaka polityka europejska jest możliwa w obecnym politycznym krajobrazie UE. Z jednej strony mamy argument, że rezygnując z weta, premier Morawiecki oddał dobrowolnie walizkę z ostatnim guzikiem atomowym, jaki Polska miała do swojej dyspozycji. Z drugiej – naiwne jest lekceważenie środowiska politycznego, w którym prowadził negocjacje, gdzie jednak zdecydowana większość państw, z tych czy innych powodów, nie chciała stanąć po stronie Polski i Węgier. Z równą dozą realizmu można by wymagać od europarlamentarzystów, którzy dziś krytykują premiera Morawieckiego, by przekonali do polskich racji swoich kolegów z PE.

Korzystne konkluzje

Gdyby interpretować konkluzje zakończonego w ubiegły piątek szczytu w izolacji, bez brania pod uwagę kontekstu całego procesu politycznego UE, to nie ma wątpliwości, że są one z punktu widzenia Polski niezwykle korzystne. Unijni przywódcy zgodzili się na zapisy, które w jasny i radykalny sposób ograniczają rozumienie mechanizmu warunkowości i tak naprawdę zmieniają jego charakter. Kluczowy dla nas zapis konkluzji określa cel mechanizmu warunkowości jako ochronę budżetu UE, w tym funduszu Next Generation EU (Fundusz Odbudowy). To interpretacja bliższa polskiej i zgodna z traktatami, w której zagrożeniem dla realizacji budżetu jest na przykład defraudacja środków, korupcja czy nieprzejrzyste zasady audytowe, a w mniejszym stopniu chodzi o to, w jaki sposób choćby powołuje się sędziów w Polsce. Punkt 2b konkluzji dodatkowo zawiera zapis, który głosi, że stosowanie mechanizmu warunkowości będzie „obiektywne, uczciwe, bezstronne i oparte na dowodach, zgodne z odpowiednimi procedurami, zasadą niedyskryminacji i równego traktowania państw członkowskich”. Kluczowy jest też fragment konkluzji, który głosi, że środki, które ewentualnie miałyby być odebrane lub wstrzymane państwom w ramach warunkowości, muszą być „proporcjonalne do wpływu naruszeń praworządności

W SKRÓCIE

Unijni przywódcy zgodzili się na zapisy, które w jasny i radykalny sposób ograniczają rozumienie mechanizmu warunkowości i tak naprawdę zmieniają jego charakter.

na należyte zarządzanie finansami Unii lub na interesy finansowe Unii”. A co najważniejsze: „Związek przyczynowy między takimi naruszeniami a ich negatywnymi konsekwencjami dla interesów finansowych Unii będzie musiał być wystarczająco bezpośredni i należycie ustalony”. Ten ostatni fragment zabezpiecza nas do pewnego stopnia przed najbardziej rozbuchanymi zarzutami dotyczącymi tzw. praworządności w Polsce. Nie można oczywiście wykluczyć, że szczególnie zjadli zwolennicy ataków na Polskę będą tworzyć efektowne analizy, których celem będzie udowodnienie, że działanie Trybunału Konstytucyjnego w Polsce czy Krajowej Rady Sądownictwa w jakiś sposób uniemożliwia na przykład sprawiedliwy rozdział dopłat dla rolników, ale udowodnienie bezpośredniego związku pomiędzy jednym a drugim będzie już niezwykle karkołomne.

W konkluzjach umieszczono też kilka fragmentów, których celem miało być zaznaczenie, że ewentualne postępowania w mechanizmie warunkowości nie mogą się odbywać zupełnie poza Radą Europejską. Moc i realne oddziaływanie tych zapisów są jednak wątpliwe. „W przypadku gdy zainteresowane państwo członkowskie złoży wniosek, o którym mowa w motywie 26 Rozporządzenia, przewodniczący Rady Europejskiej umieści ten punkt w porządku obrad Rady Europejskiej. Rada Europejska będzie dążyć do przyjęcia wspólnego stanowiska w tej sprawie” – czytamy w punkcie 2j. W praktyce nie będzie to oznaczało, że Rada Europejska będzie zatwierdzała procedurę na zasadzie jednomyślności, co dawałoby na przykład Polsce możliwość

jej blokowania, a odgrywać będzie rolę konsultacyjną.

Po stronie Polski i Węgier jest też możliwość podjęcia ścieżki prawnej, czyli zaskarżenie rozporządzenia do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej jako niezgodnego z traktatami. Złożenie takiej skargi zapowiedział już premier Morawiecki. Oczywiście naiwnym byłoby sądzić, że TSUE będzie tę sprawę rozstrzygał w sposób bezstronny i tylko na podstawie argumentów prawnych. Jednocześnie, jak pokazała to utajniona przez długi czas analiza unijnych służb prawnych, argument mówiący o tym, że rozporządzenie tworzy mechanizm pozatraktatowy i dotyczy spraw, które już objęte są art. 7, trudno będzie zlekceważyć.

Gra toczy się dalej

Na konkluzje szczytu można patrzeć z optymizmem, ale kluczowe pytanie brzmi: jaką rolę odgrywają konkluzje Rady Europejskiej w skomplikowanym procesie decyzyjnym w Unii Europejskiej i na ile są wiążące dla innych instytucji. „Te konkluzje są trwałym aktem prawa europejskiego; są bliskie prawu pierwotnemu, są bliskie traktatom w tym sensie, są ponad rozporządzeniami” – powiedział Mateusz Morawiecki. Dodał, że rozporządzenie może ulec zmianie, „Ale rozporządzenie, które musi być zgodne z tymi konkluzjami, które dzisiaj przyjęliśmy, nie jest proste do zmiany. Takie rozporządzenie można zmienić tylko wtedy, kiedy zmienia się konkluzje w przyszłości” – mówił premier. Oczywiście te słowa Mateusza Morawieckiego należy traktować z dużą dozą dystansu i ostrożności. W ścisłym sensie konkluzje nie są bowiem aktami prawa europejskiego, a ich realizacja w dużej mierze zależy od tego, czy pomiędzy poszczególnymi instytucjami UE istnieje porozumienie, a tego w ostatnim czasie było jak na lekarstwo.

Przy okazji warto pamiętać, że nie musimy sięgać do zamierzonych czasów, by odnaleźć przykłady tego, jak inne instytucje UE lekceważą konkluzje szczytu Rady Europejskiej. Po lipcowym szczycie, który nawet w nieprzychylniej nam europejskiej prasie określany był jako sukces



Polski i Węgier, drużyna negocjacyjna premiera Morawieckiego nie kryła zadowolenia. Rozwodniony język konkluzji odnoszących się do mechanizmu warunkowości miał być tarczą chroniącą naszą suwerenność i budżetowe interesy. Ten argument w jakimś sensie ciągle zachowuje wiarygodność, bo oczywiste jest, że takie konkluzje były dla nas lepsze niż alternatywa: Rada Europejska śpiewająca w jednym chórze z Komisją i radykałami z parlamentu. Jednocześnie trudno zaprzeczać oczywistym faktom. Tarcza nie zadziałała w tym sensie, że rozporządzenie przygotowane przez prezydencję niemiecką i zaakceptowane na spotkaniu ambasadorów przy UE zupełnie te ustalenia zignorowało. Okazało się, że mgliste konkluzje nie tylko chronią Polskę. Jednocześnie są okazją, której nie przepuszczą brukselskie grube ryby, które od lat pływają i polują w mętnej wodzie.

Zrozumieć trzeba fakt, że w przeszłości ustalenia Rady Europejskiej mogły być

Gdyby interpretować konkluzje zakończonego w ubiegły piątek szczytu, bez brania pod uwagę kontekstu całego procesu politycznego UE, to nie ma wątpliwości, że są one z punktu widzenia Polski niezwykle korzystne

traktowane w sensie praktycznym jako prawo, ze względu na istnienie pewnych nieformalnych mechanizmów i utartych ścieżek, po których chadzali europejscy biurokraci. Sama obecność i uczestniczenie w rozmowach szefa Komisji było wystarczającym gwarantem, że to, co ustalą europejscy przywódcy, potem zostanie zaakceptowane nie tylko przez KE, ale i przez parlament. Sytuacja się jednak radykalnie zmieniła, a Ursula von der Leyen nie ma tak komfortowej pozycji jak jej poprzednicy. Obraz, w którym mamy z jednej strony chaotyczną grę narodowych interesów w Radzie Europejskiej, a z drugiej instytucje UE, które są monolitem i mówią jednym

głosem, należy do przeszłości. Von der Leyen nie ma kontroli nad PE i nawigowanie pomiędzy negocjowaniem kruchych kompromisów na Radzie Europejskiej a schlebaniem coraz bardziej radykalizującemu się parlamentowi będzie kluczową próbą całej jej kadencji. To może doprowadzić też do tego, że europejski okręt, który nigdy szczególnie nie zachwycał swoją zwrotnością, stanie się zupełnie niesterowny.

Nie ma wątpliwości, że gra o mechanizm warunkowości dopiero się rozpoczyna. A UE po raz kolejny pokazała, że nawet stojąc nad przepaścią, nawet „za pięć dwunasta”, najbardziej lubi te rozwiązania, które wcale rozwiązaniem nie są. **GP**

MATERIAŁ
MARKETINGOWY



Śpisz spokojnie,
bo jest ktoś,
na kim możesz polegać.

PZU. Możesz na nas polegać.

Sprawdź na **pzu.pl**



POROZUMIENIE RADY EUROPEJSKIEJ WYWOŁA FURIĘ

Z EUROPOSŁEM PIS PROF. RYSZARDEM LEGUTKĄ ROZMAWIA MACIEJ KOŻUSZEK

Oni nie robią tego zamieszania wokół tzw. praworządności, żeby ochronić budżet europejski, nie chodzi o żadne rządy prawa, nawet o żaden budżet covidowy czy kryzys gospodarczy. Priorytet to wysadzić z siodła, a przynajmniej najboleśniej jak to możliwe zgrillować władze w Polsce i na Węgrzech – mówi prof. Ryszard Legutko.

W momencie, gdy prowadzimy tę rozmowę, nie wiemy jeszcze, czy kompromis wypracowany przez Polskę, Węgry i prezydencję niemiecką zostanie zaakceptowany przez Radę Europejską. Ale jak Pan Profesor ocenia to rozwiązanie, które w tej chwili leży na stole? Czy ono wystarczy, by chronić polskie interesy?

Myślę, że sam możliwy efekt tych negocjacji, który zawiera się w projekcie konkluzji Rady, jest dobry. Jednocześnie pozostaje jednak kilka rzeczy, które niepokoją. Podstawowa sprawa to to, że w obecnym układzie niekorzystne dla nas rozporządzenie zostaje. Z jednej strony będziemy mieli porozumienie, które jest kontynuacją tego, co ustalono na szczycie Rady Europejskiej w lipcu. Z drugiej strony mamy

rozporządzenie, które jest efektem tego, że te lipcowe konkluzje zostały przez parlament, Komisję Europejską i prezydencję niemiecką zignorowane.

Rada Europejska nie ma mocy stanowienia prawa, jej zalecenia nie są automatycznie wiążące. Gdybyśmy założyli, że te dobre dla nas zalecenia wejdą w życie, to wówczas niebezpieczeństwo byłoby zażegnane, a realizowanie rozporządzenia



UNIFIKACJA

Rzeczą szalenie niebezpieczną jest panująca w Unii atmosfera ideologicznej jednomyślności i rosnąca wrogość do tych, którzy mają inne zdanie. To ujednolicenie myślenia pokazuje nie tylko kierunek, w którym zmierza UE, lecz także punkt, do którego zmierza Europa czy w ogóle cywilizacja zachodnia.

mieściłoby się w granicach prawa europejskiego. Tylko że to wymagałoby polegania na pewnej umowie dżentelmeńskiej, a w Unii Europejskiej niestety dżentelmeńców jest jak na lekarstwo. Dla kogoś, kto z bliska obserwuje na przykład działania Komisji, widzi komisarzy, prezydium komisji, przedstawicieli poszczególnych frakcji w parlamencie, słyszy ich wypowiedzi, a czasem nawet widzi ich wyraz

tworzy, retorykę, do jakiej się odwołują, cele tych ludzi stają się jasne. Oni nie robią tego zamieszania wokół tzw. praworządności, żeby ochronić budżet europejski, nie chodzi o żadne rządy prawa, nawet o żaden budżet covidowy czy kryzys gospodarczy. Priorytet to wysadzić z siodła, a przynajmniej najboleśniej jak to możliwe zgrillować władzę w Polsce i na Węgrzech. Jeśli słucha się ich wypowiedzi, to próżno

tam szukać odwołania do prawa. Słyszymy raczej takie słowa, że „my nie ustąpimy”, „ich trzeba zmusić”, „trzeba ich zagłodzić” albo „znaleźć na nich bicz”. Można więc sobie łatwo wyobrazić, jaką furję wywoła w Komisji i w parlamencie ewentualne porozumienie Rady Europejskiej, które byłoby korzystne dla Polski. Oni na pewno zrobią wszystko, żeby je obejść, lub wymyślą coś nowego. Konkluzje ze szczytu przywódców będą więc dopiero początkiem zabawy, a możemy mieć pewność, że druga strona nie będzie grała fair.

Wygląda więc na to, że jeśli Rada Europejska zgodzi się na te konkluzje, to będziemy mieli do czynienia z pewnym dwójmyśleniem. Dla Polski i Węgier będą zalecenia Rady Europejskiej, dla drugiej strony – rozporządzenie. Ale czy to nie oznacza ostatecznie sytuacji niebezpiecznej dla Polski?

Jeśli te zalecenia zostaną wpisane do protokołu obrad Rady Europejskiej, to w pewien sposób będą musiały być wskazówką dla działań Komisji. Przy czym to „w pewien sposób” będzie kluczowe, bo nie ma wątpliwości co do tego, że oni będą szukali sposobu na dalsze grillowanie Polski. No bo skoro łamane są traktaty, to łamanie ustaleń Rady Europejskiej nie powinno być problemem. Dla nas korzystny może być zapis o możliwości zaskarżenia decyzji Komisji do TSUE w trybie art. 263 i zawieszenia rozporządzenia do czasu wydania wyroku. Tu oczywiście nie ma stuprocentowej pewności, bo trzeba być naiwnym, by wierzyć, że wyroki TSUE będą bezstronne i prawnie nieskazitelne. Ale akurat zdecydowana większość prawników, nawet ci nam nieprzychylni, zgadza się, że procedura w tym rozporządzeniu jest niezgodna z traktatami i łamie przynajmniej dwa artykuły – 5 i 7.

Chodzi m.in. o to, że art. 7. wyznacza już procedurę naruszeniową, a rozporządzenie w jakimś sensie tworzy podwójną ścieżkę?

Tak, a dodatkowo z niższej półki prawnej, bo rozporządzenie stoi znacznie niżej w hierarchii niż zapis traktatowy. Do tego nic

nie wskazuje na to, by artykuł 7 nie obejmował całości problemu.

Tylko ścieżka z art. 7 okazała się zbyt trudna w realizacji, postanowiono więc stworzyć mechanizm, który da więcej uprawnień Komisji.

Właśnie dlatego art. 7 pomyślano w ten sposób, by procedury represyjnej wobec państw członkowskich nie używano lekko i arbitralnie. A ponieważ atak na Polskę i Węgry był właśnie taki – bezpodstawny i arbitralny – nie udało się nim zająć daleko, więc sięgnięto po inne rozwiązanie. Te próby były podejmowane w wielkich bólach. Dzisiejsza komisarz Jourova już przed laty odgrażała się, że trwają prace nad takim mechanizmem, i obiecywała, że niedługo będzie gotowy. Nic się jednak nie pojawiało, bo na początku chciano zrobić to jeszcze zgodnie z prawem, co szybko okazało się niemożliwe. Wtedy skorzystano z okazji, pandemii, konieczności porozumienia co do nowych środków i postanowiono wrzucić to do jednego worka. Myślę, że autorzy tego mechanizmu też obawiają się, czy TSUE określiłby go jako legalny. Choć, tak jak mówiłem, my też nie powinniśmy pokładać zbyt wielkich nadziei w trybunale, bo dotychczas w kilku sprawach dotyczących polskiego wymiaru sprawiedliwości wydawał dość wątpliwie opinie w oparciu o słabe przesłanki prawne. Na przykład oparcie się na art. 19 TUE, by walczyć z Izbą Dyscyplinarną Sądu Najwyższego, to prawnicza sofistyka, a nie poważne uzasadnienie prawne.

Porozmawiajmy o przyszłości i charakterze Unii. W Polsce często używamy argumentu, który sprowadza się do tego, że mówimy, czym UE powinna być, na przykład podkreślając, iż suwerenność państw członkowskich powinna być bardziej szanowana. Pytanie tylko, czy w samej UE, patrząc też na rozkład sił politycznych w poszczególnych krajach, takie argumenty jeszcze do kogoś trafiają?

W tej chwili rzeczywiście jest tak, że sojuszników mamy niewielu, szczególnie takich, którzy mieliby istotne wpływy. Jest

też jednak spora grupa tych, którzy w obecnej sytuacji politycznej wolą się nie wychylać. Przekonywanie do swoich racji nie jest w dzisiejszej Unii proste, ale tym bardziej trzeba o nich mówić. Rzeczą szalenie niebezpieczną, by nie powiedzieć zabójczą, jest panująca w Unii atmosfera ideologicznej jednomyślności i rosnąca wrogość wobec tych, którzy mają inne zdanie. Tak jakbyśmy mieli pudło rezonansowe, w którym odbija

Dla Niemców, ale też dla części innych państw, promowanie coraz głębszej integracji jest korzystne, bo im więcej integracji, tym oni są ważniejsi.

się cały czas ten sam język, wobec którego nie ma alternatywy. To ujednolicenie myślenia jest przygnębiające, bo pokazuje nie tylko kierunek, w którym zmierza UE, lecz także punkt, do którego zmierza Europa czy w ogóle cywilizacja zachodnia. Jeśli my nie będziemy o tym mówić, to nikt o tym nie powie. Ciągłe jest wielu takich, którzy patrzą na Polskę z nadzieją.

Jest kilka przyczyn, które powodują, że mamy do czynienia z ideologicznym monolitem. Jedną z nich jest integracyjny fanatyzm, rodzaj millenaryzmu. Mają powstać Stany Zjednoczone Europy jako wielka siła moralna, ekologiczna, niedościgniony model dla świata.

To też pewne specyficzne postrzeganie historii: jednocząca się Europa, podnosząca się z powojennych ruin, i UE, która jest jedynym zabezpieczeniem przed kolejną katastrofą...

To nawet więcej. Powstanie UE jest postrzegane jako początek nowej ery w dziejach ludzkości. Jakby wszystko, co było przedtem, od starożytności, zmierzało do rozpoczęcia procesu europejskiej integracji. Historia świata powinna być liczona na przykład od

traktatów rzymskich. Taki jest sposób myślenia i tak jest ukształtowana wyobraźnia osób pracujących w instytucjach europejskich. Przy tym nie można zapominać o tym, że główny nurt rządzący Europą jest lewicowy, wszystkie podstawowe hasła światopoglądowe czy obyczajowe lewicy są w tym głównym nurcie akceptowane. Poddaje się temu też Europejska Partia Ludowa, która już dawno zarzuciła wszelkie związki z konserwatyzmem czy chrześcijańską demokracją. Nie mamy więc w Unii do czynienia z pluralizmem i różnymi punktami widzenia. A przez to prawicowe rządy w Polsce czy na Węgrzech automatycznie stają się wrogiem dla całej tej europejskiej maszyny.

To jest wygodny stan rzeczy dla tych państw, które należą do głównego nurtu i które chcą prowadzić własną politykę lewicową, używając do tego instytucji europejskich. Niemcy oczywiście opanowały tę sztukę najlepiej. Ale w ostatnim czasie podobną strategię próbuje wykorzystywać na przykład Holandia, teoretycznie mały kraj, ale coraz ostrzej grający w polityce europejskiej. Dla Niemców, ale też dla części innych państw, promowanie coraz głębszej integracji jest korzystne, bo im więcej integracji, tym oni są ważniejsi. Tym bardziej można innych pouczać, jak sprawy powinny być poukładane, nie robiąc już tego z pozycji narodowej, lecz europejskiej. Niemcy postrzegają się jako wzór europejskości, do którego inni – Polacy, Włosi – mogą jedynie aspirować. Tkwi w tym niejaki paradoks, bo przecież integracja europejska w pierwotnym pomysle miała służyć temu, by Niemcy – kraj niebezpieczny, bo winny dwóch wojen światowych – zneutralizować i włączyć w szerszą wspólnotę związków gospodarczych. Ale Niemcy dość szybko się z tych uzależnień wyzwoliły i stały się głównym aktorem w Unii, bez którego zgody nic ważnego nie może się stać. Ten lewicowy głównonurtowy monolit dowodzony przez Niemcy to oczywiście też wspierała okazja dla polskiej opozycji, która specjalnie nie musi się wysilać, bo on reprezentuje jej interesy. Opozycja może realizować swój plan obalenia rządu, praktycznie nie wychodząc z domu – chyba że na jakieś rozróby na ulicy lub w Sejmie – bo wszystko za nią robią instytucje europejskie.

GP

OD 10 LAT WSPIERAMY PIŁKĘ RĘCZNĄ



GRAMY Z WAMI OD LAT

PGNiG od 2010 roku jest Sponsorem Strategicznym Polskiej Piłki Ręcznej. Nieprzerwanie już kolejny rok wspiera seniorskie Reprezentacje Polski Kobiet i Mężczyzn, Reprezentacje Młodzieżowe, a także jest sponsorem tytularnym Superligi oraz Pucharu Polski Kobiet i Mężczyzn.



PEDOFILIA, NARKOTYKI, BRUDNE DOLARY – Z TEGO ŻYJE HOLANDIA

PRAWORZĄDNOŚĆ PO HOLENDERSKU

Holenderski parlament wezwał tamtejszy rząd do postawienia Polski przed Trybunałem Sprawiedliwości UE za łamanie praworządności. Ale to sama Holandia ma problem z rządami prawa: ponad 70 proc. pedofilskich treści internetowych na świecie znajduje się właśnie na holenderskich serwerach, a tamtejsza policja wprost nazywa swą ojczyznę „narko-państwem”. Międzynarodowe organizacje alarmują zaś: w wyniku tego, że Holandia jest de facto rajem podatkowym, Unia Europejska traci przynajmniej kilkadziesiąt miliardów euro rocznie.

Na początku grudnia izba niższa holenderskiego parlamentu wezwała rząd, by ten pozwał Polskę przed Trybunałem Sprawiedliwości UE w sprawie Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Według uchwały, w Polsce mamy do czynienia z zagrożeniem praworządności, o czym świadczyć ma „polityczna ingerencja w wybór polskich sędziów”. To Holandia nacięła także najmocniej (zdecydowanie bardziej stanowczo niż Niemcy) na bezwarunkowe uzależnienie wypłat unijnych środków od spełniania wymogów tzw. praworządności – co w istocie uczyniłoby z Polski i Węgier państwa marionetkowe.

Stolica dziecięcego porno

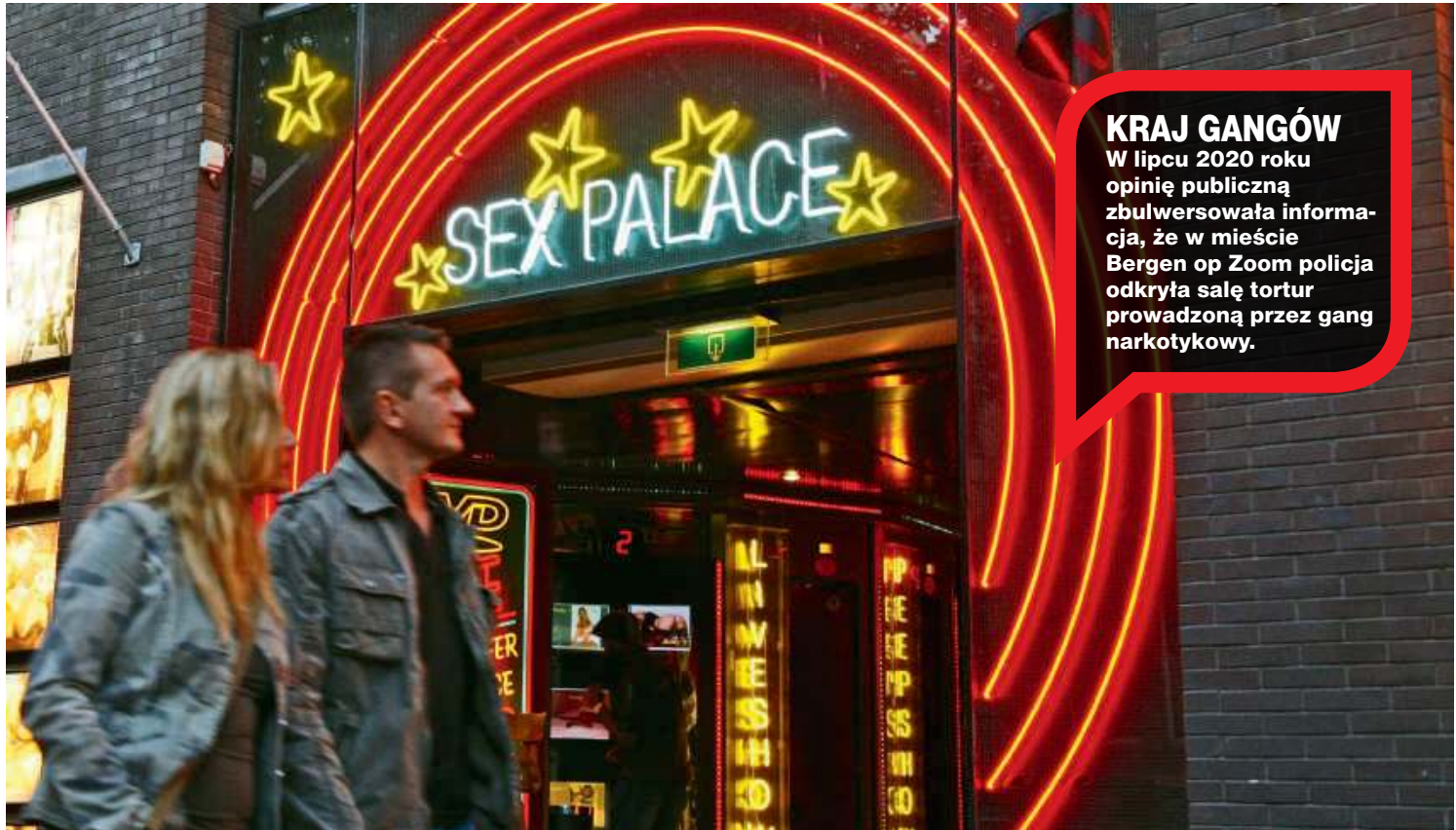
Jeśli jednak ktoś ma problem z praworządnością, to jest to Holandia. Mimo wielu międzynarodowych zobowiązań (m.in. Konwencja Rady Europy o ochronie dzieci przed seksualnym wykorzystywaniem i niegodziwym traktowaniem w celach seksualnych, ratyfikowana przez Holandię w 2007 roku) kraj ten jest rajem dla międzynaro-

dowych grup pedofilskich, udostępniających i wymieniających się dziecięcą pornografią w internecie. Różne stowarzyszenia i organizacje międzynarodowe zwracają uwagę na ten holenderski problem od około dekady, ale w ostatnich dwóch latach sytuacja katastrofalnie się pogorszyła.

Jak wynika z raportu brytyjskiej Internet Watch Foundation, zajmującej się monitorowaniem sieci pod kątem nielegalnych treści seksualnych, w 2019 roku w Holandii znajdowało się aż 71 proc. światowych treści pornograficznych związanych z seksualnym wykorzystywaniem dzieci. Odpowiada to 93 962 adresom URL. Jest to znaczny wzrost w stosunku do i tak przerażających danych z roku 2018, kiedy to na holenderskich serwerach przechowywano około 47 proc. światowej dziecięcej pornografii. Należy dodać, że liczby te odnoszą się wyłącznie do otwartych zasobów sieci i nie uwzględniają materiałów ukrytych w tzw. dark webie – czyli części internetu dostępnej jedynie przy użyciu specjalnego oprogramowania – oraz w sieciach peer-to-peer.



Dlaczego pedofile i żerujący na nieszczęściu dzieci przestępcy wybierają akurat Holandię? Oficjalnie władze tego kraju tłumaczą się doskonałą siecią infrastruktury technicznej, nie dodając jednak, że jeszcze lepsza jest choćby w Korei Południowej czy krajach skandynawskich. Roelof Meijer z holenderskiej firmy od cyberbezpieczeństwa SIDN przyznaje: „Powszechnie wiadomo, że mamy tu w Holandii kilka złych serwerowni: firmy, które, jak się wydaje, mają niezwykle model biznesowy oparty na hostingu pornografii dziecięcej. Nie odpowiadają one na zawiadomienia z infolinii sprawozdawczej ds. pornografii dziecięcej w internecie i usuwają materiały tylko na podstawie nakazu sądowego. I to w ostatniej chwili, bo czas to pieniądz”. Ale na tzw. hostingu pedofilskich treści zarabiają przede wszystkim duże legalne serwerownie. W 2020 roku Uniwersytet Techniczny w Delfcie ujawnił, że dwie znane holenderskie spółki zajmujące się hostingiem – NForce i IP Volume – bezkarnie dzierżawią miejsce na serwerach podmiotom umieszczającym tam dziecięce porno.

**KRAJ GANGÓW**

W lipcu 2020 roku opinię publiczną zbulwersowała informacja, że w mieście Bergen op Zoom policja odkryła salę tortur prowadzoną przez gang narkotykowy.

Pierwsza z nich tylko w 2020 roku otrzymała – uwaga – blisko 180 tys. zgłoszeń w sprawie pedofilskich materiałów.

Warto tu dodać, że według ustaleń RTL Nieuws większość dzieci, które można oglądać na holenderskich stronach, pochodzi z Europy Środkowo-Wschodniej i Azji. Dziennikarze, którzy prowadzili śledztwo w tej sprawie, zszokował fakt wzrastającej popularności drastycznych treści nazywanych „hurtcore” – opierających się na zadawaniu bólu i brutalnym gwałceniu najmłodszych dzieci, w tym niemowląt.

Dzieje się to przy niemal całkowitej bierności władz, co podkreśla w mediach także znany holenderski społecznik walczący z pedofilią Marcel Jeninga. Nawiasem mówiąc, ostatnio Jeninga bezskutecznie wzywa do delegalizacji Partii na rzecz Miłości, Bliźniego, Wolności i Różnorodności, która została reaktywowana w sierpniu 2020 roku i zamierza startować w wyborach do holenderskiego parlamentu. Ugrupowanie domaga się m.in. legalizacji nekrofilii, zoofilii i posiadania dziecięcej pornografii.

Jak zarabiają holenderskie serwerownie

Po wspomnianym już, przejmującym raporcie Uniwersytetu w Delft i publikacji Internet Watch Foundation, holenderski minister sprawiedliwości Ferdinand Grapperhaus zapowiedział radykalne kroki wobec serwerowni zarabiających na wynajmowaniu miejsca tym, którzy rozpowszechniają dziecięcą pornografię.

Niestety, na zapowiedziach się skończyło. W kwietniu 2020 roku 15 spółek, na serwerach których znaleziono dziecięcą pornografię, otrzymało od ministra zaledwie list wzywający do usunięcia takich treści. W razie niezastosowania się do zaleceń Grapperhaus zagroził... publicznym wymienieniem nazw firm, a także grzywnami. Minęło pół roku i serwerownie odpowiedzialne za „hostowanie” większości pedofilskich treści publicznie upokorzyły ministra. Wymieniana wyżej IP Volume w ogóle nie reagowała na monity publicznych instytucji, a firma NForce oświadczyła, że jest „zszokowana” zachowaniem Grapperhaus. I wynajęła prawników mających walczyć o jej interesy.

Symptomatyczny jest tu przypadek Michaela M., który prowadził w Holandii przynoszącą ogromne zyski stronę internetową DarkScandals, publikującą na holenderskich serwerach filmy z gwałconymi dziećmi i kobietami, a także z zoofilią. Zwyrondnialec przez długie lata mieszkał sobie, przez nikogo nie niepokojony, w senym miasteczku Barendrecht, a w pobliskim Rotterdamie prowadził spółkę „pomagającą początkującym firmom”. Został schwytany tylko dlatego, że zainteresowały się nim służby amerykańskie, które w wyniku tajnej operacji – wymagającej m.in. zamówienia u M. drastycznego filmu – uzyskały niezbite dowody na jego przestępczą działalność. Amerykanie przejęli także domeny M. oraz jego cyfrowe portfele – okazało się, że wartość tylko drobnej części kryptowalut, jaką udało się im przechwycić, to niemal 3 mln euro. Gdyby nie interwencja USA, M. prawdopodobnie dalej pozostawałby bezkarny. W 2018 roku RTL Nieuws ujawnił, że tysiące zgłoszeń dotyczących dziecięcej pornografii w sieci w ogóle nie jest sprawdzanych, gdyż w holenderskiej policji...

brakuje osób, które mogłyby się tym zajmować. Posłanka Attje Kuiken z Partii Pracy komentowała wówczas: „Nie do przyjęcia jest, aby osoby molestujące dzieci były bezkarne. Rząd nie może tego dłużej ignorować. Minister [sprawiedliwości] musi dołożyć wszelkich starań, by ścigać przestępców seksualnych”.

Jak te starania wyglądają w praktyce? W 2020 roku publiczne radio VPRO opublikowało wstrząsający godzinny reportaż autorstwa dwojga uznanych holenderskich dziennikarzy śledczych Sanne Terlingen i Huuba Jaspersa. Reporterzy zebrali świadectwa ponad 200 osób, które padły ofiarą lub były świadkami zorganizowanego koszmarnego procederu seksualnego. Mowa tu m.in. o rytualnych gwałtach, satanistycznych obrzędach o charakterze pedofilskim (m.in. poświęcania niemowląt) i produkcji sadystrycznej pornografii z udziałem dzieci. Ofiary wskazywały na konkretne miejsca zbrodni, m.in. na magazyn między Lejdą a Haarlemem, w którym wytwarzano pedofilskie porno i który w trakcie dziennikarskiego śledztwa VPRO został spalony (w tym samym dniu dziennikarze radia dostali pogroźki) oraz jeden z belgijskich zamków. Audycja wstrząsnęła Holandią, jednak minister Grapperhaus – mimo apeli części parlamentarzystów – zdecydował w sierpniu 2020 roku, że „nie będzie śledztwa w sprawie rytualnego wykorzystywania” dzieci w Holandii.

Narkotykowy raj podatkowy

„Pewnie, że nie jesteśmy Meksykiem. Nie mamy 14 400 morderstw. Ale jeśli spojrzeć na infrastrukturę, mamy duże pieniądze zarobione przez zorganizowaną przestępczość, równoległą gospodarkę. Tak, mamy narko-państwo” – powiedział w grudniu 2019 roku Jan Struis, szef największego związku zawodowego policjantów w Holandii. Słowa te padły po tym, jak w biały dzień – przed domem, w obecności żony – zamordowano w Amsterdamie 44-letniego Derka Wiersuma, prawnika reprezentującego Nabila B., który jest świadkiem koronnym w sprawie narkotykowej mafii w Holandii. Nie była to pierwsza taka tragedia. W ostatnim czasie w wyniku porachunków narkotykowych: zginęło przez przypadek dwóch młodych chłopców, zabitych kulami z ka-



W 2018 roku RTL Nieuws ujawnił, że tysiące zgłoszeń dotyczących dziecięcej pornografii w sieci w ogóle nie jest sprawdzanych, gdyż w holenderskiej policji... brakuje osób, które mogłyby się tym zajmować.

łasnikowa; na oczach dzieci zamordowano kobietę; przed jedną z kawiarni znaleziono odciętą głowę; wreszcie zabito brata wspomnianego świadka koronnego (Nabila B.), Reduana. W lipcu 2020 roku opinię publiczną zbulwersowała informacja, że w mieście Bergen op Zoom policja odkryła salę tortur prowadzoną przez gang narkotykowy. Pomieszczenie wyposażone było m.in. w fotel dentystyczny, skalpele i wygłuszające obicia ścian. Na salę natrafiono dzień po tym, jak w spalonym aucie, zaparkowanym w tym mieście, znaleziono pozbawione głowy ciało należące – jak się potem okazało – do jednego z gangsterów. „W sondażu 59 proc. Holendrów wyraziło przekonanie, że żyje w narko-państwie, czyli kraju, którego gospodarka jest uzależniona od handlu nielegalnymi narkotykami” – informowała niedawno BBC.

Liberalna polityka Holandii w sprawie „miękkich” narkotyków, w połączeniu z przymykaniem oczu na handel i produkcję „twardych”, sprawiły, że kraj ten stał się światowym liderem w produkcji narkotyków syntetycznych (ecstasy, amfetamina, MDMA). W 2019 roku „Deutsche Welle” donosiło: „Badanie przeprowadzone w zeszłym roku przez Holenderską Narodową Akademię Policji ujawniło szacunkową uliczną wartość rocznej produkcji ecstasy i amfetaminy w kraju na 18,9 mld euro (21,5 mld dolarów). Kwota ta przewyższa nawet roczny dochód Philipsa, flagowego koncernu Holandii”.

Nieustające kontrowersje budzi też od lat funkcjonowanie Holandii jako raju podatkowego. W lipcu 2020 roku Tax Justice Network, stowarzyszenie założone w brytyjskim parlamencie, opublikowało analizę, w której stwierdzało: „Holenderski model raju podatkowego powoduje, że państwa członkowskie UE tracą co roku miliardy euro na podatku od osób prawnych. Umożliwiając międzynarodowym firmom przeniesienie zysków do swojej jurysdykcji i w konsekwencji zaniżanie zysków w innych częściach UE, Holandia kosztuje państwa członkowskie UE 10 mld USD utraconego podatku od osób prawnych od samych tylko amerykańskich firm. Za każdy dodatkowy 1 USD podatku od osób prawnych, który Holandia pobrała z zysków firm amerykańskich wygenerowanych w innych krajach UE i przeniesionych do Holandii, UE straciła prawie 5 USD podatku od osób prawnych”. GP



Cały dochód, przeznaczymy na fundację

Cały dochód ze sprzedaży prenumeraty elektronicznej
zostanie przeznaczony na **FUNDACJĘ MAŁYCH STÓPEK!**

Zamów prenumeratę i wspieraj życie
www.prenumerata.swsmedia.pl



MEDIA 
STREFY WOLNEGO SŁOWA

 **FUNDACJA**
MAŁYCH STÓPEK

Dotyczy prenumeraty elektronicznej zakupionej do 24 grudnia 2020 r.

Email: prenumerata@swsmedia.pl

Tel. 605 900 002, 501 678 819

Konto prenumeraty: 82 1240 5963 1111 0010 3867 3017

Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp z o.o.,

ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

 **Gazeta
Polska**
CODZIENNIE

GAZETA POLSKA

JAK TRZASKOWSKIEMU I BUDCE LOKALNE UKŁADY PLATFORMY GRAJĄ NA NOSIE

W WARSZAWIE I GLIWICACH MIEJSCOWI BOSSOWIE NIE BOJĄ SIĘ ICH ZWALCZAĆ

Rafał Trzaskowski i Borys Budka chcą rządzić Polską, ale w tej roli nie widzą ich nie tylko zwykli Polacy. Obaj są na tyle słabi, że nie potrafią utrzymać w ryzach lokalnych struktur PO w swoich miastach. Trzaskowski pozostaje w ostrym konflikcie z Jarosławem Szostakowskim, szefem warszawskiego klubu radnych PO, co utrudnia mu rządzenie stolicą. Jak ustaliła „GP”, Szostakowski jest narzędziem, za pomocą którego Marcin Kierwiński dyscyplinuje Trzaskowskiego, by był lojalny wobec PO, zamiast snuć mrzonki o własnym ruchu. W nieco innej sytuacji jest Budka, mieszkający w Gliwicach, który zwalcza prezydenta tego miasta wybranego z poparciem... PO.



Piotr Lisiewicz
Z-CA RED. NACZELNEGO

Przypomnijmy, że według badań sprzed tygodnia Polacy nie potrafili wskazać polityka, który zasługiwałby na miano lidera opozycji. W sondażu SW Research dla rp.pl Trzaskowski, który nieznacznie przegrał wybory prezydenckie, zdobywając 48,97 proc. głosów, został uznany za lidera opozycji tylko przez 21,1 proc. ankietowanych. Po raz kolejny katastrofalnie wypadł Borys Budka, którego wskazało zaledwie 2,2 proc. pytanych, kilkakrotnie mniej niż... Krzysztofa Bosaka. Niemal 17 proc. nie potrafiło wskazać kogokolwiek, kto nadawałby się na lidera opozycji.

Trzaskowski bez podwyżek cen biletów i ulicy Lecha Kaczyńskiego

Jak się wydaje, intuicja nie myli zwykłych Polaków, którzy nie widzą w liderach PO silnych politycznych osobowości. Według naszych informatorów obaj politycy nie

budzą najmniejszego respektu nawet w lokalnych układach własnej partii w swoich miastach.

Rafał Trzaskowski, wiceprzewodniczący PO, zapowiedział w kampanii prezydenckiej, że w Warszawie będzie ulica Lecha Kaczyńskiego. Te zaskakujące słowa zostały powszechnie zapamiętane także dlatego, że wcześniej nazwę ulicy Lecha Kaczyńskiego zlikwidowano, przywracając aleję Armii Ludowej. Tymczasem od wyborów prezydenckich minęło pół roku, a ulicy nadal nie ma i Trzaskowski z kolejnego powodu ma dla znacznej części Polaków wizerunek oszusta, co szczególnie mocno szkodzi politykom aspirującym do władzy i zapowiadającym „nową jakość”.

O tę kwestię prezydent Warszawy został zapytany w ubiegłym tygodniu w Radiu Zet. – Zaczęłem rozmowy z radnymi, dlatego że to oni podejmują decyzję, i niestety na razie mam sygnały takie, że nie będzie zgody radnych dzisiaj – w momencie, kiedy są pałowane kobiety na ulicach – na to, żeby wyciągać rękę do tych, którzy się w ten sposób zachowują – powiedział Trzaskowski.

Według naszych informatorów to nie wymówka: radni na czele z Szostakowskim

wykorzystali tę sytuację, by zademonstrować Trzaskowskiemu, że musi się liczyć ze strukturami partyjnymi. Nie pierwszy raz. We wrześniu radni Koalicji Obywatelskiej zablokowali podwyżki cen biletów komunikacji miejskiej, które planował Trzaskowski. – Nie będziemy rozmawiać o tym pod kątem podwyżek – mówił apodyktycznie radny Szostakowski.

Kierwiński tresuje Trzaskowskiego przy pomocy żandarma Szostakowskiego

Szostakowski, były działacz Unii Wolności, znany jest z aktywnego udziału w licznych manifestacjach KOD-u, w czasie których w koszulce „Konstytucja” deklarował wolnościowe poglądy. Tymczasem zarówno w Radzie Warszawy, jak i w samych strukturach PO ma zupełnie inny wizerunek. W Radzie specjalizuje się we wnioskach o zamknięcie dyskusji. A w samej PO? Tam uważany jest za brutalnego wykonawcę woli Marcina Kierwińskiego, niegdyś człowieka Grzegorza Schetyny, a dziś szefa warszawskiej PO. – Kierwiński dziś się usamodzielniał, a od Schetyny nauczył się brutalności. Ale Kierwiński jest, cokolwiek by mówić,



BRAK POPARCIA

Zwykli Polacy nie widzą w liderach PO silnych politycznych osobowości. Według naszych informatorów obaj politycy nie budzą najmniejszego respektu nawet w lokalnych układach własnej partii w swoich miastach.

w miarę inteligentny, dlatego do brudnej roboty używa Szostakowskiego. On zastrasza ludzi, za nic ma regulaminy. Gdy zwalczał moich znajomych, zachowywał się jak żandarm, politruk, taki półgłówek, który wykona każdy rozkaz – emocjonalnie ocenia nasz informator.

Jak opowiada nam jeden z przedsiębiorców pozostający w dobrych relacjach z Szostakowskim, że miał niedawno coś załatwić u prezydenta Trzaskowskiego i chciał się powołać na znajomość z szefem klubu radnych PO. – Na szczęście odradzono mi to. Dobrze poinformowani powiedzieli mi, że efekt będzie odwrotny do zamierzonego i sprawa będzie pogrzebana – mówi „GP”.

Dlaczego Szostakowski złośliwie blokuje trudne dla Trzaskowskiego decyzje? – Kierwiński tresuje Trzaskowskiego, daje mu sygnał, że musi zabiegać o poparcie struktur partyjnych, a nie snuć mrzonki o własnym ruchu. Bo wtedy niczego w Radzie Warszawy nie przeprowadzi skutecznie. A wizerunek nieskutecznego nieudacznika zaszkodzi mu w polityce krajowej – mówi nasz informator.

Cud mniemany, czyli gliwicka PO przeciw deweloperom

Nie lepiej wygląda sytuacja Borysa Budki w Gliwicach, gdzie jego żona Katarzyna Kuczyńska-Budka jest radną PO. Działają tam dwa konkurencyjne

koła PO, tzw. stare oraz powołane w maju 2020 koło „Aktywni”, którego działalność reklamuje na Twitterze Borys Budka.

Budka, będący liderem drugiej siły politycznej w kraju, nie ma żadnego wpływu na prezydenta swojego miasta Adama Neumanna, wybranego dzięki poparciu PO, a w szczególności jej byłego lidera Grzegorza Schetyny. Gorzej, prezydent Neumann jest jego wrogiem, z którym procesuje się żona Budki.

Pod koniec listopada lokalny portal Info Gliwice informował o kolejnej odsłonie tej wojny. Doszło tam do sytuacji, której ze zdziwieniem przyglądać się muszą działacze PO z innych miast,



Gdy w styczniu 2020 roku Budka postanowił kandydować na szefa PO, gliwicka PO wsparła jego kontrkandydata Tomasza Siemoniaka popieranego przez Grzegorza Schetynę.

gdzie partia ta kojarzona jest z przychylnością wobec deweloperów. A w Gliwicach całkiem odwrotnie. Jakim cudem?

Bo taką decyzję ogłosiło koło Budki: „Koło »Aktywni« Platforma Obywatelska Gliwice podjęło uchwałę o przygotowaniu petycji, w której wyrażony jest sprzeciw wobec możliwej sprzedaży działki po Zameczku Leśnym w Gliwicach prywatnemu inwestorowi. Inwestor taki miałby możliwość (...) wybudowania tam domów, tym samym zabierając gliwiczantom kolejny fragment zielonego, ogólnodostępnego terenu leśnego. Nie godzimy się na takie działania. Uważamy, że to miejsce powinno służyć ogólnodostępnej rekreacji, którą cenią gliwiczanie, tak licznie odwiedzający ten park i niedawno wybudowaną (i położoną blisko wspomnianej działki), tętnię”. A wszystko to dlatego, by zrobić na złość prezydentowi i jego współpracownikom.

Żona Budki procesuje się z prezydentem od... Schetyny

Jaka jest historia tego konfliktu? Borys Budka był niegdyś radnym miejskim w Zabrzu. W 2014 roku postanowił wystartować w wyborach na prezydenta Gliwic. Sromotnie przegrał, zajmując trzecie miejsce i zdobywając tylko 6 tys. głosów. Przegrał nie tylko z dotychczasowym prezydentem Gliwic, obecnym senatorem PO Zygmuntem Frankiewiczem, lecz także z Jarosławem Wieczorkiem z PiS.

W wyborach parlamentarnych z 13 października 2019 roku Zygmunt Frankiewicz zdobył mandat senatora i w związku z tym musiały odbyć się przyspieszone wybory na prezydenta Gliwic. Na następcę namaszcili swojego wieloletniego zastępcę Adama Neumanna. Tymczasem grupa skupiona wokół żony Budki chciała, by kandydatem PO został prof. Marek Gzik. Walka była ostra i interweniować musiał będący jeszcze szefem PO Grzegorz

Schetyna, który ogłosił, że kandydatem PO jest Adam Neumann.

W grudniu 2019 roku kandydat Neumann powiedział portalowi 24Gliwice.pl o żonie Budki: – Ona chce być wiceprezydentem. Składała mi taką propozycję wraz ze swoim mężem. Nawet zaproponowali pisemne porozumienie z Zygmuntem Frankiewiczem i ze mną. Oferowali opłaconą przez nich pomoc w kampanii.

Żona Budki odpowiedziała, że to nieprawda i skierowała przeciwko Adamowi Neumannowi pozew. Z furią zaatakował kandydata PO jej mąż. – Nie wiem, dlaczego użył kłamstwa, zrobił rzecz bardzo głupią, bardzo złą. Dziwię się tym słowom nieprawdziwym, kłamliwym (...). W polityce nie można kłamać, natomiast ja nie zamierzam się tłumaczyć za słowa człowieka, do którego ja przez to straciłem jakiekolwiek zaufanie – mówił w radiu RMF Borys Budka.

„Aktywni” się wyzłośliwiają, a w mieście rządzą wrogowie Budki

Gdy wkrótce potem, w styczniu 2020 roku, Budka postanowił kandydować na szefa PO, gliwicka PO wsparła jego kontrkandydata Tomasza Siemoniaka popieranego przez Grzegorza Schetynę. Wygrał Budka, i to zdecydowanie. W gliwickiej PO niektórzy spodziewali się, że Budka jako szef partii skorzysta ze swoich wpływów, by mieć za sobą własną partyjną, lokalną organizację, ale nic takiego się nie stało.

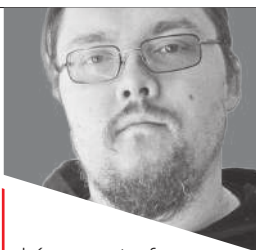
W procesie żony Budki z Adamem Neumannem nie doszło do ugody. Nadal działa wrogie Budce gliwickie koło PO skupione wokół postanki Marty Golbik, która w 2015 roku weszła do Sejmu jako przedstawicielka Nowoczesnej, ale potem zasiła szeregi PO. W 2019 roku wywalczyła reelekcję. Koło to wspiera senator Zygmunt Frankiewicz.

Jedyną odpowiedzią Budki na niekorzystną dla niego sytuację stało się powołanie w maju 2020 roku drugiego, konkurencyjnego koła PO w Gliwicach, czyli wspomnianych „Aktywnych”, które wyrządza prezydentowi Gliwic złośliwości, takie jak obrona terenów zielonych przed zawłaszczeniem przez deweloperów. **GP**

{ KRÓTKO I NA TEMAT }

FELIETON

TRZASKOWSKI W PODRÓŻY



Krzysztof
Karnkowski

W czasach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w każdej szanującej się szkole podstawowej, a zapewne i w innych kształtujących obywatela socjalistycznej ojczyzny instytucjach, obowiązkowo znajdował się pięknie wydany album „Lenin w malarstwie polskim”. Na kilkudziesięciu stronach, na kredowym papierze, dzieci zobaczyć mogły piękne obrazy, a na nich wodza rewolucji – z dziećmi i dorosłymi, czasem nawet na polskich ziemiach. Potem albumy gdzieś zniknęły, wstydliwie pochowane lub rozdrapane przez dzieciaki kończące szkoły w czasach dziejowej burzy. Zniknęło też muzeum Lenina w Poroninie, zlikwidowane w 1990 roku, przechowujące większość dzieł uwiecznionych na kartach albumu. Instytucja przetrwała jednak w pamięci mieszkańców i kiedy kilka lat temu lokalny serwis Podhalanka ogłosił w Prima Aprilis jego ponowne otwarcie, nabrało się wielu czytelników. Tak czy inaczej, nie ma już albumów, nie ma

muzeum, ale duch pozostał i czasem straszy, choć w dość nieoczekiwanych sytuacjach. Dziś malarzy zastępują nie mniej od nich gorliwi fotografowie, a ich ulubionym motywem są politycy w komunikacji miejskiej lub na rowerach. Zachwyt pozostaje ten sam – Lenin z dziećmi, Jaśkowiak na ro-

werze, Trzaskowski z pasażerami. Czasem z jedynym dyżurnym pasażerem, chłopakiem w samej koszulce, który towarzyszy prezydentowi Warszawy na zdjęciach z września, wyśmianych wówczas przez „Super Express” (Trzaskowski nie wiedział, jak skasować bilet, choć powiedzmy, że w czasach e-biletów i kart miejskich to akurat od biedy można sobie wyobrazić), a które pojawiły się znów w grudniu – ot tak, by podtrzymać entuzjazm fanów, wyznawców i trolli z ratusza. „Rafał Trzaskowski w komunikacji warszawskiej” – to aż prosi się o album, kredowy papier, wysyłkę do szkolnych bibliotek, a w przyszłości może nawet muzeum.

{ PAN JACEK DLA CIEBIE }

FELIETON

KACZYŃSKI, PRZEPROŚ ZA OPOZYCJĘ!



Jacek
Liziniewicz

„Daliśmy sobie przypisać gębę totalnej opozycji i antyPiS-u. Pora z tym skończyć. Nadszedł czas, by zgromadzić Polaków wokół pozytywnych idei” – zapowiedział Borys Budka z mównicy sejmowej podczas dyskusji nad odwołaniem ze stanowiska Jarosława Kaczyńskiego. Myślałem, że od czasów kiedy do polityki wszedł Strajk Kobiet, to już nic głępszego nie usłyszę, ale jednak ta wypowiedź mnie zmroziła. Od razu przypomniał mi się Grzegorz Schetyna, który po wyborach do samorządu chwalił się, że zbudował skuteczny antyPiS. I to nie półgębkiem i niedopowiedzeniami. Mówił to wprost. Gęby antyPiS-u nikt Platformie i opozycji nie przypisywał. Po prostu opozycja przez pięć lat nie sformułowała alternatywy wobec rządów PiS-u i nie potrafiła zarazić Polaków swoją ideą. Nie chciała również ścigać się na skuteczność w rządzeniu, ale skupiła się na ideologicznym sporze,

w którym wychodzi na bandę żądnych krwi bolszewików. Nikt im nie kazał wystawiać na listy Michała Szczęby, Sławomira Nitrasa czy Klaudii Jachiry. Nie da się mieć tych polityków i udawać, że nie jest się AntyPiS-em.

Ci politycy to AntyPiS, bo oni nic innego nie potrafią. Mam jednak złą wiadomość dla Borysa Budki. Ta gęba nie jest jedyną, którą ma Platforma. W powszechnym mniemaniu PO dzisiaj to partia złodziei. I znów – nikt nie kazał PO wystawiać Stanisława Gawłowskiego. Nie PiS wybrał na marszałka Senatu człowieka od afery kopertowej. Nie w PiS-ie byli Pinior i panowie N. Sami nad gębą pracujecie. Na domiar złego (śmiesznego) obwiniecie za swój idiotyzm... Jarosława Kaczyńskiego – że niby on was w ten kanał wpuścił. Nie wiem, dlaczego przypomniał mi się napis na murze z dawnych czasów: „Olisadebe przeproś za Jedwabne!”. Dziś można by namalować obok: „Kaczyński przeproś za Budkę i Schetynę!”.



Piotr
Nisztor



NOWAK I JEGO PODSŁUCHANE ROZMOWY

NOWI ŚWIADKOWIE I SKRUSZENI PODEJRZANI OBCIĄŻAJĄ POLITYKA PO

Aż połowa ze 120 tomów akt śledztwa przeciwko byłemu ministrowi z PO to materiały niejawne. Znajdują się tam nagrania jego rozmów i wymiana wiadomości, m.in. z Donaldem Tuskiem, Ewą Kopacz i Rafałem Trzaskowskim – ustaliła „Gazeta Polska”.

To dziś jeden z największych problemów Platformy Obywatelskiej. Sławomir Nowak, były polityk tej partii, minister transportu w rządzie PO-PSL, należący do grona najbardziej zaufanych ludzi Donalda Tuska, od czterech miesięcy przebywa w areszcie. Prokuratura Okręgowa w Warszawie, która wspólnie z Centralnym Biurem Antykorupcyjnym (CBA) prowadzi śledztwo w tej

sprawie, postawiła mu 11 zarzutów korupcyjnych. Większość z nich dotyczy działalności Nowaka w latach 2016–2019, gdy stał na czele Ukrawtodoru, ukraińskiej agencji odpowiedzialnej za budowę dróg. Jednak część jest związana z okresem rządów PO-PSL. Z ustaleń „GP” wynika, że sprawa jest rozwojowa. – Do prokuratury i CBA zgłosiło się dobrowolnie kilku świadków, którzy – chcąc uniknąć odpo-

wiedzialności – szczegółowo opowiedzieli o wątpliwych działaniach Nowaka – mówi „GP” osoba związana z organami ścigania. Wcześniej na współpracę ze śledczymi poszło już dwóch z trzech innych podejrzanych w tej sprawie. Jednak przede wszystkim byłego polityka PO mają obciążać niejawne materiały zgromadzone w 60 tomach akt. Z ustaleń „GP” wynika, że znajdują się tam jego podsłuchane roz-

„ASPI CONSULTING” POD LUPĄ ŚLEDZCZYCH

W jednym z artykułów „GP” ujawniła, że w ramach prowadzonego przeciwko Nowakowi śledztwa Prokuratura Okręgowa w Warszawie prześwietla również umowy doradcze zawierane przez byłego ministra tuż po jego rezygnacji z polityki. Jednoosobową działalność gospodarczą o nazwie „Aspis Consulting Sławomir Nowak” otworzył on bowiem 10 miesięcy przed odejściem rządu PO-PSL, kierowanego przez Ewę Kopacz. – Sprawdzane jest, czy wykorzystywał wówczas polityczne wpływy na różnych szczeblach i w różnych instytucjach dla załatwienia spraw swoich klientów – mówi nasz informator. Z faktur, które ujawniliśmy, wynikało, że Nowak za swoje usługi doradcze inkasował w tym czasie zazwyczaj 15 tys. zł miesięcznie.

mowy i wymiana wiadomości m.in. z byłymi szefami rządu PO-PSL: Donaldem Tuskiem i Ewą Kopacz, a także Rafałem Trzaskowskim, prezydentem Warszawy, i Cezarym Grabarczykiem, byłym ministrem infrastruktury, obecnie posłem PO.

10 proc. wartości kontraktu

20 lipca 2020 roku agenci CBA zatrzymali trzy osoby. Oprócz Sławomira Nowaka

także płk. Dariusza Z., byłego dowódcę elitarniej jednostki GROM, i Jacka P., trójmiejskiego biznesmena, świadczącego usługi szkoleniowe, doradcze i księgowe. Wszyscy w Prokuraturze Okręgowej w Warszawie usłyszeli zarzuty korupcji i udziału w zorganizowanej grupie przestępczej. Trafili do aresztu. Według śledczych, Nowak w czasie, gdy stał na czele Ukrawtodoru, miał przyjąć 1,3 mln zł od firm, które zdobywały tam potem kontrakty budowlane. Łąpówki miały być wypłacane pod płaszczykiem umów doradczych zawieranych z powiązanymi z byłym politykiem firmami zarejestrowanymi w Polsce i na Cyprze. Z. i P. mieli mu pomagać w organizacji procederu. Czwartym podejrzanym w wątku „ukraińskim” jest zatrzymany dwa tygodnie później Aleksander D., były prezes firmy działającej w branży budowlanej. Śledczy postawili mu zarzut obietnicy wręczenia Nowakowi ponad 700 tys. zł łapówki w zamian za zlecenie związanej z nim firmie intratnego kontraktu. Miało to być 10 proc. wartości kontraktu otrzymanego z Ukrawtodoru. Z pieniędzy z łapówek były minister miał nabyć kolekcję obrazów oraz auto marki Range Rover Velar. Okazało się jednak, że był to tylko wierzchołek góry lodowej.

Stanowisko za kasę

O szczegółach wątpliwej działalności Nowaka opowiedział śledczym jeden z podejrzanych – Jacek P. Dzięki jego zeznaniom prokuratura wraz z CBA zabezpieczyła gotówkę o równowartości około 7 mln zł ukrytą w skrytkach w dwóch mieszkaniach na Pomorzu. – P. zeznał, że był „kasjerem” Nowaka i przechowywał należące do niego pieniądze, które miały pochodzić z korupcji – mówi „GP” osoba znająca materiały śledztwa. To właśnie dzięki współpracy z prokuraturą P. wyszedł z aresztu. Na wolności jest też płk Z., który opuścił areszt po wpłaceniu miliona złotych kaucji. Z nieoficjalnych informacji „GP” wynika,

że on również miał pójść na współpracę ze śledczymi, składając obciążające Nowaka zeznania. Zresztą były polityk usłyszał kolejne zarzuty związane z przyjmowaniem łapówek w zamian za załatwianie stanowisk w spółkach Skarbu Państwa. Według śledczych, pieniądze za stanowisko mieli mu wręczyć m.in. Jacek K., były prezes PKN Orlen, i Wojciech T., były wiceprezes Energi i PGE. Jednak lista tych osób może być dłuższa.

Do śledczych zgłosiło się dobrowolnie kilku świadków, którzy opowiedzieli szczegółowo o wątpliwych działaniach Nowaka. – Większość jest związanych z załatwianiem pracy – mówi nasz rozmówca.

Wypowiedzenie pełnomocnictwa

Z ustaleń „GP” wynika, że całość akt śledztwa przeciwko Nowakowi liczy 120 tomów.

Z tego połowa to materiały niejawne zawierające m.in. zapisy z jego inwigilacji, w tym podsłuchane rozmowy oraz treść SMS-ów, e-maili i zapisy z komunikatorów (głównie WhatsApp). Pochodzą one z lat 2016–2019, gdy były polityk kierował Ukrawtodorem. „GP” dowiedziała się, że śledczy dysponują nagraniami jego rozmów i SMS-ami wymienianymi z czołowymi politykami PO, m.in. byłymi premierami: Donaldem Tuskiem i Ewą Kopacz, a także Rafałem Trzaskowskim, prezydentem Warszawy, i Cezarym Grabarczykiem, posłem PO, byłym ministrem infrastruktury. – To zwykle towarzyskie rozmowy, świadczące o zażyłości Nowaka z czołową Platformą – twierdzi nasz rozmówca.

Pod koniec października bieżącego roku Nowak wypowiedział pełnomocnictwo swojemu dotychczasowemu adwokatowi Antoniemu Kani-Sieniawskiemu. Obecnie obrońcą byłego polityka PO jest adwokat Joanna Broniszewska. Nie chciała jednak rozmawiać z „GP” na temat swojego klienta. – Nie na tym etapie postępowania – ucięła pytania.

GP

KRAJ { STUDENCI PRAWA, APLIKANCI, PRAWNICZY ESTABLISHMENT }

JAK KANCELARIE **WYKORZYSTUJĄ** MŁODYCH PRAWNIKÓW

WYZYSKIWACZE W TOGACH

NA POCZĄTEK

Duża część absolwentów prawa pracujących w zawodzie ma problemy z utrzymaniem się w dużym mieście, a perspektywa zarobków, które umożliwiają usamodzielnienie się i założenie rodziny, jest odległa.

Niektórzy pracują w kancelariach za darmo, inni dostają pieniądze na czarno. Ci, którzy zostali zatrudnieni legalnie, muszą zadowolić się niskimi zarobkami, choć jednocześnie są zobowiązani do wnoszenia wysokich opłat za aplikacje prawnicze. Duża część środowiska prawników uważa jednak, że młodzi powinni być przede wszystkim wdzięczni starszym kolegom za możliwość zdobycia doświadczenia.



Hubert Kowalski

Studia prawnicze od lat należą do najbardziej popularnych. Wielu młodych Polaków marzy o karierze adwokata czy radcy prawnego, postrzegając te zawody jako prestiżowe i gwarantujące bardzo wysokie zarobki. Obecnie jednak bycie prawnikiem nie gwarantuje świetlanej przyszłości i przynależności do elity. Kancelarie często wykorzystują fakt, iż chętnych do pracy jest bardzo wielu.

Rozczarowanie

W ostatnich latach uczelnie notują bardzo dużą liczbę chętnych na studia prawnicze. By móc wykonywać zawód adwokata lub radcy prawnego, należy po studiach ukończyć aplikację, która jest prowadzona przez samorząd zawodowy. Aby natomiast dostać się na aplikację, konieczne jest zdanie egzaminu wstępnego, który przygotowuje Ministerstwo Sprawiedliwości. Duża część absolwentów prawa pracujących w zawodzie ma problemy z utrzymaniem się w dużym mieście, a perspektywa zarobków, które umożliwiają usamodzielnienie się i założenie rodziny, jest odległa. Liczba chętnych do pracy w kancelariach wciąż jest jednak duża.

Długie praktyki

Pierwsze kroki w kancelariach studenci prawa stawiają najczęściej w ramach praktyk studenckich. Młodzi prawnicy, którzy chcą dalej zdobywać doświadczenie, ubiegają się o możliwość pozostania w kancelarii również po praktykach. Mecenasi twierdzą natomiast, że niedoświadczony

pracownik musi zostać przeszkolony, a to z kolei wymaga dużego zaangażowania ze strony starszych kolegów. Młodzi prawnicy podkreślają jednak, że często jest zupełnie inaczej. – Mamy bardzo dużo zadań typowo biurowych. Chodzi o prowadzenie sekretariatu, kserowanie, skanowanie, wożenie pism, robienie zakupów do kancelarii, nawet sprzątanie pomieszczeń. Chociażby za to powinniśmy dostać jakieś pieniądze – mówi nam Sylwia, która od niedawna pracuje za darmo w jednej z łódzkich kancelarii adwokackich. – Mecenasi proszą młodych o sprawdzanie przepisów, wyszukiwanie orzeczeń. Czasami dostajemy króciutkie wytyczne. Na tym kończy się ich zaangażowanie w uczenie nas – podkreśla młoda prawniczka. Sylwia wyjaśnia również, że początkujący prawnicy nie zgłaszają swoich problemów Państwowej Inspekcji Pracy, ponieważ obawiają się, iż mogą mieć później problemy ze znalezieniem pracy. – Bylibyśmy skończeni, wiadomość o kontroli szybko trafiłaby do innych kancelarii w mieście – mówi prawniczka.

Część mecenasów podpisuje z młodymi prawnikami umowy o praktyki absolwencje, które zgodnie z prawem mogą być nieodpłatne. Przepisy stanowią również, że jeżeli umowa jest odpłatna, to wynagrodzenie może wynosić maksymalnie 200 proc. płacy minimalnej. Umowę taką można zawrzeć na nie więcej niż trzy miesiące z jednym pracodawcą. Zdarza się jednak, że wkraczający na rynek pracy prawnicy zaczynają na praktykach studenckich, po nich pracują bez żadnej umowy, następnie odbywają praktyki absolwencje, a dopiero później otrzymują umowę o pracę na okres próbny.

Takim działaniom sprzeciwia się m.in. Europejskie Stowarzyszenie Studentów

Prawa ELSA Poland. „Nie sposób nie zauważyć, że praktyka niewypłacania wynagrodzenia studentom prawa bez zaplecza finansowego może przyczyniać się do narastania negatywnego zjawiska różnicowania szans na karierę prawniczą w zależności od sytuacji majątkowej studentów i aplikantów. Naszym zdaniem środowisko prawnicze powinno dążyć do maksymalnego wyrównania szans dla osób pracujących z takim samym zaangażowaniem i dać szansę na odbycie praktyk w trakcie studiów osobom nieposiadającym zaplecza finansowego” – czytamy w oświadczeniu stowarzyszenia, które postuluje dodatkowo zmiany ustawowe.

Głodowe pensje

– Nawet po obronie pracy magisterskiej pracowałam przez kilka miesięcy na czarno za 900 zł miesięcznie. Dopiero później otrzymałam umowę o pracę, oczywiście ze stawkę minimalną, choć w praktyce pracuję więcej niż 8 godzin – mówi Anna, która zdobywa doświadczenie w jednej z poznańskich kancelarii radcowskich. Właściciele kancelarii na ogół tłumaczą, iż jest to spowodowane trudną sytuacją finansową. Obiecują jednak, że zatrudnienie jest możliwe w miarę zdobywania doświadczenia zawodowego.

Co istotne, z takimi problemami borykają się nie tylko osoby tuż po studiach, lecz również aplikanci. Ich problemy dostrzegły samorządy radcowskie i adwokackie. „Naczelna Rada Adwokacka przypomina adwokatowi współpracującym z aplikantami adwokackimi lub zatrudniającym ich, że za podejmowanie przezeń na rzecz adwokatów czynności należne jest wynagrodzenie” – czytamy w uchwale Naczelnej Rady Adwokackiej z 2018 roku. Choć nasi rozmówcy przyznają, że sytuacja wygląda nieco lepiej niż kilka lat temu, to wciąż wielu musi liczyć na wsparcie najbliższych. – Ci, którzy nie mogą liczyć na pomoc rodziny, są naprawdę w bardzo ciężkiej sytuacji. Jeżeli ktoś będący w trakcie aplikacji dostaje więcej niż płacę minimalną na umowie o pracę, to są to naprawdę dobre warunki, swego rodzaju wyróżnienie – mówi Marta, aplikantka adwokacka z Łodzi. Nieco lepiej jest w Warszawie,

gdzie większość aplikantów może zarobić więcej niż 2,5 tys. zł netto. Część adwokatów i radców twierdzi, że obowiązki, które wykonują aplikanci, nie są warte wyższych stawek.

Kancelaria, zajęcia, sąd

Co istotne, nauka na trwającej trzy lata aplikacji wiąże się z dużymi kosztami. Jeden rok kosztuje bowiem prawie 6 tys. zł. Dodatkowo aplikanci są zobowiązani do uiszczania co miesiąc składek na rzecz izby w wysokości 20 zł. Aplikacja odbywa się pod kierunkiem patrona, czyli adwokata, radcy, notariusza, komornika. W zależności od rodzaju aplikacji. Patron najczęściej jest również pracodawcą aplikanta. Oprócz tego młodzi prawnicy uczęszczają na zajęcia, a także odbywają praktyki w sądach.

Aplikanci dorabiają do pensji m.in. dzięki tzw. stójkom, czyli zastępowaniu radców lub adwokatów z innych miast na rozprawach, gdy sprawa jest na tyle prosta, że mecenas nie chce tracić czasu na podróż. O stójkach aplikanci dowiadują się z ogłoszeń. Stawki są zróżnicowane, najczęściej pojawiająca się kwota to 150 zł. Jednak nie wszyscy mogą ratować się stójkami. Część aplikantów, którym udało się uzyskać umowę, ma bowiem zakaz konkurencji.

Najedzą się doświadczeniem?

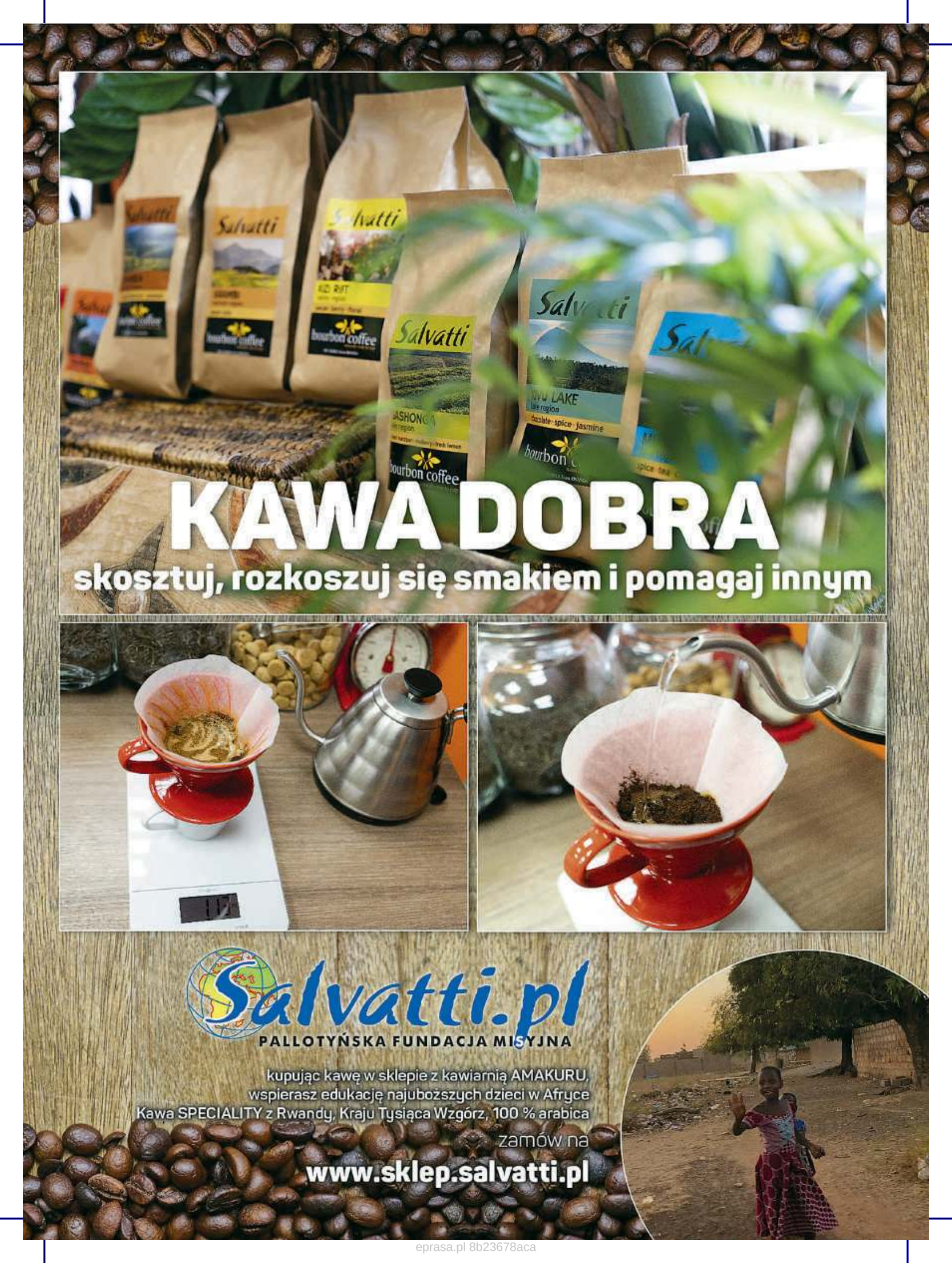
Aplikanci twierdzą, że problemy wynikają nie tylko z dużej liczby prawników na rynku pracy, lecz także z mentalności mecenasów. – Wielokrotnie słyszałem w kancelariach, że aplikanci mają rzekomo roszczeniową postawę, że żądają niemożliwego. Wielu starszych kolegów uważa, iż powinniśmy być wdzięczni, że ktoś umożliwia nam zdobycie doświadczenia, a nie w pierwszej kolejności zabiegać o pieniądze. Na pewno niektórzy adwokaci boją się przyszłej konkurencji – mówi Rafał, aplikant adwokacki z Poznania. O godne wynagradzanie aplikantów często apeluje m.in. adw. Joanna

**Nauka
na trwającej
trzy lata
aplikacji wiąże
się z dużymi
kosztami. Jeden
rok kosztuje
prawie 6 tys. zł.**

Parafianowicz, felietonistka „Rzeczpospolitej”, a obecnie kandydatka na prezesa NRA, która znana jest ze swojej aktywności w mediach społecznościowych i często podkreślanych lewicowych poglądów. Co jednak ciekawe, Joanna Parafianowicz w swoich komentarzach mówi również o rzekomo roszczeniowej postawie aplikantów. Burzę w środowisku prawniczym wywołało opublikowane przez nią w mediach społecznościowych nagranie z wypowiedzią na ten temat. Mówiła o tym, jakie wynagrodzenie byłoby, jej zdaniem, godne dla aplikanta bez doświadczenia. Parafianowicz uznała, że na miejscu

aplikanta byłaby szczęśliwa, gdyby ktoś poświęcił jej czas i uwagę. „Gdybym musiała zarabiać na swoje utrzymanie, pewnie pracowałabym w Biedronce na kasie” – stwierdziła.

Aplikanci mają ograniczone możliwości zarabiania poza pracami związanymi z prawem. Dotyczy to głównie przyszłych adwokatów. Aby móc podjąć zajęcia, które nie są związane z aplikacją, należy uzyskać najpierw zgodę patrona oraz dziekana okręgowej rady adwokackiej. Chodzi o to, aby inne prace nie utrudniały przebiegu aplikacji i nie naruszały godności zawodu adwokata. W praktyce zdarza się jednak, że ograniczenie komplikuje sytuację finansową aplikantów. Prawnicy podkreślają, że na ogół nie ma problemów z udzieleniem zgody na prace biurowe poza kancelariami czy działalność naukową. Niewielkie są jednak szanse na pozwolenie podjęcia zatrudnienia na przykład w gastronomii, gdyż zdaniem izb może to uchybiać godności adwokackiej, a także nie ma związku z kształceniem zawodowym. Z kolei zatajenie wykonywania prac niezwiązanych z aplikacją może skończyć się postępowaniem dyscyplinarnym. Choć o złych warunkach zatrudnienia aplikantów mówi się w środowisku prawniczym od dawna, to problemy wciąż nie zostały rozwiązane. GP



KAWA DOBRA

skosztuj, rozkoszuj się smakiem i pomagaj innym



 **Salvatti.pl**
PALLOTYŃSKA FUNDACJA MISYJNA

kupując kawę w sklepie z kawiarnią AMAKURU,
wspierasz edukację najuboższych dzieci w Afryce
Kawa SPECIALITY z Rwandy, Kraju Tysiąca Wzgórz, 100 % arabica
zamów na

www.sklep.salvatti.pl



LASY SĄ KLUCZOWE DLA POLSKIEJ GOSPODARKI

Z DYREKTOREM GENERALNYM LASÓW PAŃSTWOWYCH
ANDRZЕJEM KONIECZNYM ROZMAWIA JACEK LIZINIEWICZ

Powiedzmy otwarcie:
wstrzymanie pozyskiwania
drewna to nie tylko „paraliż
gospodarki leśnej”, ale wręcz
paraliż całej gospodarki. Nasze
wewnętrzne analizy wskazywały,
że w każdym statystycznym
polskim mieszkaniu o powierzchni
50 m² jest „zamrożonych”
7 do 8 drzew; drewno jest
w konstrukcji budynku, stolarce
budowlanej, podłogach, meblach,
wyposażeniu, w książkach...
– mówi Andrzej Konieczny.





FOT. MAREK WIŚNIEWSKI / PULS BIZNESU / FORUM

Rok 2020 mija pod znakiem pandemii koronawirusa. Wiele firm miało kłopoty przez pandemię. Jak wygląda sytuacja w Lasach Państwowych?

Koronawirus nie oszczędzał także Lasów Państwowych: po pierwszych 7 miesiącach okazało się, że nasze przychody spadły o ponad 631 mln zł. Nabywcy drewna ograniczali zamówienia, przesuwali terminy odbioru, a nawet rezygnowali z już zamówionego towaru. W wielu wypadkach LP – rozumiejąc trudną sytuację naszych kontrahentów – godziły się na przesunięcie terminów odbioru drewna bez naliczania kar umownych. Ale jednocześnie Lasy mocno pracowały nad ograniczeniem swoich kosztów, by zbilansować rozchwiany przez pandemię budżet. Ograniczyliśmy wydatki o blisko 618 mln zł – oszczędzaliśmy na usługach leśnych, przesunęliśmy w czasie część inwestycji i nie zaciągaliśmy nowych zobowiązań. W Lasach Państwowych wiemy doskonale, że aby wydać jakieś środki, musimy je najpierw samodzielnie wypracować. Nie „wisimy na garnuszku” Skarbu Państwa; wręcz przeciwnie – w wielu obszarach wspieramy budżet finansując pewne zadania, daleko wykraczające poza funkcje stricte leśne: budujemy i remontujemy lokalne drogi, zajmujemy się małą retencją, finansujemy ochronę przeciwpożarową oraz dofinansowujemy parki narodowe. Przez pierwszą falę wirusa przeszliśmy więc względnie łagodnie, głównie dzięki ciężkiej pracy i ofiarności tysięcy pracowników Lasów Państwowych. Mamy nadzieję, że również z drugą falą zachorowań, z którą zmagamy się obecnie, poradzimy sobie równie dobrze.

KE kieruje do Trybunału Sprawiedliwości UE sprawę przeciwko Polsce w sprawie lasów. KE zwraca uwagę m.in. na to, że polskie władze utrudniają obywatelom domaganie się przed sądami właściwej ochrony lasów. Innymi słowy, po prostu nie ma możliwości zaskarżania do sądów planów zarządzania lasu. To

duży problem dla Lasów Państwowych?

Myślę, że ten wniosek do TSUE wynika z pewnego nieporozumienia czy raczej niezrozumienia przez Komisję Europejską naszego modelu ochrony lasu. Przecież nie jest wcale tak, że to Lasy Państwowe same i w oderwaniu od społeczeństwa „piszą sobie” plan zarządzania lasu, a następnie same go sobie zatwierdzają, nie oglądając się na nic. Przygotowanie planu odbywa się z zachowaniem pełnej jawności: projekty planów są publikowane w internecie i wykładane w siedzibach nadleśnictwa. Są konsultowane z samorządami i organiza-

cjami społecznymi. Do projektów planów zgłaszane są setki, jeżeli nie tysiące, uwag i poprawek (w ubiegłym roku do planu zarządzania lasu Nadleśnictwa Bircza uwagi zgłosiło 347 wnioskodawców), z których większość – przynajmniej tych mających uzasadnienie merytoryczne – jest przez leśników uwzględniana. Pamiętać także trzeba, że plan jest opiniowany przez wła-

ściwą Regionalną Dyрекcję Ochrony Środowiska i ostatecznie zatwierdzany przez ministra właściwego ds. środowiska. Nie zapadły jeszcze w tym obszarze ostateczne ustalenia, ale wydaje mi się, że ostatnia restrukturyzacja rządu spowoduje jeszcze większą przejrzystość tego procesu, gdyż Lasy Państwowe – podległe w nowej strukturze Ministrowi Rolnictwa – będą składać swoje plany do zatwierdzenia ministrowi klimatu i środowiska, co jeszcze czytelniej rozdzieli funkcje gospodarcze i przyrodnicze. Trudno wyobrazić sobie, aby w Polsce, gdzie nadal znaczna większość terenów leśnych to lasy państwowe, wprowadzać system przeniesiony mechanicznie z zachodu Europy, gdzie dominują lasy prywatne i gdzie rozstrzyganie sporów dotyczących lasów w oparciu o sądy, a nie administrację państwową, jest normą.

Jak ocenia Pan groźbę sparaliżowania gospodarki leśnej, a przez to działalność jednej z największych firm w Polsce?

Nie boimy się merytorycznych uwag do planów urządzania lasów. Jesteśmy otwarci na krytykę i uwagi typu: „Nic nie wycinajcie, zostawcie lasy samym sobie”. Boimy się prawnego-sądowego sabotażu, który sparaliżuje bieżącą działalność Lasów Państwowych poprzez składanie setek niemerytorycznych wniosków i przewlekanie w nieskończoność postępowań przed sądami. Boimy się też, że proces taki przekształci – z konieczności – Lasy Państwowe w biurokratyczną maszynę, w której za każdym gajowym będzie chodził do lasu prawnik albo i dwóch... Liczymy jednak, że polskiemu rządowi uda się wypracować jakiś merytoryczny kompromis z Komisją Europejską. Można na przykład zastanowić się, czy prawa do występowania do sądu w sprawie planów urządzania lasu nie powinny mieć wyłącznie samorządy lokalne: jako mające – z jednej strony – demokratyczną legitymację do wypowiedzania się w imieniu mieszkańców danego terenu, a jednocześnie dysponujące wiedzą i doświadczeniem pozwalającym na właściwą ocenę prowadzonej na danym terenie gospodarki leśnej. Obawiałbym się natomiast prawnej „wolnej amerykanki”, w której każdy może zaskarżyć wszystko i w nieskończoność blokować kruczkami prawnymi podjęcie jakiegokolwiek decyzji. Ale powiedzmy otwarcie: wstrzymanie pozyskiwania drewna to nie tylko „paraliż gospodarki leśnej”, ale wręcz paraliż całej gospodarki. Nasze wewnętrzne analizy wskazywały, że w każdym statystycznym polskim mieszkaniu o powierzchni 50 m² jest „zamrożonych” 7 do 8 drzew; drewno jest w konstrukcji budynku, stolarce budowlanej, podłogach, meblach, wyposażeniu, w książkach... Z kolei przeciętny domek jednorodzinny o powierzchni 120 m² zawiera przeciętnie około 12 m³ drewna, czyli równowartość 35 drzew. Brak drewna to podniesienie kosztów budownictwa, przemysłu meblarskiego, papierniczego; to droższe opakowania i transport (palety). Statystyczny Polak zużywa średnio rocznie – w różnej formie – około 1 m³ drewna i wielkość ta stale rośnie. Jeszcze w roku 1990 „spożycie” drewna wynosiło około 0,4 m³. I trend ten raczej się nie odwróci, skoro bowiem Unia Europejska ogranicza stosowanie plastików w opakowaniach

NIE U NAS

Trudno wyobrazić sobie, aby w Polsce, gdzie nadal znaczna większość terenów leśnych to lasy państwowe, wprowadzać system przeniesiony z zachodu Europy, gdzie dominują lasy prywatne i rozstrzyganie sporów dotyczących lasów w oparciu o sądy jest normą.

produktów spożywczych i naczyniach jednorazowych, to w znacznym procencie zastąpi go papier i tektura – produkowane, jak powszechnie wiadomo, z drewna.

W ostatnich latach UE zamyka wszystko w hasle bioróżnorodność. Jak je rozumieć?

Bioróżnorodność jest w nauce pojęciem stosunkowo młodym; określenie to pojawiło się zaledwie na początku lat 80. ubiegłego wieku. Zrobiło zawrotną karierę i – jak w wypadku wielu słów z języka nauki – jest nadużywane (często bez zrozumienia) przez polityków i działaczy ekologicznych. Wielu leśników, którzy kończyli studia leśne 20–30 lat temu, może nie znać znaczenia tego terminu, ale kiedy pokaże im pan listę zabiegów mających podtrzymywać ową bioróżnorodność w lasach, to powiedzą, że oni stosowali to w praktyce w polskich lasach nawet wtedy, kiedy sam termin „bioróżnorodność” jeszcze nie istniał. Pozostawianie martwego drzewa w lesie? Proszę, oto dane: pomiędzy rokiem 2009 a 2019 ilość martwego drewna w polskich lasach, pozostawiona do naturalnego rozkładu, zwiększyła się z 37 do 57 mln m³. Moglibyśmy zostawiać więcej,

ale zwiększyłyby to znacznie zagrożenie pożarowe, a poza tym... radykalnie zwiększyłaby się emisja dwutlenku węgla do atmosfery. W 1 m³ drewna zmagazynowane jest 10 ton CO₂; rozkład drzewa to jego uwolnienie. Mała retencja i torfowiska? Lasy Państwowe zbudowały lub budują – kosztem blisko miliarda zł – prawie 13 tys. obiektów tzw. małej retencji. Prace mające na celu zatrzymanie wody w lesie prowadzone są przez nas od prawie 20 lat; bez nich skutki ocieplenia klimatu byłyby jeszcze bardziej dotkliwe. Polany śródleśne. Tylko leśnicy wiedzą ile wysiłku trzeba włożyć w utrzymanie „naturalnych” polan śródleśnych. Ochrona starodrzewu? W roku 1946 w polskich lasach było 4,6 proc. drzew mających ponad 100 lat, obecnie – 14,3 proc.

Wraz z hasłem bioróżnorodności idzie natychmiast pojęcie – drzewostan 100-letni, który ma niby być panaceum na zmiany klimatyczne i zachowanie bioróżnorodności. Tak się składa, że dzięki aktywistom mamy poletko doświadczalne w tej materii. To Puszcza Białowieska. Czy w ostatnich pięciu latach mamy tam eksplozję bioróżnorodności? Czy może jest wręcz przeciwnie: zaczynają pojawiać się gatunki inwazyjne?

A dlaczego nie drzewostan 80- lub 120-letni? Sto lat to umowna granica. Jak już powiedziałem, liczba starych drzew w polskich lasach przyrasta nieprzerwanie od lat 40. ubiegłego wieku. Tylko w ciągu ostatnich 10 lat średni wiek drzew w polskich lasach zwiększył się z 57 do 60 lat. Systematycznie rośnie też udział drzew liściastych – obecnie prawie 30 proc. powierzchni leśnych w Polsce zajmują gatunki liściaste. Ale nie można całkowicie zrezygnować z pozyskiwania starych drzew. Z kilku powodów. Pierwszy to umożliwienie rozwoju młodych drzew – czasem trzeba dla nich zrobić miejsce, przersedzając starodrzew. Pamiętajmy jednak także o powodzie drugim: pochłanianie dwutlenku węgla przez drzewa wiąże się z ich wzrostem – CO₂ jest po prostu wiązany w strukturze drewna. Największy przyrost wykazują drzewa młode i to one wiążą najwięcej gazów cieplarnianych. Lasy

muszą się odmładzać, byśmy my mieli czym oddychać. Niestety, odpowiedzią wielu ekologów jest hasło: „Lasy sobie same poradzą”. To prowadzi do takich sytuacji jak w Puszczy Białowieskiej – wzrostu zagrożenia pożarowego, masowego pojawienia się gatunków inwazyjnych oraz spadku populacji pewnych gatunków. Podejrzewam, że wymuszone przez aktywistów decyzje dotyczące Puszczy będą miały dewastujący skutek właśnie dla... bioróżnorodności.

Mam wrażenie, że często gubimy się w pojęciach. Na przykład nieraz mówi się, że w Polsce prowadzona jest w lasach intensywna gospodarka. Tymczasem LP mają przecież certyfikaty FSC. Nikt tego nie docenia?

Wzrasta powierzchnia polskich lasów; zarówno tych w zarządzie Lasów Państwowych, jak i prywatnych. Obecnie lasy pokrywają 9459 tys. ha, z czego my

zarządzamy 7115 tys. ha i wielkość ta stale rośnie: co roku przybywa Lasom Państwowym około 5 tys. ha. Rzeczywiście, tempo przyrostu „lesistości” spada, bo zalesiliśmy praktycznie każdy kawałek należącego do nas gruntu: pod każdy następny hektar lasu musimy kupować grunt na wolnym rynku, co nie jest ani proste, ani tanie – stąd wolniejszy przyrost. Wracając jednak do cyferek: już teraz lasy zajmują około 30 proc. terytorium Polski, a mamy plany, by do roku 2050 osiągnąć 33 proc. pokrycia naszego kraju lasami. Ale sama powierzchnia to nie wszystko: w roku 1946 zasobność polskich lasów wynosiła niespełna 700 mln m³; w roku 1989 było to już 1,2 mld m³, a obecnie – ponad 2,6 mld m³. W roku 1946 na każdego Polaka przypadało statystycznie 88 drzew, obecnie: 162 drzewa na osobę. Od 1989 roku liczba drzew przypadających na statystycznego Polaka zwiększyła się o 60. I to tylko na terenach zarządzanych przez Lasy Państwowe...

Zauważmy pewną prawidłowość: tzw. ekolodzy jednym tchem potrafią oskarżać leśników o rabunkową gospodarkę, by potem przejść do stwierdzenia, że najcenniejsze przyrodniczo obszary leśne w Europie znajdują się w Polsce i trzeba je bezwzględnie chronić. A zapytani o konkrety, wskazują na obszary, gdzie jeszcze w latach 30. XX wieku nie było żadnych drzew i cały – rzekomo „prastary” i „naturalny” – las wyrósł dzięki staraniom pokoleń polskich leśników.

Zbliżają się święta. Pan Dyrektor będzie miał żywą czy sztuczną choinkę?

Tylko naturalna, żywa, pachnąca lasem i tradycją. A tak na marginesie: czytałem gdzieś ostatnio badania profesora Skubały z Uniwersytetu Śląskiego, z których wynikało, że wyprodukowanie (i naturalny rozkład) naturalnej choinki generuje do atmosfery 3,1 kg gazów cieplarnianych, a wyprodukowanie i utylizacja jej sztucznego zamiennika... aż 8,1 kg. **GP**

OGŁOSZENIE REDAKCYJNE

Prezent
do rocznej prenumeraty
„Gazety Polskiej”

**ZAMÓW
PRENUMERATĘ**

www.prenumerata.swsmedia.pl
tel. 605 900 002

**OTRZYMASZ
KALENDARZ**

Promocja z kalendarzem dotyczy prenumeraty zamówionej do dnia 15.01.2021

GAZETA POLSKA
TYGODNIK NIEPODLEGŁEGO POLAKA
www.GazetaPolska.pl

Piotr
Nisztor

POLITYCZNE ZWIĄZKI GANGU PRZEBIERAŃCÓW

SMS-Y PUŁKOWNIKA WSI

Oskarżeni o udział w grupie fałszywych pracowników służb specjalnych chwalili się kontaktami z politykami niemal wszystkich opcji politycznych. Jeden z nich powoływał się na obecnego posła Zjednoczonej Prawicy, obiecując spotkanie z wicepremierem Jarosławem Gowinem. Do spotkania nie doszło.

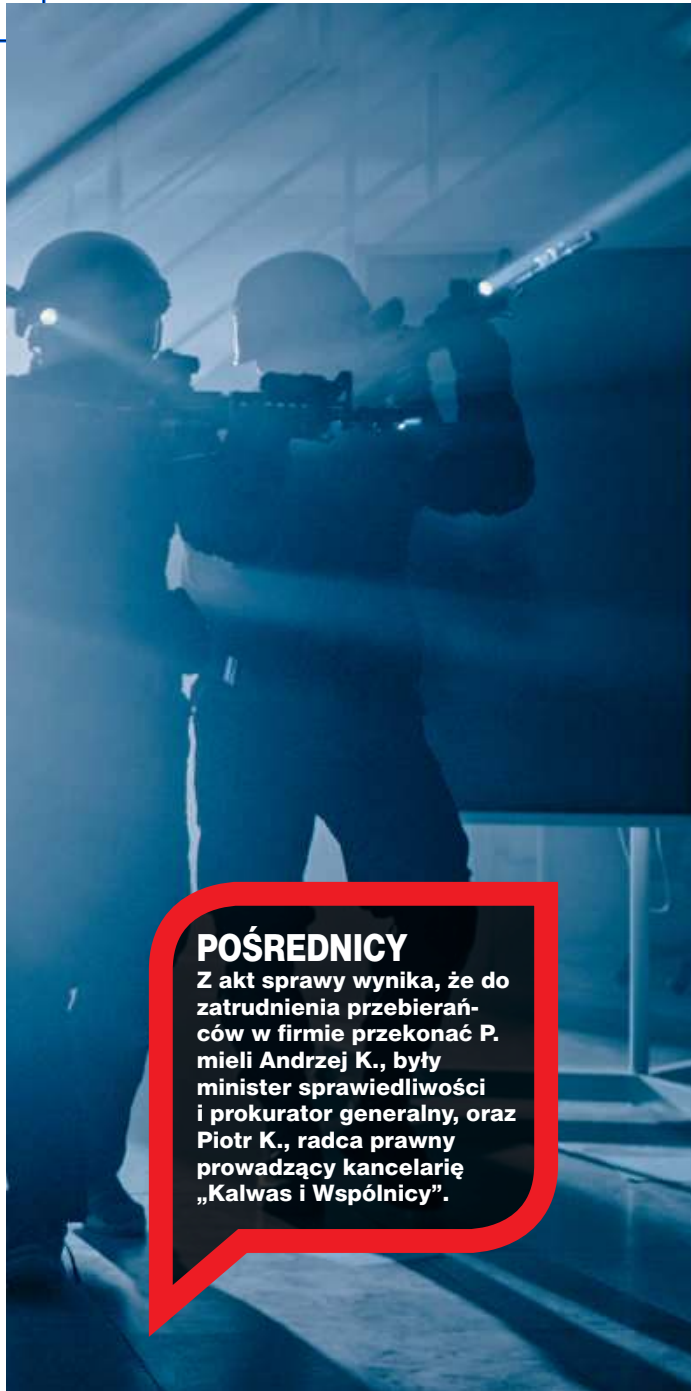
To jedna z tych afer, która spokojnie mogłaby stać się kanwą dobrego filmu sensacyjnego. Tydzień temu „Gazeta Polska” ujawniła treść aktu oskarżenia przeciwko 13 osobom związanym z tzw. gangiem przebierańców, czyli fałszywych pracowników służb specjalnych mających powoływać się na wpływy w administracji państwowej. Grupa miała działać w latach 2015–2017. Według Prokuratury Regionalnej w Katowicach i Centralnego Biura Antykorupcyjnego (CBA), oskarżeni obiecywali biznesmenom roztoczenie nad ich interesami parasola ochronnego służb specjalnych. Jednym z warunków było zatrudnienie

w swoich firmach rzekomych pracowników Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Służby Kontrwywiadu Wojskowego (SKW). Z ustaleń „GP” wynika, że oskarżeni chwalili się kontaktami z politykami niemal wszystkich opcji politycznych. Jeden z nich miał nawet powoływać się na obecnego posła Zjednoczonej Prawicy, obiecując spotkanie z wicepremierem Jarosławem Gowinem. „GP” dotarła do potwierdzających to SMS-ów.

„Tajna operacja” ABW i SKW

P. to biznesmen z branży farmaceutycznej, który padł ofiarą gangu przebierańców. W postępowaniu sądowym przeciwko człon-

kom grupy ma status oskarżyciela posiłkowego. To właśnie przekazane przez niego materiały są jednym z kluczowych dowodów w całej sprawie. Przez kilka miesięcy zatrudniał on w swojej firmie fałszywych pracowników służb specjalnych. Z akt sprawy wynika, że przekonać go do tego mieli Andrzej K., były minister sprawiedliwości i prokurator generalny, oraz Piotr K., radca prawny prowadzący kancelarię „Kalwas i Wspólnicy” (obydwaj zasiadają na ławie oskarżonych). Wszystko miało być rzekomo tajną operacją objęcia przez ABW i SKW firmy P. ochroną ze względu na istotny interes dla bezpieczeństwa RP. Jeden z leków produkowanych przez to przedsiębiorstwo



PUŁKOWNIK ABW, POSEŁ KONFEDERACJI I SZEFE PRACODAW- CÓW RP

Pod koniec stycznia 2018 roku agenci CBA do śledztwa Prokuratury Regionalnej w Katowicach dotyczącego gangu przebierańców zatrzymali m.in. Tomasza Sz. To biznesmen z branży ochroniarskiej, obecnie wiceprezident dwóch portali internetowych: wiesci24.pl i sluzbyspecjalne.com, stynących z ataków na Mariusza Kamińskiego, ministra koordynatora ds. służb specjalnych, i jego zastępcę Macieja Wąsika. Sz. usłyszał zarzuty powoływania się na wpływy w instytucjach państwowych i przyjęcie 800 tys. zł za roztoczenie rzekomego parasola ochronnego służb specjalnych nad interesami jednego z baronów paliwowych. Miał podszywać się pod pracownika CBA. Jego wątek kilka miesięcy później został wyodrębniony do oddzielnego postępowania. Obecnie Sz. zasiada na ławie oskarżonych. Jego sprawa toczy się w Sądzie Okręgowym w Warszawie. Jednak niedawno Sz. usłyszał kolejne zarzuty. Prokuratura Regionalna w Lublinie podejrzewa go o udział w wielomilionowych wyłudzeniach podatku VAT. Chodzi o działalność zarejestrowanej w Czechach spółki paliwowej Roto Group. Podmiot ten wchodził w skład imperium nieżyjącego biznesmena z Ostródy Sławomira J., którego zaufanym współpracownikiem był właśnie Sz. Obecnie przebywa on w areszcie. Wcześniej swoje poręczenia złożyli m.in. płk Piotr Wypij (ojciec pła Macieja Wypija), emerytowany oficer ABW, Grzegorz Braun, poseł Konfederacji, i Andrzej Malinowski, szef Pracodawców RP.

POŚREDNICY

Z akt sprawy wynika, że do zatrudnienia przebierańców w firmie przekonać P. mieli Andrzej K., były minister sprawiedliwości i prokurator generalny, oraz Piotr K., radca prawny prowadzący kancelarię „Kalwas i Wspólnicy”.

został bowiem wpisany przez Ministerstwo Zdrowia na listę leków refundowanych. Spółka miała jednak problemy. Narodowe Centrum Badań i Rozwoju (NCBiR) nabrało wątpliwości co do rozliczenia otrzymanych dotacji, a działalność firmy prześwietlała wówczas prokuratura.

Adres e-mail i dwa numery telefonu

Jednym z zatrudnionych w firmie P. fałszywych pracowników służb specjalnych był Andrzej M., emerytowany pułkownik zlikwidowanych WSI (zasiada na ławie oskarżonych). Z akt sprawy wynika, że chwalił się on swoimi szerokimi kontaktami z po-

litykami różnych opcji politycznych, głównie lewicy. Jednak we wrześniu 2017 roku chciał doprowadzić do spotkania P. z Jarosławem Gowinem, ówczesnym wicepremierem, ministrem nauki i szkolnictwa wyższego. Z ustaleń „GP” wynika, że miał w tym pośredniczyć ówczesny asystent Gowina, obecnie poseł Porozumienia Michał Wypij. M. miał przekazać P. jego prywatny adres e-mail, a także dwa numery telefonów – stacjonarny i komórkowy. „GP” dotarła do korespondencji SMS-owej biznesmena i emerytowanego pułkownika WSI. 25 września 2017 roku M. pisze do P.: „No i jak, telefonowałeś [do Wypija – przyp. red.], na kiedy umówi cię z Gowinem? Tymczasem”. Na to P. odpowiada w dwóch wiadomościach: „Oddzwoni, bo nie mógł mówić”, „Przepraszał, bo pamiętał, że się umawiał”. Dwa dni później M. pisze: „Wypij pyta posła [Gowina – przyp. red.], czy wysłałeś już tę sumaryczną notatkę, o którą ciebie prosił?”. Odpowiedź: „Jeszcze nie. Pójdzie dzisiaj. Pracujemy”.

Ostatecznie nigdy nie doszło do spotkania P. z Gowinem. Biznesmen zorientował się, że mógł paść ofiarą oszustwa. Zgłosił się do CBA. Już 2 października 2017 roku Prokuratura Regionalna w Katowicach wszczęła śledztwo w sprawie gangu przebierańców.

„Zawsze odmawiałem spotkania”

Poseł Wypij pytany przez „GP” o relacje z Andrzejem M. stwierdził, że nie przypomina sobie takiej osoby. „Jedyne, co pamiętam, kontakt, jaki miał miejsce, to mail od firmy (...) [P.], która zgłosiła się do MNiSW jako pokrzywdzona przez zarząd NCBiR powołany w czasach rządów PO-PSL. Nigdy jednak nie podejmowałem działań dotyczących rozwiązania tej sprawy, ponieważ uważam, że takie sprawy należy pozostawić odpowiednim organom i służbom” – stwierdził. Z kolei wicepremier Gowin pytany o to, czy jego ówczesny asystent zabiegał o zorganizowane spotkania z biznesmenem P., odpowiedział krótko: – Kompletnie tego nie pamiętam. Przyznał jednak, że firma biznesmena wielokrotnie zabiegała o spotkanie z nim. – Zawsze odmawiałem – podkreślił wicepremier. **GP**

SZCZYT SZCZYTÓW

Największa w ostatnim czasie unijna batalia za nami. Jest kompromis w sprawie wieloletniego budżetu UE. Internetowi komentatorzy sceny politycznej podzielili się na fanów strategii „weto albo śmierć” vs porozumienie. Strona opozycyjna rozszerzona jest faktem, że premier wrócił z Brukseli „z tarczą”, mimo że Polska nie negocjowała „na kolanach”. Ale wiele komentarzy wywołało także spotkanie Donalda Tuska z... Martą Lempart. Co więcej, według Tuska rozprawiali o tym, jak burzyć mury i budować mosty! Najśmieszniejsze jest to, że właściwie nie wiadomo, kto tutaj chciał się pod kogo „podwiesić”. Tusk, dla którego najwyraźniej bolesne jest wylądowanie na politycznym śmietniku, chciał ogrzać się w blasku (sic!) chwilowo popularnej lewackiej aktywistki? A może to Lempart, której Strajk Kobiet topnieje jak bałwanek na wiosnę, chciała dodać kilka punktów do popularności, pokazując się na europejskich salonach?



ZŁOTE myśli

#BRUKSELA



Gutab
@BatugWojciech

Borys Budka pisze po wczorajszym porozumieniu ws. budżetu, że PMM prowadząc antyunijną krucjatę i osłabiając pozycję PL w UE, stał się marionetką Orbana. Czy jest w tym jakakolwiek logika? Zatkano go. Po co komu PO, skoro rząd negocjuje i osiąga kompromis z ich panami?



Dawid Wildstein
@DawidWildstein

A najbardziej wk#rwiona jest dziś PO. To, które wyło, że weto to koniec UE. Nic dziwnego, że są wściekli. Okazało się, że nie trzeba na kolanach. Że sprzeciw i negocjacje to nie koniec Unii, lecz normalna sytuacja. Że postawa lokaja to niejedyna droga. Rząd PiS zrobił z PO idiotów.



Generał Kiszczak
@GenKiszczak

Dobre, łączące społeczeństwo spotkanie. Lempart i Tusk uzgodnili już nazwę nowych mostów, które będą budować. Jeden będzie się nazywał „Jeb*ć”, a drugi „Wypie*lać”.



Urszula
@Urszula91983664

Mimo wszystko na miejscu Lempart byłabym ostrożna. Tusk zawsze stawia na złego konia.

SZŁAPKA BOJKOTUJE

Niemiecki holding Verlagsgruppe Passau odsprzedał polskiej spółce Orlen wydawnictwo Polska Press. Wiele dzienników regionalnych, tygodników i kilkaset portali nie będzie już więc kontrolowanych przez Niemcy. Taki obrót spraw bardzo rozsierdził opozycję i część sprzyjających jej mediów. Najbardziej oburzony był jednak poseł Nowoczesnej Adam Szłapka, który zaordynował bojkot Orlenu. Internauci szybko poinformowali go, że paliwo z Orlenu jest sprzedawane na większości stacji benzynowych w kraju. No cóż, panie pośle, pozostaje zatem nadal być „nowoczesnym” i wszędzie jeździć rowerem.



OCIEPLANIE RAFAŁA

Najwyraźniej badania przeprowadzone przez Ratusz pokazały, że należy trochę ocieplić wizerunek jaśnie panującego namiestnika warszawskiego Trzaskowskiego Rafała. I tak, mimo pandemii, zimy, smogu i innych plag – prezydent stolicy postanowił dodać otuchy mieszkańcom, pokazując, że i on mierzy się z takimi samymi wyzwaniem dnia codziennego. Pozowane zdjęcia Trzaskowskiego „na mieście” i w tzw. zbiorkomie rozbawiły internautów.



Rubrykę opracował Krzysztof Kosowski



Piotr
Grochmalski

Tuska trzeba tłumaczyć z niemieckiego na polski

„Die Welt” ogłosił, że Tusk „jest Polakiem, ale gra w drużynie Niemiec” („Er ist Pole, aber er spielt für das deutsche Team”). Tuska trzeba tłumaczyć z niemieckiego na polski – przykład: „Ale mimo bardzo twardego języka protestujący opowiadają się przeciw nienawiści i pogardzie, jednoznacznie za godnością, wolnością i uczciwością”. Innymi słowy – mimo jednoznacznej nienawiści i pogardy dla drugiego człowieka (co jest charakterystyczne dla chrześcijan), opowiadają się za ściganiem i karaniem bez sądów przeciwników politycznych.

DONALD TUSK – ZDRADA ALBO GŁUPOTA – okładka „Newsweeka” nr 50/2020. Aby nie było wątpliwości, o kogo chodzi – jego dominujące, czarno-białe zdjęcie. Twarz ze złością spogląda na czytelnika. Zacięte usta. Zaciśnięta pięść. Ale przecież „Newsweek” to pismo agresywnie proniemieckie, a Tusk jest przyjacielem Angeli Merkel. Czyżby zdradził Niemcy i panią kanclerz? Prawdopodobnie tak narzucająca się wymowa okładki umknęła wydawcy. W zamyśle to Tusk miał oskarżać Kaczyńskiego i wzywać nas, abyśmy go powstrzymali przed wyprowadzeniem Polski z Unii. Trzy dni przed decydującym starciem Polski i Węgier w sprawie budżetu „Newsweek Polska”, gazeta koncernu Ringier Axel Springer, opublikowała wywiad, w którym były premier twierdzi, że „w najbliższych miesiącach zdecyduje się nasza rzeczywistość”. A grozi nam katastrofa, jeśli nie obalimy rządów PiS, „bo to jest zło. Bezdyskusyjne i z fatalnymi skutkami dla Polski”.

Tusk dostrzega rewolucyjną atmosferę, zachęca więc do zdecydowanego działania. Otwarcie nawołuje do siłowego wariantu, w imię chrześcijańskiego podejścia do człowieka (Tusk: „Wśród tych kobiet i mężczyzn na ulicach [...] było obecne chrześcijańskie podejście do człowieka”).

„Czasami potrafię wzruszyć sam siebie”

Miesiąc temu kanclerz Niemiec Angela Merkel, przemawiając do swoich rodaków, oceniła obecną dramatyczną walkę RFN, najbogatszego europejskiego państwa, z pandemią jako próbę, „jakiej Niemcy nie przeżywali od czasów II wojny światowej”. Apelowwała o społeczny spokój: „Wszyscy znajdujemy się w dramatycznej sytuacji. Dotyka ona nas wszystkich, bez wyjątku”. Nazwała polityków, którzy nawołują do protestów ulicznych, ludźmi niebezpiecznymi i nieodpowiedzialnymi (na 11 grudnia liczba przypadków COVID-19 w RFN wynosi 1,29 mln. Dobowy przyrost to 32 734 chorych. Zmarły 604

osoby). W tym samym czasie niemieckie media w Polsce dążyły do anarchizacji życia w naszym państwie, a Tusk zachęcał rodaków do wychodzenia na ulice (11 grudnia liczba przypadków COVID-19 w Polsce: 1,1 mln, dobowy przyrost – 13 110 chorych. Zmarły 132 osoby). Dziś wiemy, że były to przygotowania do osłabienia negocjacyjnej pozycji Warszawy przed próbą przeforsowania nowych regulacji w UE, które mają otworzyć drogę do głębokiej federalizacji Unii. Michaił Heller, wybitny rosyjski historyk, charakteryzując próby uratowania Rzeczypospolitej Obojga Narodów przed upadkiem, pisał, iż „sąsiedzi nie chcieli reform, woleli mieć do czynienia ze słabym państwem polskim. Rosja i Prusy występowały w obronie wolności i praw do zasady liberum veto”. Inny świat, inne realia, a mechanizm podobny. Jeszcze w 2016 roku władze RFN spotkały się w siedzibie MSZ z przedstawicielami tamtejszych mediów, aby zasugerować ukazywanie Polski jako „dzikiego Wschodu”, a rządów PiS jako tych, które demontują państwo prawa.



Od ostatniego rozbioru Polski, czyli od 1795 roku, nie było w Polsce premiera bardziej proniemieckiego i zwolennika dezintegracji RP na regiony niż Donald Tusk. Miał być też wzorcowym przykładem kariery, którą zrobią ci, którzy z uwagą wsłuchują się w głos płynący z Berlina.

Według instrukcji, należało alarmować, iż zagraża to bezpieczeństwu całej Unii. Dlatego dobrzy Niemcy martwią się o przyszłość Polaków. Wkrótce także niemieckie media w Polsce zaczęły realizować ten scenariusz, którego elementem była próba obalenia rządu polskiego podczas puczu 16 grudnia 2016 roku. Opozycja siłą zaczęła wówczas blokować prace Sejmu, aby nie dopuścić do przyjęcia budżetu. W polskich realiach konstytucyjnych oznaczało to w praktyce obalenie rządu. Tusk, urzędujący wówczas przewodniczący Rady Europejskiej, dzień później, 17 grudnia 2016 roku, przybył do Wrocławia, aby wesprzeć próbę obalenia konstytucyjnych władz RP. Mówił: „Po wczorajszych wydarzeniach w Sejmie i na ulicach Warszawy, mając też w osobistej pamięci, co znaczą grudnie w naszej historii, apeluję do tych, którzy realnie sprawują władzę w naszym kraju, o respekt i szacunek wobec ludzi, wobec zasad i wartości konstytucyjnych, ustalonych procedur i dobrych obyczajów. A tym wszystkim, którzy gotowi są, pokazują to od wielu miesięcy, trwać przy europejskich standardach demokracji tu, w Polsce, chciałbym serdecznie podziękować i wyrazić najwyższe uznanie. Jesteście dziś najlepszymi strażnikami polskiej reputacji w Europie i na świecie”. Jak przyznał szczerze w swojej hagiografii (D. Tusk „Szczerze”), opisując owe przemówienie „... głos mi lekko drży, bo czasami potrafię wzruszyć sam siebie” (s. 176).

Rozbicie dzielnicowe Polski

To ze względu na jego zaangażowanie się w obalenie polskich władz premier Beata Szydło głosowała przeciw wyborowi Tuska 9 marca 2017 roku na drugą połowę kadencji przewodniczącego Rady Europejskiej. W swoich wspomnieniach o tym dniu Tusk napisze: „...czujemy niesmak. To przecież nic przyjemnego, kiedy popierają cię wszystkie rządy Europy, z wyjątkiem twojego własnego”. Teraz, w 2020 roku, w wywiadzie dla „Newsweeka” Tusk przekonuje, że w tej czarnej rzeczywistości, w jakiej znajduje się RP, uświadamia sobie, „jak bardzo kocha Polskę”. Gdy miał 30

lat, w ankiecie na temat polskości opublikowanej w miesięczniku „Znak” (nr 11–12 z 1987 roku, str. 190) tak mówił: „Polskość to nienormalność – takie skojarzenie nasuwa mi się z bolesną uporczywością, kiedy tylko dotykam tego niechcianego tematu. Polskość wywołuje u mnie odruch buntu: historia, geografia, pech dziejowy i Bóg wie co jeszcze wrzuciły na moje barki brzemie, którego nie mam specjalnie ochoty dźwigać (...). Piękniejsza od Polski jest ucieczka od Polski – tej ziemi konkretnej, przegranej, brudnej i biednej”. Gdy miał 33 lata, pisał na łamach „Gazety Gdańskiej”, że trzeba Polskę rozparcelować na regiony, bo „regionalizm to nie utopia wymyślona na użytek polskiej rewolucji – to podstawowy wątek w europejskiej tradycji wolności. Etatyzm przegrywa, renesans mniejszości jest widoczny na całym świecie (...). Co więcej, wizja zjednoczonej Europy to wizja federacji wolnych, naturalnie uformowanych regionów, a nie narodowo-państwowych centralistycznych molochów (...). Gdańsk ze swym pomorsko-kaszubskim zapleczem również w tym kontekście stanowić może propozycję dla innych regionów. Majowe wybory to dobry pretekst dla nadania publicznego wymiaru debacie regionalnej. Czy w Rzeczypospolitej wolnych Polaków będzie miejsce dla wolnych regionów? Czy postulat autonomii Pomorza znów ktoś nie uzna za separatystyczną irredentę? Będzie to ciekawa próba naszej europejskości”. A gdy miał 35 lat, w czerwcu 1992 roku, jako wiceprzewodniczący Zarządu Głównego Związku Kaszubów Polski, wygłosił na II Kongresie Kaszubów programowe przemówienie, w którym przedstawił program pełnej autonomii dla Pomorza (Kaszub). Powinno ono posiadać nie tylko własny rząd, ale także wojsko i własne pieniądze. Poseł RP Feliks Pieczka miał wówczas publicznie powiedzieć, iż oddzielenie Kaszub od Polski byłoby nie tylko przestępstwem wobec polskiej racji stanu, ale i wobec interesu Kaszub.

Europa regionów, Tusk a sprawa niemiecka

Bo Donald Tusk wielkim Polakiem jest i na dowód tego, dzień po jego wyborze

na prezydenta Rady Europejskiej „Paweł Adamowicz wywiesił w Gdańsku flagi europejskie” (D. Tusk, „Szczerze”, s. 12). Z dumą o tym wspomina. We wszystkich kluczowych momentach swojej politycznej kariery Tusk otrzymywał wsparcie od niemieckich mediów. W marcu 2017 roku, gdy decydował się jego dalszy los, ujawniono, jaką wewnętrzną instrukcję wydał prezes Ringier Axel Springer Polska, Marek Dekan, do polskich dziennikarzy tego koncernu. Straszyl, iż możemy zostać zmarginalizowani w UE – odsunięci na boczny tor. Podkreślał, iż „w nadchodzącym czasie na autostradzie unijnej integracji pojawia się nie tylko pas szybkiego i wolnego ruchu, ale też parking. I to jest właśnie moment, gdy do gry włączają się wolne media, takie jak my. Nigdy nie zapominajmy o podstawowych wartościach, jakie reprezentujemy: opowiadamy się za wolnością, rządami prawa, demokracją i ZJEDNOCZONĄ EUROPEĄ”. Była to w istocie instrukcja, jak dziennikarze mają pisać o takich politykach jak Tusk: „Podpowiedzmy im [czytelnikom], co zrobić, żeby pozostać na pasie szybkiego ruchu i nie skończyć na parkingu”. Rok później polskie media ujawniły treść rozmowy Waldemara Pawłaka i milionera Michała Sołowowa, nagranej w jednej z restauracji. Pawlak miał powiedzieć: „Niemcy sobie kupili – przez inwestycję w Axel Springer – »Fakt«, »Newsweek«, Onet. To są przykłady, gdzie ja mogę jednak powiedzieć, że na Tuska większy wpływ ma artykuł w »Fakcie« niż opinia Konfederacji Pracodawców czy Komisji Trójstronnej”. Tusk chciał w 2016 roku z Wrocławia dać symboliczny sygnał do obalenia polskiego rządu. Od wielu lat wcześniej, jako premier, wspierał odbywające się tym mieście Kongresy Regionów, których głównym organizatorem jest Ringier Axel Springer, a oprawę prasową i propagandową zapewniają między innymi Onet i „Newsweek”. W 2019 roku, tuż przed tym wydarzeniem, w którym wzięli udział między innymi prezydenci Warszawy, Łodzi, Wrocławia, Poznania, Gdańska, Gdyni, Sopotu, środowisko związane z Platformą Obywa-

telską ogłosiło w Gdańsku projekt groźny dla integralności Polski. Chodziło o stworzenie, w oparciu o przyczółki PO, wspierane przez niemieckie koncerny prasowe, samodzielnych podmiotów politycznych, które zatamizowałyby i rozbiły od środka polskie państwo.

„Jest Polakiem, ale gra w drużynie Niemiec”

Od ostatniego rozbioru Polski, czyli od 1795 roku, nie było w Polsce premiera bardziej proniemieckiego i zwolennika dezintegracji RP na regiony niż Donald Tusk. Miał być też wzorcowym przykładem kariery, którą zrobią ci, którzy z uwagą wsłuchują się w głos płynący z Berlina. Tuż przed głosowaniem na drugą połowę kadencji jako przewodniczącego Rady Europejskiej Angela Merkel w niemieckim parlamencie zachwalała osobę Tuska i fakt, że zostanie wybrany. „Die Welt” – flagowy tytuł koncernu Axel Springer na rynku niemieckiej prasy opiniotwórczej, ogłosił wówczas bez niedomówień, iż Tusk „jest Polakiem, ale gra w drużynie Niemiec” („Er ist Pole, aber er spielt für das deutsche Team”). Klucz do zrozumienia istoty jego polityki przedstawili nam sami Niemcy. Co ciekawe – ta oczywista nielojalność wobec współrodaków – ta zdrada ich interesów publicznie ujawniona – nie wywołała żadnej u niego refleksji. Tusk nie prostował, a niemieckie media nie obawiały się, iż to go skompromituje jako polityka. Odwróćmy sytuację – wyobraźmy sobie, że Merkel, wbrew interesom Niemiec, realizuje interesy Polski. Tusk ma rację w wywiadzie, którego udzielił „Newsweekowi”. To rzeczywiście są kluczowe momenty dla przyszłości UE i RP, dlatego dobrze, że mamy jak na tacy ujawnione, które siły polityczne „są polskie, ale grają w niemieckiej drużynie”. Przez ponad 20 lat funkcjonowaliśmy pozbawieni suwerenności informacyjnej – gdy rynek medialny zdominowany był przez niemiecki kapitał.

Podświadomość Tuska

Co wywiad mówi o obsesjach Tuska? Aż 48 razy w tekście pojawia się, w różnych kontekstach – Unia, Europa i Zachód. Polskę, choć to głównie o niej jakoby mówi, wymienia zdecydowanie rzadziej

– 31 razy. O PiS wspomina 18 razy, o Kaczyńskim – 5, o Rosji – 7, o USA – 3, o Białorusi – 4, Ukrainie – 2, W. Brytanii – 4. Wiele uwagi poświęca też straszeniu brytyjskim premierem Dawidem Cameronem, o którym wspomina 6 razy. Daje go jako przykład nieodpowiedzialnego straszenia UE, co w konsekwencji doprowadziło do brexitu. Nie dostrzega jednak w tym swojej negatywnej roli. Nie wyciąga też żadnych wniosków, dlaczego najstarsza, po greckiej, europejska demokracja dała czerwoną kartkę Brukseli i takim politykom jak Tusk. Dlaczego UE nie dokonała wewnętrznych reform, które postulowali obywatele Wielkiej Brytanii. Człowiek, który – jakoby szczerze – opisuje w swojej hagiografii doświadczenia z bycia przewodniczącym Rady, nie potrafi choćby dostrzec pewnych wad konstruk-

wczywa do stabilności i odpowiedzialności za los państwa, a Tusk proponuje Polakom krwawą łaźnię, nienawiść, agresję, obalenie rządu przez ulicę. On, który składał przysięgę: „Obejmując urząd Prezesa Rady Ministrów, uroczystie przysięgam, że dochowam wierności postanowieniom Konstytucji i innym prawom Rzeczypospolitej Polskiej, a dobro Ojczyzny i pomyślność obywateli będą zawsze dla mnie najwyższym nakazem”. Tusk „jest Polakiem, ale gra w drużynie Niemiec”. Dlaczego? Bo „mamy ekipę, która do niczego się nie nadaje”. Bo PiS prezentuje „manifest kłamstwa i zła”, a rządy PiS „to jest zło”. To „zło” jest „bezdyskusyjne i z fatalnymi skutkami dla Polski w bardzo różnych wymiarach”. Mamy też „moralne bankructwo hierarchii” – a więc frontalny

jańskie podejście do człowieka”, jak trzeba chronić nas przed nami i przed nienawiścią i pogardą? Kogo i do kogo? Ale równocześnie stwierdza: „Wciąż to powtarzam: słowa mają swoje konsekwencje”.

Co dalej, panie Tusk?

Ta interesowna nienawiść do Polski przebiega z całego tekstu. Tusk jest wściekły i sfrustrowany, gdy mówi, że „Unia to delikatny twór i skomplikowany mechanizm. Wymaga ciągłej pielęgnacji i wzajemnej lojalności jej członków, inaczej nie przetrwa następnej dekady”. A Polska, którą rzekomo tak kocha, nie jest delikatną, skomplikowaną strukturą społeczną i historyczną? Jako człowiek, który stał na czele RP, powinien wiedzieć, ile wysiłku kosztuje ciągle wspieranie i rozwijanie państwowości. Bo – jak podkreśla – „rządzenie państwem to jest skuteczne panowanie nad problemami, a nie nad ludźmi”. Pandemia pokazała, że to państwa, a nie UE, przyjęły główny ciężar walki z nią. Dotyczy to też Polski i Niemiec. Okazuje się także, że Bruksela, wbrew temu co twierdzi Tusk, nie znalazła zdolności do kompromisu w najważniejszej kwestii – nie potrafiła utrzymać w swoim gronie Wielkiej Brytanii. Co Tusk ma do powiedzenia o tej największej dotąd katastrofie, jakiej doświadczyła UE? Namawianie rodaków, żeby rzucili się sobie do gardeł? A jak ulica obali rząd, a Polska stanie w anarchii, to wówczas – głosi Tusk – trzeba będzie określić ewentualne nadużycia wolności – a „to będzie wymagało wielkiego wspólnego wysiłku i wspólnej odpowiedzialności. I wzajemnej troski”. Nawołuje do krwi na ulicach, a równocześnie głosi, że „trzeba chronić nas samych przed nienawiścią i pogardą”. Już raz, przez targowiczan, na 123 lata utraciliśmy państwo. Prosty rachunek matematyczny – dopiero za 21 lat, w następnym pokoleniu, czas niebytu Polski zrówna się z okresem istnienia naszej państwowości. Jeśli uświadomimy sobie ten fakt, odpowiedź na pytanie, czy to zdrada czy głupota, jest jasna i automatycznie wpisuje Tuska na narodową listę hańby.

PUBLICYSTYKA

We wszystkich kluczowych momentach swojej politycznej kariery Tusk otrzymywał wsparcie niemieckich mediów.

cyjnych owego projektu? Co bardziej szokuje – zadziwia w wywiadzie absolutna cisza, ani jeden dźwięk, który dotyczyłby Niemiec i kanclerz Merkel. W nachalnie długim tekście (od 12. do 17. strony pisma) ani razu nie pada nawet aluzja do najsilniejszego państwa w Unii. I to godziny przed kluczowymi rozmowami. To jest w istocie tekst, który pokazuje Polskę z perspektywy niemieckiej racji stanu i realizuje interesy Berlina. To dlatego Tusk tak bardzo kontroluje przekaz, tak jest wyczulony, aby nie pojawił się choćby cień podejrzenia o niemiecki kontekst wywiadu, że popada w skrajny absurd.

Lekarstwo dla Niemiec, trucizna dla Polski

Tusk trafnie diagnozuje ogromną skalę wyzwań, przed jakimi stoi Polska. Ale proponuje radykalnie inne lekarstwo od tego, o którym mówi Merkel, gdy zwraca się do swoich rodaków. Kanclerz Niemiec

atak na Kościół katolicki i na polską tradycję. Ale równocześnie Tusk odkrywa, iż to, co się działo na ulicach, to „było obecne chrześcijańskie podejście do człowieka, chrześcijański duch w liberalnej polityce, co tak bardzo cenię”. To jest klasyczny język Tuska – dostosowany do jego poziomu zrozumienia, czym jest polityka. Tuska trzeba tłumaczyć z niemieckiego na polski – przykład: „Ale mimo bardzo twardego języka protestujący opowiadają się przeciw nienawiści i pogardzie, jednoznacznie za godnością, wolnością i uczciwością”. Innymi słowy – mimo jednoznacznej nienawiści i pogardy do drugiego (co jest chrześcijańskim stosunkiem do człowieka), opowiadają się za ukaraniem, ściganiem i karaniem bez sądów przeciwników politycznych – dla legalnej władzy. Jeszcze refleksja Tuska: „W tej bez wątpienia rewolucyjnej atmosferze trzeba chronić nas samych przed nienawiścią i pogardą” To gdzie to „chrześci-

GP



Grzegorz
Wszółek

Niemiec płakał, jak sprzedawał

Przejęcie grupy Polska Press przez PKN ORLEN wzbudza skrajne emocje. Według zwolenników inwestycji to poważny krok ku zapowiadanej od dawna repolonizacji mediów. Z kolei krytycy strategii koncernu mieszają rzeczywiste obawy z projekcjami, które podlewają w dodatku histerycznym sosem. Nie tyle opłakują przejęcie prywatnej prasy przez państwową spółkę, ile obawiają się przekazu PiS docierającego do szerszych grup wyborców.

PUBLICYSTYKA

Po otrzymaniu zgody przez UKOik na zakup największego dystrybutora prasy – RUCH S.A. – PKN ORLEN wkracza jeszcze śmielej w rynek mediów. Zakupi od niemieckiej grupy Verlagsgruppe Passau wydawnictwo Polska Press, skupiając 120 tygodników lokalnych i 20 dzienników regionalnych spośród dostępnych 24 – mowa o takich tytułach jak „Polska The Times”, „Dziennik Bałtycki”, „Dziennik Polski”, „Gazeta Krakowska”, „Express Ilustrowany”, „Echo Dnia” czy „Dziennik Zachodni”. Prasa lokalna od lat przeżywa kryzys – w ostatnich miesiącach nawet jedna trzecia czytelników przestała ją kupować, a co za tym idzie – straciła też przychody z reklam. W rękach niemieckiej rodziny Diekmannów pograżała się w marazmie pod względem treści i finansów.

Zwolnienia w Polsce Press już były

Gdy Polska Press wykupiła w 2011 roku „Dziennik Polski”, pół roku później ofiarą transakcji stał się jego konserwatywny redaktor naczelny Piotr Legutko. – Dobrze przypomnieć „osiągnięcia” Polski Press. Klimat z tamtego czasu jest istotny. Portale branżowe wpadły w euforię, gdy Polska Press

stała się hegemonem, a ignorowano doświadczenia z jej dotychczasowej działalności. Gdy Polska Press wchodziła w teren, za moment z kilku dzienników z tradycjami robił się jeden dziennik. Było tak na Śląsku, w Wielkopolsce, to samo trwa w Małopolsce, choć dłużej – przypomina Piotr Legutko w rozmowie z „Gazetą Polską”. – „Dziennik Polski” był bardzo „krakowski”, zaś „Gazeta Krakowska” jako organ KW PZPR, zakorzeniła się poza miastem: w Tarnowie i Nowym Sączu. Obecnie jest jeden redaktor naczelny i newsroom dla obydwu tytułów. Dziennikarze obecnie analizujący temat nie wykazali się empatią i solidarnością zawodową 9 lat temu. Z pracy zwolniono setki dziennikarzy w całej Polsce, reporterów, śledczych. Kto w tej chwili w „Dzienniku Polskim” jest dziennikarzem śledczym? Gdzie są reportaże na temat życia codziennego w Krakowie? Dziś prasa lokalna to tylko mediaworkerzy – wspomina z żalem były naczelny. Próba połączenia dwóch największych małopolskich dzienników niemal natychmiast doprowadziła do odpływu kilku tysięcy czytelników od „Dziennika Polskiego”. Korporacyjna strategia grupy medialnej odbiegała od interesów lokalnych społeczności.

Największą wartością dodaną inwestycji dla Orlenu będzie dostęp do 17,4 mln użyt-



kowników sieci, którzy codziennie szukają wiadomości regionalnych na portalach należących do Polski Press. Można spodziewać się tam aktywniejszej reklamy produktów spółki paliwowej, która poprawi wyniki handlu detalicznego. Polska Press kumuluje szczegółowe informacje o preferencjach internautów, zainteresowaniach i transakcjach w odniesieniu do grupy 60,07 proc. użytkowników sieci w całej Polsce. To ogromna baza danych. „Pozyskanie Polska Press wpisuje się w założenia tej strategii, w szczególności w zakresie budowy zintegrowanej platformy usług cyfrowych w oparciu o bazę klientów. Działania te przyczynią się do wzmocnienia relacji z klientami oraz przełożą na zwiększenie zysków osiąganych przez koncern” – zakomunikował PKN ORLEN.

Merkel temu winna

Orlenowska aktywność skłoniła liberalne media do zupełnie nieprzemyślanych ataków. Jak inaczej można skomentować lamente Bartosza Wieleńskiego, korespondenta „Gazety Wyborczej” w Berlinie, który ubolewał nad rzekomo niezrozumiałą obojętnością Angeli Merkel? Jego zdaniem, kanclerz Niemiec powinna de facto zablokować rynkowe regulacje i nie dopuścić, by Polska Press przeszła w ręce spółki skarbu państwa. Mało



tego, już w tytule Wieliński zbesztal Merkel za oddawanie mediów w ręce autokratów. „O tym, że PiS zagraża wolnym mediom, wiedzą od dawna w Europie i w USA, wszak w sprawie ataków na TVN reagował Departament Stanu. Niemcy są dumne z własnych demokratycznych mediów. W praktyce obrona wartości przychodzi im trudniej” – krytykował postawę naszych zachodnich sąsiadów. „Już słyszę uspokajające przekonywanie niemieckich dyplomatów, że zakup gazet to czysty biznes, że polityka nie ma z tym nic wspólnego. To oczywista nieprawda, tego typu transakcje nie zachodzą w próżni” – dodał Wieliński, który musiał przełknąć gorzką pigułkę, czyli oświadczenie właściciela Verlagsgruppe Passau: „Jesteśmy przekonani, że nowy właściciel zapewni Polska Press perspektywę dalszego rozwoju” – zaznaczył Alexander Dekmann.

Wbrew wieloletnim staraniom, to właśnie na łamach „Gazety Wyborczej” dowiedzieliśmy się, że kapitał... ma narodowość, a politycy mogą wpływać na podejmowane decyzje w segmencie mediów. „Wyborcza” sugerowała masowe odejścia dziennikarzy z tytułów Polski Press, którzy ponoć „nie chcą się szmacić”. Redaktorzy z Czerskiej nie mogą się pogodzić – jak piszą – z „prezenterem pod choinkę” dla Kaczyńskiego,

sprawionym przez prezesa Orlenu Daniela Obajtka. Wywołują poczucie grozy, gdy jeszcze nie wiadomo, jaka będzie linia pogładowa nabytej Polski Press i czy nie skupi się przede wszystkim na lokalnych sprawach.

– Liczę na to, że uda się Orlenowi odbudować siłę dzienników lokalnych, by stworzyć pracownikom odpowiednie warunki. Czytelnik nie szuka tam informacji o wielkiej polityce, lecz konkretnych przekazów z regionów – mówi Piotr Legutko. O strategię PKN ORLEN wobec Polski Press zapytaliśmy biuro prasowe. „Zamierzamy potencjał spółki Polska Press wzmacniać i rozbudowywać, co przełoży się na korzyści dla akcjonariuszy. Skorzystają na tym również pracownicy, w tym dziennikarze. Wsparcie sprzedaży i komunikacji poprzez zakup aktywów mediowych nie jest zresztą niczym nowym, tak działają też światowi giganci. Na przykład właściciel Amazon kupił najstarszy amerykański dziennik »Washington Post«. Z kolei jeden z największych operatorów detalicznych Walmart buduje wewnętrzne kompetencje sprzedażowe, aby uzyskać dostęp do szerokiej bazy klientów. Duże firmy telekomunikacyjne, jak AT&T czy Verizon, koncern Renault w ostatnich latach dokonały zakupu mediów dla wsparcia działań komunikacyjnych” – podano przykłady.

W największych miastach rządzą prezydenci z Koalicji Obywatelskiej, którzy dotąd mogli liczyć często na taryfę ulgową. Nie trzeba być wytrawnym analitykiem polityki, by wiedzieć, iż Jacek Majchrowski w Krakowie, Aleksandra Dulkiewicz w Gdańsku czy Jacek Sutryk we Wrocławiu są nad wyraz dobrze traktowani przez lokalnych dziennikarzy. Istnieje zatem poważna obawa, że jeśli Orlen sfinalizuje zakup Polski Press, samorządowcy będą kontrolowani w znacznie większym stopniu. Czy tego obawia się Adam Szłapka? Poseł KO nawoływał do bojkotu stacji należących do płockiego koncernu. Zła informacja dla Szłapki jest taka, że paliwo z Orlenu i Lotosu zaopatruje aż 75 proc. polskiego rynku.

Ofensywa Orlenu

– Wszyscy są ciekawi, jaką strategię obierze ORLEN. W dziedzinie marketingu dostrzegam duży profesjonalizm i liczę na to samo w dziennikach. Nie po to się kupiło RUCH S.A. i Polskę Press, by na tym nie zarabiać. Z pewnością będzie to dobra wiadomość dla pracowników grupy mediowej – ocenił Piotr Legutko. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich w uchwale wyraziło nadzieję na zmiany, przypominając o „niebezpieczeństwach związanych z nadmierną obecnością kapitału zagranicznego na polskim rynku medialnym, w tym praktycznie z monopolistyczną pozycją na rynku prasy regionalnej wydawnictwa Polska Press”. W sytuacji, w której większość liczących się mediów – w tym niemal w całości prasa regionalna – nie znajduje się w polskich rękach, będzie to ważny krok ku przełamaniu dominacji zagranicznego kapitału. „Jednocześnie Zarząd Główny SDP apeluje do PKN ORLEN o stworzenie przejrzystych mechanizmów gwarantujących respektowanie zasady wolności słowa, pluralizmu poglądów i niezależności dziennikarskiej” – podkreślono. Płocki gigant za prezesury Obajtka finalizuje przejęcie Lotosu i Energi, planuje też zakup PGNiG – dzięki tym inwestycjom przestaje być tylko spółką paliwową, a mocniej wejdzie w multienergetyczny rynek. W sferze zainteresowań PKN ORLEN znajduje się fotowoltaika, koncern wybuduje również farmy wiatrowe na Bałtyku. Jeśli do tego dodamy zakup największego dystrybutora prasy, czyli RUCH S.A., przejęcie Polski Press staje się jak najbardziej logiczne.

GP



Witold
Gadowski

„Gdyby w kuchni ktoś przy dziecku...”

Andrzej Rosiewicz wyśpiewał kiedyś w jednym ze swoich przebojów znamienne zdanie: „lecz jak czułbyś się w tym domu, czystym, oczywistym, gdyby w kuchni ktoś przy dziecku mówił po niemiecku?!”.



PUBLICYSTYKA

Z upływem lat maleją w Polsce emocje wokół niemieckich zbrodni popełnionych w Polsce, jednak skala inwazji niemieckiego kapitału na polski rynek informacyjny mogła świadczyć tylko o jednym – o chęci skolonizowania przez Niemców świadomości polskich odbiorców. Działo się to w każdej przestrzeni rynku mediów nad Wisłą.

Niemcy mówią po polsku

Silna obecność kapitału niemieckiego na polskim rynku medialnym nie jest przypadkiem ani zrządzeniem losu. Niemcy, które restrykcyjnie przestrzegają, aby obcy kapitał nie zajął więcej niż 20 proc. finansów obecnych w mediach ich kraju, jednocześnie forsują w Polsce pogląd, że kapitał nie ma narodowości i każdy, kto zwraca uwagę na rosnącą siłę niemieckiej propagandy nad Wisłą, jest awanturnikiem i ma totalniackie poglądy.

Kiedy więc grupa Orlen zdecydowała o przejęciu aktywów należących w Polsce do niemieckiej grupy Polska Press, maski opadły i wielu polityków, a także postaci życia publicznego, nie wytrzymało i zaczęło bredzić o „wrogim przejęciu”. W ich myśleniu okazało się, że zakup przez narodowy koncern ponad 20 tytułów prasy

lokalnej wydawanej w naszym kraju jest gestem wrogim i ma znamiona „puczu”, „zamachu stanu”. Tej treści brednie zdradzają jednak prawdziwe intencje formułujących je autorów – niemieckie pieniądze i interesy przemawiają po prostu z ich ust.

Inwazja

Wszystkie reguły rynku medialnego, których Niemcy przestrzegają u siebie, w Polsce zostały złamane, i to przeważnie przez kapitał o niemieckiej proveniencji. Chcąc zagwarantować sobie wpływy w Polsce, niemieckie służby i ośrodki nacisku rozwinęły u nas gęstą sieć fundacji i rozmaitych instytucji, które zajmują się forsowaniem niemieckiej racji stanu i niemieckich wpływów nad Wisłą. Elementem tej ekspansjonistycznej polityki była inwazja niemieckiego kapitału na polski rynek medialny. Niemiecki kapitał zawojował rynek prasy lokalnej w naszym kraju oraz niepodzielnie zapanował w segmencie tzw. prasy kobiecej, której polskie wydania były klonami niemieckich siostr. Jednocześnie Niemcy wydawali w Polsce największą gazetę bulwarową – „Fakt” (dopiero niedawno zmieniła się struktura własnościowa wydającego tę gazetę agresywnego koncernu), niemiecki kapitał zakupił także większościowe udziały w najpopular-

niejszej polskiej stacji radiowej – radiu RMF – oraz w bardzo popularnym portalu internetowym – Interia. Jeśli dodać do tego głos stanowiący w zarządzie portalu Onet, to wychodzi całkiem pokaźna skala wpływów tego kraju na rynku informacji w Polsce. Po dokonaniu przez Orlen medialnego zakupu odezwało się wielu „polskich medioznawców” (jakkolwiek śmiesznie zabrzmiał określenie kogoś takim słowem), którzy uznali, że wejście naftowego koncernu na rynek medialny jest sygnałem... upolitycznienia mediów. Pojawiły się także wypowiedzi, które pozują na „fachowe opinie”. Na przykład profesor Janusz Adamowski – dziekan Wydziału Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego – stwierdził, że „biznesowo ta decyzja nie ma żadnego uzasadnienia”. Pan profesor dziekan – kompletnie nieznany z dziennikarskich czy fachowych dokonań w branży medialnej („medioznawca” to pojęcie istic komiczne), wypowiedział się tak, jakby był czynnie zaangażowany w obronę niemieckich interesów w polskiej przestrzeni informacyjnej. Nie były to zresztą słowa odosobnione, podobne stanowisko zaprezentowało wielu innych „specjalistów”, którzy nie potrafili znieść powrotu polskiego kapitału w przestrzeń od lat zdominowaną przez niemiecką propagandę.



Czy to kiepski biznes?

Nie ma co udawać, że papierowe dzienniki przeżywają dziś rozkwit. Od dawna widać tendencję spadkową, umierania papierowych dzienników raczej nie da się już odwrócić – po prostu wymierają ich czytelnicy. Jednak każda z lokalnych gazet dopracowała się solidnego portalu informacyjnego i ten kasek medialnego tortu biznesowo nie jest już do pogardzenia – to dziś prawie 17,5 mln unikalnych użytkowników. Tym samym medialny interes Orlenu wcale nie wydaje się nieprzemyślanym krokiem, zważywszy przy tym na nową strategię koncernu, polegającą na dywersyfikacji dziedzin, w których jest obecny. Solidny dostęp do internetowej społeczności ma więc całkiem logiczne uzasadnienie. Bredzenie „medioznawców” o tym, że wraz z zakupem grupy prasowej przez Orlen tytuły lokalnej prasy znalazły się „pod partyjną kuratelą”, jest jedynie wyrazem ich frustracji i dowodem na to, jak dotychczas te tytuły były upolitycznione i stanowiły lokalny oręż w walce z obecnymi władzami w Warszawie.

Personalna rewolucja?

Przejęcie przez Orlen „niemieckiego pakietu” wywołało falę spekulacji na temat roszad kadrowych w kierownictwach

poszczególnych tytułów. W niektórych miastach przecież Niemcy kontrolowali wszystkie wydawane tam lokalne dzienniki. Tak jest w Krakowie, gdzie zarówno pezetpeerowska niegdyś „Gazeta Krakowska”, jak i „konkurujący z nią” „Dziennik Polski” były obecnie tytułami wydawanymi przez ten sam koncern, a w kierownictwach tych gazet roiło się od dziennikarzy nienawistnych wręcz wobec opcji niepodległościowej. Osobiście nie spodziewam się jednak wielkich zmian – po prostu ludzie znani dotychczas z antypisowskiej retoryki odkryją w sobie nagle zupełnie inne poglądy. Jednak słabość ludzkich charakterów nie może być argumentem oskarżającym biznesowe decyzje naftowego koncernu.

Panoszenie się...

Niestety, na własnej skórze odczułem skutki panoszenia się niemieckich koncernów w polskiej przestrzeni medialnej. Od kilku lat toczą proces z grupą Ringier Axel Springer wydającą w Polsce brukowy dziennik „Fakt”. Koncern, w którym do niedawna większościowe udziały posiadała wdowa po jego założycielu Axelu Springerze, za pomocą kancelarii „Kochański, Zięba i partnerzy”, wytoczył mi proces pod zarzutem naruszenia jego „dóbr osobistych”. Stało

się to z powodu przypomnienia przeszłości samego Springera oraz ludzi, których zatrudniał on w swojej firmie. Proces się zakończył, pozostało ogłoszenie wyroku i... nagle sędzia prowadzący postępowanie się rozchorował. Oczywiście niemiecki koncern był zaskoczony tym, że nie zrezygnowałem i nie przystąpiłem na jego propozycję „ugody”, tylko konsekwentnie dowodziłem swoich racji. To postępowanie raczej mało popularne nad Wisłą. Sam fakt wytoczenia polskiemu dziennikarzowi procesu o zniesławienie przed polskim sądem – za wypowiadanie oczywistych prawd historycznych – świadczy o bucie, bezczelności i rozpanoszeniu się niemieckiego kapitału na rynku medialnym w naszym kraju.

Niemiecka propaganda

Wiadomo, że kapitał dyktuje poglądy w mediach, które posiada. Dlaczego w wypadku wydawanych w Polsce mediów niemieckich miałyby być inaczej? Nieproporcjonalne wpływy Niemiec w polskich mediach zaczęły skutkować odruchowym uciekaniem od niewygodnych dla tego kraju tematów. Nikt nie chciał być obiektem zorganizowanej nagonki medialnej i wyszydzania. Tym bardziej że niemiecki kapitał – nawet po sprzedaniu 20 tytułów – z grupy Polska Press ciągle dysponuje w Polsce niebezpieczną siłą rażenia: od brukowego „Faktu” poprzez cały wachlarz pism kobiecych, które czytane są w zakładach kosmetycznych i u fryzjera, po najpopularniejsze portale internetowe i rozgłośnie radiowe.

Jak widać, nie ukrywam prywatnej niechęci do polskojęzycznych mediów wydawanych przez Niemców nad Wisłą. Nie wdaję się także w subtelności kapitałowe. Nie da się bowiem ukryć faktu, że w sprawie niemieckiej polityki imperialnej realizowanej w Europie Środkowej wszystkie te media stoją w jednym szeregu i przemawiają z właściwą Niemcom subtelnością. Długoletnia nadobecność niemieckiego kapitału w naszej sferze informacyjnej ciągle owocuje szybkimi karierami „artystów”, celebrytów i „polityków” zwasalizowanych wobec niemieckiego sposobu myślenia. GP

FELIETON { WIDZIANE ZE ŚMIETNIKA HISTORII }

POLSKA JAKO PODWYKONAWCA

Wiemy o polskich duchowych volksdeutschach i partii pruskiej kierowanej z Berlina czy raczej z ambasady. Ich aspiracją jest administrowanie Polską w imieniu Niemiec za prawo do dojenia własnego kraju. Ostatnio jednak zaczęła się kształtować i ujawniać partia niemiecka. W tym wypadku nie chodzi o reprezentowanie interesów Niemiec w Polsce, lecz o budowę oficjalnie Niemieckiej Unii Federalnej, która byłaby amerykańskim policmajstrem w Europie, jak proponuje to Annegret Kramp-Karrenbauer, zaś Polska byłaby podwykonawcą Reichu we wschodniej części niemieckiego imperium, które cieszyłoby się parasolem amerykańskim. Piotr Zychowicz, czołowy germanofil, który poczuł się awataram Studnickiego, i Jacek Bartosiak rozważają korzyści płynące z przynależności do federalnego państwa niemieckiego, które miałyby zainwestować w polską armię, by za-



Jerzy
Targalski

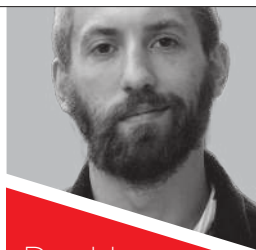
pewnić sobie bufor wschodni i by miał kto walczyć z Rosją w wypadku konfliktu. Z kolei mjr Fiszer mówi o korzyściach powołania w ramach NATO jako siły wspomagającej Armii Międzymorza, do której warto dopuścić Niemcy. Koncepcja ta zakłada, że Niemcy zerwą z polityką Bismarcka opartą na sojuszu

i penetracji Rosji i posłużą się nami do walki z Rosją, co będzie dla nas, jako podwykonawcy, też korzystne, bo pokonamy Moskwę. Oczywiście jestem pierwszy do walki z Rosją, tylko że zerwania z Bismarckiem nic oprócz zarzucenia przynęty przez Karrenbauer nie zapowiada. Nic nie gwarantuje lojalności Niemiec wobec USA. Za to wszystko gwarantuje dojenie Polski przez Niemcy, a bez produktów o wysokiej marży, jak kiedyś pouczał Bartosiak, nie będziemy zdolni do rozwoju. Warunkiem USA jest zerwanie Niemiec z Chinami, a Berlin robi wszystko, by zbliżyć się do Chin. W tym układzie Polska będzie niewolnikiem trzeciej kategorii.

FELIETON { LUBIĘ DINOZAURY }

AGONIA TUSKA

Warto zwrócić uwagę na to, czym król Europy, Donald Tusk, zajmował się przez ostatnie tygodnie. Podczas jednych z najcięższych i najważniejszych negocjacji w dziejach naszej obecności w Unii Europejskiej król Europy... nie zrobił właściwie nic. W momencie, gdy formował się przyszły kształt UE i to, do jakiego stopnia będzie możliwe arbitralne obchodzenie traktatowych ustaleń przez Niemcy, by ingerować w suwerenność reszty państw Unii (groźba na szczęście zażegnana na jakiś czas, pytanie jak długi), Donald Tusk de facto zniknął. Jedyne działanie polityczne, na jakie było go stać, to spotkanie z Lempart, przywódczynią strajku, który, skądinąd, właśnie dogorywa. Proszę nie zrozumieć mnie źle. Nie oczekiwałem od Tuska jakichkolwiek działań propolskich. Jasne jest, komu polityk ten służy. Okazało się tylko, że tak naprawdę jest on w sytuacjach poważnych bezużyteczny. Warto przypomnieć słowa, którymi opisywał rolę Tuska w Unii



Dawid
Wildstein

minister Grecji – jest on tylko lokajem Merkel. Chłopcem na posyłki. Jak się okazuje, gdy toczy się poważna gra, lokaj nie jest już nikomu potrzebny, także własnym szefom. Nawet Merkel uznała, że Tusk do niczego jej się nie przyda i zrezygnowała

z próby wykorzystania tej postaci. Bo i po co używać żetonów o zerowym właściwie nominale podczas poważnej partii? Smutna to agonia i kompletny upadek tego polityka. Może złagodzony odpowiednią ilością euro, ale nadal wygląda to na powolne umieranie. Odchodzenie w polityczny niebyt człowieka, który, niezależnie od naszej oceny tej postaci, kiedyś naprawdę rządził naszym krajem (a którego szkodliwość polityczną będziemy odczuwać jeszcze dekady). Który był jednym z najważniejszych i najsilniejszych polityków w dziejach III RP. A dziś stał się błaznem pomiatanym przez silniejszych, pozbawionym zaplecza nawet we własnej partii, dla której jest obciążeniem. Ponura to puenta jego życia. Ale wiedzą Państwo? Jakoś mi go nie żal.

FELIETON

{ WALKA O DUSZE }

Tomasz P.
Terlikowski

SZCZEPIONKA I WĄTPLIWOŚCI

Szczepionki przeciwko COVID-19, i to w zasadzie wszystkie, rodzą pewne etyczne wątpliwości. I zamiast udawać, że tak nie jest, trzeba zmierzyć się z pytaniami w tej kwestii. Taką drogę przyjęły Konferencje Episkopatu Anglii i Walii, a także Irlandii, które w specjalnych oświadczeniach spokojnie wyjaśniły, jakie jest stanowisko Kościoła wobec metod zastosowanych w tworzeniu, produkcji i testowaniu szczepionek, a jednocześnie ogłosiły, jakie powinno być stanowisko katolików w kwestii ich stosowania. Ich zdaniem katolicy, mimo etycznych wątpliwości co do niektórych elementów tworzenia, produkcji i testowania szczepionek przeciwko COVID-19, mogą je przyjąć. Oba oświadczenia

mówią jednak o moralnych zastrzeżeniach związanych z tym, że do stworzenia, produkcji i ostatecznych testów szczepionek produkowanych przez Oxford Astra-Zeneca i Janssen/Johnson & Johnson były stosowane linie komórek macierzystych HEK 293 i PER C6 pochodzące od abortowanych istot ludzkich. Stworzenie i pro-

dukcja szczepionki Pfizer/BioNTech nie były związane z użyciem tych linii, ale zostały one wykorzystane przy testowaniu szczepionki. Z perspektywy bioetyki katolickiej nie ma wątpliwości, że stworzenie takich linii opierało się na niemoralnym i bezprawnym działaniu, którego nie można usprawiedliwić. Jednocześnie przypomina się, że jeśli nie ma bezpośredniego związku między stworzeniem szczepionki a bezprawnymi i niemoralnymi działaniami, to – zachowując świadomość zła pierwotnego działania – katolik może stosować taką szczepionkę, szczególnie gdy istnieje „poważny powód” do jej zastosowania. Obie konferencje episkopatu podkreślają, że w tym wypadku taki powód istnieje. Konferencja Episkopatu Anglii i Walii przypomina jednak także, że katolik – powołując się na wątpliwości sumienia – ma prawo odmówić przyjęcia szczepionki, ale w takiej sytuacji „nadal ma obowiązek chronić innych przed infekcją”.

Do stworzenia, produkcji i testów szczepionek produkowanych przez Oxford Astra-Zeneca i Janssen/Johnson & Johnson były stosowane linie komórek macierzystych pochodzące od abortowanych istot ludzkich.

FELIETON

{ Z BLISKA }

Jan
Pospieszalski

DIABŁU ŚWIECZKĘ, A PANU BOGU... OGAREK

Centrum życia i rodziny opublikowało listę wykonawców, którzy na swoich profilach popierają #strajkkobiet. Organizacja Pro Life apeluje, aby Telewizja Polska w programach świątecznych koncertów kolędowych oszczędziła nam oglądania i słuchania występów piosenkarek, solistów i zespołów opowiadających się po stronie proaborcyjnej rewolty. Nie wymagam zbyt wiele od celebrytów, ale skoro widzę, że zrozumienie sprzeczności, jaką jest popieranie tzw. Strajku Kobiet z udziałem na przykład w koncercie kolęd na Jasnej Górze, przekracza ich zdolności intelektualne, pomogę w przeprowadzeniu prostego rozumowania. Umieszczając na swoim profilu logotyp z czarną

kobietą głową i czerwoną błyskawicą, identyfikujecie się z tym, co ten wizerunek ze sobą niesie. Przypomnę zatem, co niesie, czyli główne żądania ekipy, którą skrzyknęły pod swoje sztandary panie Lempart i Suchanow: po pierwsze, aborcja bez granic (czyli do 9. miesiąca, jak choćby we Francji). Po drugie, wprowadzenie przymusowej edukacji seksualnej i demoralizacji dzieci od przedszkola. Po trzecie, ograniczenie praw ludzi wierzących przez eliminację religii ze szkół i uznanie prawd moralnych, które są częścią nauczania Kościoła katolickiego, za mowę nienawiści podlegającą karaniu. Popieracie także napady na kościoły, profanacje Mszy św., bluźni na ulicach, plucie na funkcjonariuszy publicznych oraz wszystkie wykropkowane i niewykropkowane wulgaryzmy, a także cały katalog nie-pobożnych życzeń (dostępny na stronach strajkujących), których wprowadzenie zdemolowałoby demokratyczny ład i konstytucję Rzeczypospolitej Polskiej. Tajemnica Bożego Narodzenia to Ewangelia życia, a wy właśnie wybieracie cywilizację śmierci. „My, ludzie sceny, kochamy śpiewać kolędy...” – mówi tygodnikowi „Niedziela” Tomasz Szczepanik z zespołu Pectus, jeden z uczestników koncertu. Panowie, błagam, śpiewajcie, ale ze zrozumieniem tekstu. Czy nie widzicie, że w tych jasełkach obsadziliście się w roli Heroda?...

Umieszczając na swoim profilu logotyp z czarną kobietą głową i czerwoną błyskawicą, identyfikujecie się z tym, co ten wizerunek ze sobą niesie.



Dawid
Wildstein

OPINIE { PODWÓJNE STANDARDY }

PUBLICYSTYKA

Mój pedofil jest lepszy niż twój

Niedawno media obiegła informacja, że jeden z finalistów znanego programu TVN jest oskarżony o pedofilię i okrutne czyny dokonane na nieletniej. Po kilku dniach medialnej burzy sprawa właściwie zniknęła. Nikt nie został pociągnięty do odpowiedzialności, skandal wyciszono, problemu już nie ma. Ciężko nie odnieść wrażenia, że sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej, gdyby chodziło nie o przystojnego modela-celebrytę, lecz o osobę duchowną.

Pod wpływem krytyki stacja co prawda wyrzuciła oskarżonego o pedofilię z programu, niemniej nie przeszkodziło to całemu wachlarzowi „autorytetów” zacząć bronić Dominica D’Angelica. Brali w tym udział także gwiazdorzycy i pracownicy samego TVN-u, tacy jak Michał Piróg. Posunął się on nawet do stwierdzenia: „Sytuacja, która jeśli okaże się prawdą, jest niewybaczalna, ale musimy pamiętać, że młodzi ludzie robią różne rzeczy i nie zawsze stoi za tym zła wola”. W ten sposób bohater TVN-u skomentował oskarżenia o gwałt i pobicie jako „różną rzecz, za którą nie zawsze stoi zła wola”. Nie trzeba chyba tego komentować.

Celebrytom z TVN wolno

Sytuacja z D’Angelica jest tylko kolejnym przykładem podwójnych standardów środowiska, które dziś ubiera się w szatki „tropiciele” pedofilii. Jest dowodem ostentacyjnej hipokryzji i tego, że tak naprawdę

dla tych ludzi krzywda dzieci jest tylko narzędziem, kijem bejsbolowym, za pomocą którego chcą okładać swojego przeciwnika politycznego. Gdy nie posiada politycznej przydatności – przestaje ich obchodzić. Są zresztą dużo mocniejsze przykłady prawdziwości tej tezy niż sam model (który jednak został wyrzucony z programu). Warto przypomnieć tu o poruszanej przez Latkowskiego (w jego filmie dla TVP) kwestii pedofilii w Trójmieście. Skracając tę ponurą historię – okazało się, że znany klub (o wdzięcznym przydomku „Zatoka Sztuki”) był pedofilską agencją towarzyską. Miejscem, w którym niszczone dzieci tak strasznie, że doszło nawet do samobójstwa. Nikt nie został za ten proceder realnie ukarany (wyroki były tak niskie, że mogą być tylko kolejnym argumentem za degeneracją wymiaru sprawiedliwości w Polsce). Okazało się, że przez lata wiedza o tym, co się dzieje w tym klubie, była powszechna. I nawet wtedy, gdy już o sprawie tej pisały media, nie przeszkadzało to właścicielom

klubu brylować na celebryckich salonach i zapraszać wielkie gwiazdy do swojego lokalu. Znaczna część celebrytów gotowa była też medialnie bronić tego miejsca. Właściwie na tym sprawa się zakończyła. Na kilku śmiesznych wyrokach, a gwiazdy, które latami odwiedzały ten przybytek, nie musiały się właściwie z niczego tłumaczyć. Owszem, pojawił się film Latkowskiego wyraźnie pokazujący, jak piekielne było to miejsce, i zadający wielkim sławom najprostsze pytanie: jak to możliwe, że latami nic nie widziały? Dziennikarz został jednak błyskawicznie zakrzyczany, wrzucony do worka „PiS-owskiej propagandy”, celebryci nadal brylują na wizji w TVN-ie i walczą z „PiS-owskim reżimem”, nikt nie musiał się z niczego tłumaczyć, a dziennikarze TVN-u nadal tropią kościelną pedofilię...

Pedofile zmieniający świat na lepsze

Znów można tylko powtórzyć – tego typu ostentacyjnej hipokryzji i podwójnych



FOI STOCKADBE.COM



świata – tego nie wiemy. Wiemy za to, że sprawcy są bezkarni, a często traktowani jak bohaterowie.

Nowe potwory lewicy

Głównym argumentem lewicy, którym macha, uderzając w Kościół, jest to, że w ten sposób rozsądza ona reakcyjne, przestarzałe i patologiczne systemy zależności, wspólnoty, w zamian wprowadzając wolność. Dlatego z taką lubością pokazuje nam przykłady zła i obrzydliwości, które można tam znaleźć. Pytanie tylko brzmi: jaka to właściwie wolność i jaki jest prawdziwy cel tych działań? Po pierwsze, mamy już wspomnianą hipokryzję, działanie w myśl zasady „mój pedofil jest lepszy niż twój”. Tego typu podwójne standardy to pełna instrumentalizacja krzywdy dziecka. Przypomina to casus dziecięcych samobójstw, które interesują lewicę tylko wtedy, gdy osoba, która odebrała sobie życie, była homoseksualna. Pokazuje to, że realnym celem nie jest czyjekolwiek dobro, lecz aktualna walka polityczna. Po drugie okazuje się, jak w wypadku Cohn-Bendita, że ten ich nowy świat nie jest, najdelikatniej rzecz ujmując, lepszy. W nowe przestrzenie „wolności” wchodzi najgorsze patologie: powszechna pornografia, seksualizacja, obsesja idealnej cielesności, sprowadzanie człowieka tylko do kwestii seksu etc. Być może część lewicy nawet chce walczyć z demonami, które rodzi, ale wychodzi, jak wychodzi – przykładem Anja Rubik usiłująca tłumaczyć ludziom grubszy, że nie powinni się wstydzić, sama jednocześnie lansując typ urody, w którym chorobliwa chudość jest ideałem. Tego typu absurdu można wymieniać w nieskończoność. Niemniej żadna z opisanych powyżej patologii nie jest usprawiedliwieniem czy to dla prawicy, czy Kościoła. Przecież nie chodzi teraz o to, by prześcigać się w tym, gdzie jest więcej pedofilii. Jest to i skrajnie niemoralne, i nieroztropne. Jedyną drogą, proszę wybaczyć tę nieznośną górnolotność, jest staniecie w pełnej prawdzie. Także co do skali zaniechań i okrucieństw, które popełnili niektórzy ludzie Kościoła. Tylko tak wygramy tę walkę.

PUBLICYSTYKA

GP

standardów jest mnóstwo. Nie jest to oczywiście specyfika wyłącznie Polski. Spójrzmy chociażby na standardy Hollywood, w którym systemowa pedofilia jest wręcz oczywistością, a którego gwiazdy mają wciąż usta pełne lewicowych frazesów, tak chętnie potem kolportowanych przez najróżniejsze media jako prawdy objawione. Ale warto przypomnieć jeszcze inny casus, dziś już trochę zapomniany. Czyli Cohn-Bendita. Ten jeden z największych autorytetów lewicy i postępowej Europy wprost mówił o seksualnej przyjemności, jaką dawała mu eksploracja cielesności malutkich dzieci i sposób, w jaki tuliły się one do jego genitaliów. Prawdę mówiąc, ten przykład powinien być na sztandarach prawicy do końca świata. Nie jako argument za obroną Kościoła i zaniechań tej instytucji, bo jedno zło nie wpływa na drugie. Ale dlatego, że zostało to zapomniane, tak bardzo, że dziś Daniel Cohn-Bendit, człowiek publicznie opowiadający o gwałtach

dzieci w przedszkolu, jest nadal bohaterem. Warto też przypominać, że patologia ta nie trwała w próżni. Było to wtedy powszechnie akceptowanym sposobem działania tysięcy radykalnych lewicowców. Sam Cohn-Bendit przyznał, że jego zachowania były efektem obowiązującej wówczas mody. Ciężko o większe samooskarżenie tej formacji. Warto bowiem zauważyć, że niezależnie od koszmarnych grzechów niektórych ludzi Kościoła, którzy okazali się potworami, niezależnie od systemowej niesprawności tej instytucji w zwalczaniu tego problemu (która jest po prostu faktem, jeśli spojrzeć w ujawniane dziś papiery), zło to działało się na przekór deklarowanym ideom. Było ich zaprzeczeniem, było zniszczeniem najgłębszych prawd Kościoła. Tymczasem w wypadku lewicy zachodniej i jej seksualnej rewolucji było wprost postulowane i miało być nowym rajem. Ile tysięcy dzieci zostało zniszczonych tym, jak „głaskali” je prorocy nowego, wspaniałego



Joanna
Lichocka

RZĄD PIS JEST GWARANCJĄ SUWERENNOŚCI

Ostatni tydzień znów pokazał, że stan, w jakim znajduje się totalna opozycja, jest więcej niż żałosny. Występy liderów opozycji – myślę tu o szefach KO i PSL – podczas debaty nad wotum nieufności wobec wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego zasługują tylko na to, by pisać słowo „liderów” w cudzysłowie

PUBLICYSTYKA

Borys Budka, który usiłował przekonać, że niesprawiedliwie przypisuje się jego ugrupowaniu miano „totalnej opozycji”, wzbudził śmiech, a niezdarnie wysuwane przez niego i przez Kosiniaka-Kamysza propozycje do części Zjednoczonej Prawicy, by odwołać Jarosława Kaczyńskiego – zażenowanie. Totalni nie umieją odnaleźć się w rzeczywistości. Gdy ich wypróbowana metoda polityki nienawiści nie ma zastosowania, są bezradni. A dzieje się tak po szczycie Unii Europejskiej, gdy premierowi Morawieckiemu udało się wywalczyć największe w historii pieniądze dla Polski i zarazem uniknąć pułapki uzależnienia ich wypłaty od arbitralnych decyzji urzędników Komisji Europejskiej. Gdyby było weto Polski, opozycja miałaby sytuację jasną – hejtowi nie byłoby końca. Kiedy go nie ma, a jest porozumienie – nie wiedzą, jak działać. Atakować coś, za czym stoi niemiecka prezydencja – nie mogą. Docenić działań rządu – nie są w stanie, pochwalić premiera – tym bardziej. Abstrahując od meritum sporu wokół negocjacji w sprawie budżetu UE i programu odbudowy – znów okazało się, że opozycja nie ma w swoim gronie nikogo, kto mógłby intelektualnie sprostować Kaczyńskiemu czy Morawieckiemu. Nawet ludzie, których poglądy są odległe od PiS, dostrzegają marny poziom PO i PSL. Jedna z dziennikarek bliska Platformie napisała na Twitterze – chyba w desperacji – że podczas tej sejmowej debaty najlepsze wystąpienie miał... Robert Winnicki.

Tymczasem warto się cieszyć, że w ciągu siedmiu lat Polska otrzyma 770 mld zł. Jeśli ustalenia ze szczytu zostaną dotrzymane, to mamy je zagwarantowane, gdyż mechanizm warunkowości zaproponowany przez niemiecką prezydencję został

w poważnym stopniu ograniczony. Warto też pamiętać, że kolejne punkty konkluzji ze szczytu – o większość z nich toczyły się negocjacje – to sukces Mateusza Morawieckiego. Dzięki temu wraz z Węgry udało się wywalczyć twarde zapisy, które będą w wytycznych Komisji Europejskiej. Poza nimi mechanizm warunkowości nie będzie mógł być stosowany. Według ustaleń ze szczytu, mechanizm ten będzie mógł służyć wyłącznie ochronie budżetu Unii i odnosić się do sytuacji, które wywierają negatywny wpływ na budżet UE: przeciwko nadużyciom finansowym, korupcji, konfliktowi interesów. Co istotne – żadna instytucja Unii nie będzie mogła wyjść poza konkluzje albo działać wbrew nim. Środki zastosowane w ramach mechanizmu warunkowości będą musiały być proporcjonalne do wpływu naruszeń praworządności na należyte zarządzanie finansami UE. Także samo ustalenie, że doszło do naruszenia praworządności, nie wystarczy do uruchomienia mechanizmu. Warto też pamiętać, że wynegocjowane konkluzje zabezpieczyły nasze interesy także w tym sensie, że gdyby teraz rozporządzenie KE wiążące wypłatę środków z funduszy z praworządnością zostało wycofane, to za jakiś czas mogłoby pojawić się kolejne, znacznie gorsze, przyjęte już kwalifikowaną większością w Radzie Europejskiej, i nie mielibyśmy skutecznych narzędzi, aby je zablokować. Dzięki wynegocjowanym konkluzjom zostały wyznaczone granice – nie łudząc się, że nie będą podejmowane kolejne próby tego typu w przyszłości, można powiedzieć, że póki nie zostaną zmienione konkluzje ze szczytu, póty fundusze dla Polski są bezpieczne.

A zatem – Komisja Europejska jest zobowiązana do przyjęcia wytycznych zgodnych z konkluzjami Rady Europejskiej. Wytyczne zostaną zapisane w protokole Rady UE i będą dla Komisji bezpośrednim zobowiązaniem. Komisja jest jedynym organem, który będzie mógł wszcząć procedurę opisaną w rozporządzeniu i będzie mogła zrobić to wyłącznie w sposób określony w konkluzjach. Gdyby jednak ustalenia ze szczytu zostały zlekceważone, Polska nadal będzie mogła zablokować wejście w życie ich efektów – poprzez odmowę ratyfikacji w Sejmie tzw. decyzji o zasobach własnych. Dojdzie do niej dopiero wtedy, gdy wytyczne Komisji będą przyjęte w sposób wiążący i zgodny z konkluzjami ze szczytu.

W najbliższych latach Polska będzie podlegać jeszcze różnym naciskom, krytyce i presji w Unii Europejskiej. Będzie to wzmacniane i wykorzystywane przez totalną opozycję. Nie liczymy na to, że dla polityki obecnego rządu, wychodzenia z postkomunizmu i odzyskiwania równowagi w relacjach z innymi członkami Unii znajdziemy wielu sojuszników w obecnych elitach w Brukseli. Trzeba to wytrzymać i robić swoje. Niemniej warto pamiętać, że tylko ten rząd gwarantuje, iż konkluzje z ostatniego szczytu nie zostaną zmienione (potrzeba do tego jednomyślności wszystkich państw) i że gdyby przyszedł rząd utworzony przez polityków totalnej opozycji, gwarancji wywalczonych przez Mateusza Morawieckiego nie będzie. A wtedy, faktycznie, możemy mieć – jeśli chodzi o suwerenność i wolność – poważny kłopot z Unią (i z takim rządem).

GP

ZAMÓW DOWOLNĄ PRENUMERATĘ ZYSKAJ DO 15% RABATU

NA ZAKUPY W SKLEPIE GAZETY POLSKIEJ

Sprawdź naszą ofertę na stronie
prenumerata.swsmedia.pl



**RABAT ZALEŻY
OD OKRESU
PRENUMERATY!**

**PRENUMERATA
KWARTALNA**



**5%
RABATU**

**PRENUMERATA
PÓŁROCZNA**



**10%
RABATU**

**PRENUMERATA
ROCZNA**



**15%
RABATU**



Promocja obowiązuje w dniach 19.10-30.11.2020 r.



Wejście na stronę [www](http://www.gazeta-polska.pl)
przez kod QR.
Zeskanuj kod aplikacją
do odczytu
kodów QR w telefonie.



GAZETA POLSKA

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NONE PANSTWO

Kontakt: prenumerata@swsmedia.pl | tel. 605 900 002, 501 678 819
Konto prenumeraty: 82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp z o.o.,
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa



Krzysztof
Wołodźko

OPINIE { ANI POMYSŁU, ANI LIDERA }

Opozycja, czyli jeździć bez głowy

Pandemia nie tylko pokazała, jak trudno rządzi się państwem w czasie kryzysu. Uświadomiła również, jak bardzo nawet elektorat opozycji nie wierzy, że jest ona zdolna do przejścia władzy w Polsce.

PUBLICYSTYKA

Zjednoczona Prawica ma problem – to prawda. Sondaże nie są dla niej najlaskawsze, a pandemiczne tąpnięcie stanowi największe od trzech dekad wyzwanie, przed jakim stanęliśmy jako naród, społeczeństwo i państwo. Jeśli spojrzeć na rzecz z dystansem, to fakt, że Prawo i Sprawiedliwość wciąż jest liderem sondaży wyborczych, choć nastroje społeczne zdecydowanie pogorszyła pandemia, pokazuje, jak niewiarygodna jest dla większości wyborców opozycja. Stopniowe wychodzenie z pandemii i związane z tym otwarcie gospodarki oraz dalszy kurs na politykę prospołeczną mogą zadziałać na korzyść rządzącej koalicji, jeśli zachowa wewnętrzną spójność.

Bez lidera, bez pomysłu

Opozycja, nawet w tak trudnej dla PiS sytuacji, wciąż przypomina jeźdźca bez głowy: nie ma lidera, nie ma realnego programu naprawczego, nie ma właściwie nic poza swoimi nadziejami na powrót do Polski sprzed 2015 roku. I nawet jeśli Platforma Obywatelska i Polska 2050

Szymona Hołowni wydają się coraz bardziej dościgać PiS, to warto pamiętać, że zawdzięczają to nie pracy swoich wioślarzy, lecz temu wiatrowi w żagle, którym są pandemiczne emocje społeczne.

Ktoś powie, że to nazbyt optymistyczna dla rządzących analiza. Ale bardzo podobne wnioski wysnuwają wyborcy opozycji. I zaprzyjaźnione z nimi media. Głośnym echem odbił się sondaż dla OKO.PRESS z końca listopada. Wynika z niego, że 62 proc. badanych uważa, iż w razie przejścia władzy od PiS, opozycja nie jest gotowa, by dobrze rządzić. Łącznie aż połowa wyborców Koalicji Obywatelskiej, ruchu Hołowni, Lewicy i Polskiego Stronnictwa Ludowego nie wierzy w merytoryczne zdolności partii opozycyjnych. Co więcej, w tym sondażu wyraźnie zaznaczył się wśród ankietowanych spadek zainteresowania uczestnictwem w wyborach parlamentarnych.

Warto uzupełnić powyższe dane informacjami z kolejnego sondażu. Również dla OKO.PRESS. Wynika z niego, że o ile znaczna część wyborców nie ufa opozycji, o tyle zadeklarowani wyborcy PiS nierzadko



uważają, że rząd radzi sobie z pandemicznymi wyzwaniami. Mówimy o elektoracie, który najprawdopodobniej ma jasność, czy w przyszłości iść do wyborów. To ten elektorat najpewniej świetnie przeczuwa, że wiele by stracił, jeśli inni wybraliby za niego.

Historyczna szansa dla PiS?

Jeśli mamy już za sobą pandemiczny szok związany z jesiennym wzrostem zachorowań i ewidentnym przyrostem zgonów, przed Zjednoczoną Prawicą stoi historycznie niezwykle szansa: odbudowa silniejszej pozycji politycznego lidera na kolejne lata. I to w demokratycznych realiach, z bardzo silną sondażową presją, decydującą o losach poszczególnych partii budujących naszą klasę polityczną. Gdyby się to udało, byłby to ewenement w polskiej historii, nie tylko czasów III RP. Oczywiście ten ewentualny sukces Zjednoczona Prawica musi sobie wypracować. To przede wszystkim pytanie do jej najważniejszych polityków, czy tego chcą.

Do myślenia daje również niedawny sondaż SW Research dla „Rzeczpospoli-



tej”. Jego uczestnicy usłyszeli pytanie: „Który polityk Pani/Pana zdaniem zasługuje na rolę lidera opozycji?”. Okazuje się, że 24 proc. respondentów uznało, że „żaden polityk opozycji nie zasługuje na takie miano”. Ponad 21 proc. ankietowanych widzi w tej roli Rafała Trzaskowskiego, niecałe 19 proc. – Szymona Hołownię. Później jest długo, długo nic, a następnie Krzysztof Bosak. Następnie znów długo nic i w okolicy mocnych 2 procent poparcia – Włodzimierz Czarzasty, Borys Budka i Władysław Kosiniak-Kamysz, lepiej znany jako „Tygrysek”.

Syndrom jeźdźca bez głowy i w tej kwestii objawia się w pełnej krasie. Większość ankietowanych na tyle nie ufa opozycyjnym politykom, że żadnego z nich nie widzi w roli lidera opozycji. A najmocniejszy kandydat do tej niewdzięcznej roli, czyli Rafał Trzaskowski, nie radzi sobie z rządzeniem stolicą, a do tego jest politycznym krętaczem, co niedawno znów świetnie pokazał w sprawie ulicy Lecha Kaczyńskiego w Warszawie. Wie jednak, jak budować swoje poparcie, wykorzystując do tego sprawowany urząd: jako pre-

zydent Warszawy najlepiej się czuje w roli mentora ulicznych spacerów z błyskawicą. Ciekawe swoją drogą, czy to stołeczny ratusz będzie płacił za renowacje autobusowych wiat i elewacji budynków często-gęsto „zdobionych” w czasie tych spacerów. Skoro jednak gdy trzeba, oświetla Pałac Kultury anarchistyczną błyskawicą, to i pewnie antyrządowe graffiti ma wliczone w koszt.

Dla kogo Polska?

W tym wszystkim nie chodzi jedynie o bieżącą polityczną grę. Problem jest głębszy i może zaważyć na kondycji polskiego państwa już w trzeciej dekadzie XXI wieku, która pewnie nie będzie należała do najspokojniejszej. Nic nie wskazuje na to, by opozycja była w stanie przygotować się merytorycznie do przejęcia władzy – najwyraźniej zdaje sobie z tego sprawę Szymon Hołownia, stwierdzając, że opozycja powinna przestać zajmować się PiS-em i zająć się sobą. Poparcie dla niego wydaje się już dość pewne i stabilne – o wiele mniej jasne jest, jakimi właściwie dysponuje strukturami. Może próbować

przejmować te już gotowe, szczególnie lokalne struktury Platformy i PSL-u – nie tylko ze wszystkimi z tego korzyściami, lecz także z całym ich brudnym kapitałem, a tego bywa sporo. Stąd zbyt czytelne dla wyborców przejmowanie struktur Platformy w terenie może zrazić do Hołowni część wyborców, gdy przejrzą tę sztuczkę. A gwiazdzie TVN zależy przede wszystkim na wrażeniu nowości i niewykłania – wszystko, co podważy wiarygodność tego wizerunku, będzie Polsce 2050 i jej liderowi szkodzić w czasie ewentualnej wyborczej kampanii.

Nie ma najmniejszych wątpliwości – a spotkanie Donalda Tuska i Marty Lempart jeszcze to potwierdza – że cały program liberalno-lewicowej opozycji to powrót do realiów sprzed 2015 roku. Więcej jeszcze: to próba takiego domknięcia i petryfikacji systemu, żeby nigdy już zwycięstwo Prawa i Sprawiedliwości (lub innej kontestującej porządek III RP formacji) nie było możliwe. A to będzie oznaczało, mówiąc publicystycznym skrótem, bantustan na niemieckiej/unijnej kropkownicy. Przesada? Kilka lat temu wpływowy dziennikarz ekonomiczny, publicysta „Bloomberg View”, czyli Leonid Bereszydzki (Bershidsky), nazwał kraje Europy Środkowo-Wschodniej „państwami w posiadaniu innych”. Chodziło oczywiście o ekonomię. A ta znaczy często więcej niż polityka.

Naprawdę łatwo można wyobrazić sobie sytuację, że gdy tylko PiS przestanie rządzić, większość liberalnych mediów straci serce do nagłaśniania jakichkolwiek problemów i napięć społecznych. Wróćmy pozory przekonania, że żyjemy w najwspanialszej demokracji, ze sprawnymi instytucjami, najrzetelniej przestrzeganą konstytucją, cudownym systemem sprawiedliwości, efektywnym systemem gospodarczym – tym nas przecież karmiły liberalne media przed 2015 rokiem. A kompradorskie elity chętnie wrócą do swojej roli nadzorców folwarku, żyjących z płynącej stąd renty. I jedynie ku takiej przyszłości, jak się zdaje, zdolna jest doprowadzić nas opozycja, tragikomiczny jeździec bez głowy, karmiący się pandemicznym kryzysem i konfliktami w łonie rządzącej koalicji.

GP



Józef
Wieczorek

{ PLAGI AKADEMICKIE }

WYSPA SZCZĘŚLIWOŚCI STANU WOJENNEGO

13 grudnia minęła 39. rocznica wprowadzenia stanu wojennego na terytorium całego kraju. Po latach czytelnicy historii mogą mieć jednak wątpliwości, czy stan wojenny został wprowadzony także na uczelniach i czy spowodował jakiekolwiek dotkliwe skutki w domenie akademickiej. Dostępne w internecie historie uczelni na ogół pomijają tę datę, jakby nic istotnego w ich historii wtedy się nie wydarzyło.

W „Dziejach Uniwersytetu Jagiellońskiego”, wydanych w 2000 roku na 600. rocznicę odnowienia jagiellońskiej wszechnicy, nie ma nawet takiego terminu jak „stan wojenny”. Czyli co? To wydarzenie nie miało żadnego znaczenia dla najstarszej polskiej uczelni? Nie warto o nim nawet wspomnieć? „Dzieje” są książką pozostającą w obiegu edukacyjnym, więc taką historię, bez stanu wojennego, przyswajają sobie młodzi Polacy, szczególnie ci, którzy chcą otrzymać indeks UJ. A starsi dziwią się, że młodzież nie zna naszej historii. A dlaczego nie dziwimy się, że naszej historii nie znają / nie chcą znać profesorowie, historycy polskich uczelni?

Dlaczego nie ma protestów historyków, organizacji kombatanckich, solidarnościowych, ministerstwa przeciwko takiemu fałszowaniu historii? Czemu finansuje się takie „dzieła”, takich „historyków”? Przed konsekwencjami chroni ich autonomia? Przecież autonomię to uczelnie mają do poznawania prawdy, a nie do jej unicestwiania.

Od lat informuję o tym opinię publiczną, akademicką, władze UJ, komisje PAU, ministrów nauki i szkolnictwa wyższego. I żadnych pozytywnych reakcji. Na wydawanie dzieł naukowych podobno nie ma pieniędzy, ale na wydawanie takich szkodliwych bubli – są! Kto policzy szkody

społeczne spowodowane takimi dziełami? Przecież, jak wiadomo, jeśli Jaś zbyt dobrze czegoś fałszywego się nauczy, to Jan nie zdoła się tak łatwo oduczyć.

Na początku wieku starałem się o realizację projektu „Czarna Księga Komunizmu w Nauce i Edukacji”, ale został on odrzucony przez PAU z informacją, że na takie coś publicznych pieniędzy nie będzie!

To, że w edukacji peerelowskiej nie było sprawy Katynia, „noża w plecy” i innych niewygodnych dla przyjaźni polsko-radzieckiej dat, nazywamy skandalem,

zakłamywaniem historii typowym dla systemu komunistycznego – i słusznie. Ale gdy w wolnej Polsce, w tekstach o najnowszej historii, nie ma słów „komunizm”, „stan wojenny”, PZPR, to reakcji brak. Niektórym obywatelom Polski taki stan rzeczy nie mieści się w głowie, ale widocznie „profesorowie” mają bardziej pojemne głowy, zdolne do pomieszczenia i takich skandali.

Ponieważ akademicy tłumaczą braki naukowe niedostatkami pieniędzy, zadawałem publicznie pytanie: ile pieniędzy muszą dostać profesorowie, aby zdołali zidentyfikować w historii stan wojenny i system komunistyczny? Bez odpowiedzi, przez lata! Odnieść można wrażenie, że za żadne skarby nie chcą poznać prawdziwej historii i cały skarb państwa można by dla nich opróżnić, a prawdy i tak nie wykryją.

Niewykryciu stanu wojennego w historii UJ towarzyszyło niewykrycie pokrzywdzonych w PRL, nad czym pracowali uczeni jagiellońscy w III RP. Prowadząc

badania jedynie wśród beneficjentów systemu, otrzymywali oczekiwany rezultat – brak pokrzywdzonych! Co prawda wykrywano działania SB, ochraniającej tak cenny obiekt jak UJ i jego pracowników, ale podobno nikomu z przyczyn politycznych włos z głowy nie spadł. Można by sądzić, że SB wraz z dziesiątkami TW, KO ochraniała tak znakomicie UJ, że ten stanowił podczas wojny jaruzelsko-polskiej wyspę szczęśliwości. Może nie aż tak szczęśliwą jak Sołowki w czasach stalinowskich według opo-

wiadań Maksyma Gorkiego, ale jednak. No cóż, to historycy-bajkopisarze taką wyspę szczęśliwości w morzu jaruzelskim utworzyli.

Może zainspirowani byli bajką „Wyspa szczęśliwości” [Leszek Sulima Ciundzewicki]:

Kiedyś dzieci wymyśliły, że na wyspie będą żyły. Same na niej zamieszkają, wpuszczają tych, co z bajek znają.

I dobrze na tym wyszli, zatrudniani na etatach, stanowiskach (nieraz wielu). Sami na wyspie szczęśliwości żyli/żyją, wpuszczając na nią tylko tych, których ze swych bajek znają. Tak, tak. Na tej jaruzelskiej wyspie szczęśliwości prowadzono selekcję kadr

akademickich, ale ci szczęśliwi badacze oznajmiali w swych raportach, w ramach powracającej fali zakłamywania historii, że ta selekcja per saldo była korzystna. Dla nich na pewno tak, a wpuszczając na wyspę jeno bohaterów swoich bajek, mogli żyć długo i szczęśliwie, bacząc tylko, aby na wyspę nie wtargnęli jacyś niepożądani „korsarze” i nie zakłócili im szczęśliwego żywota.

GP

{ PRZESZŁOŚĆ
POWRÓCI IDEĄ }

„RĄCZY”

„Nie lękał się ani niemieckich, ani sowieckich lanc i dział. Z honorem służył Bogu i Polsce. Cześć Jego Pamięci! RiP” – napisał prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda 13 grudnia 2019 roku po śmierci generała Tadeusza Bieńkowicza, ps. Rączy. Przypomnę niezwykłą postać polskiego bohatera dwóch okupacji i dwóch konspiracji. Tadeusz Bieńkowicz urodził się 15 kwietnia 1923 roku w Lidzie na pięknej, polskiej ziemi grodzieńskiej. Mimo młodego wieku nie mogło go zabraknąć, gdy Ojczyzna znalazła się w niebezpieczeństwie. I tak we wrześniu 1939 roku poszedł na wojnę jako ochotnik, dowódca lidzkiego baonu frontowego harcerzy. Wojna o Polskę z czerwonym okupantem skończyła się dla Tadeusza Bieńkowicza w 1956 roku, kiedy opuścił komunistyczne więzienie. Ale po drodze walczył z okupantem niemieckim. W 1943 roku został żołnierzem 77. Pułku Piechoty Armii Krajowej Okręgu Nowogródzkiego, dowodzonego przez słynnego por. Jana Borysewicza „Krysię”. Za udział w odbiciu kilkudziesięciu polskich skazańców – 18 stycznia 1944 roku – z niemieckiego więzienia w Lidzie (dowodził



Tadeusz
Płużański

grupą szturmową) Bieńkowicz został odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari. Po ponownym wejściu Sowietów na Nowogródczynę nie złożył broni. Brał udział w likwidacji wysokiego dowódcy NKWD majora Kanarczuka. Pozostając w konspiracji, przedostał się do Polski centralnej. Nie ujawnił się, pozostając w strukturach Ruchu Oporu Armii Krajowej. Działal m.in. w Gdańsku, skąd – ze względu na zagrożenie ze strony UB – wyjechał do Krakowa i rozpoczął studia na Akademii Handlowej. Aresztowany przez gdańskie UB w czerwcu 1950 roku, został poddany ciężkiemu wielomiesięcznemu śledztwu (torturujący go ubek w 2005 roku usłyszał wyrok dwóch lat więzienia). Mimo iż nie przyznał się do winy, komuniści skazali go na karę dożywotniego więzienia. Zrehabilitowany został dopiero na początku lat 90. Rok temu, po mszy świętej żałobnej w kościele Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, kondukt pogrzebowy przeszedł ulicami Krakowa na Cmentarz Rakowicki, gdzie śp. generał Tadeusz Bieńkowicz „Rączy” spoczął w Alei Zasłużonych.

FELIETON

REKLAMA

Najnowsza publikacja IPN:

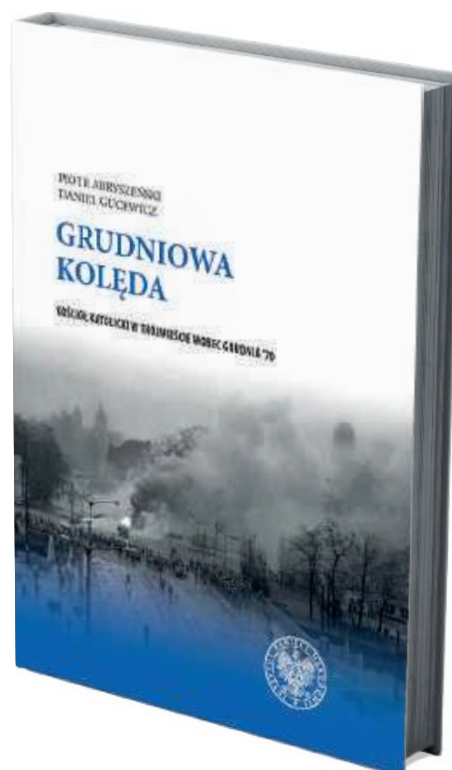
GRUDNIOWA KOŁĘDA

Kościół katolicki w Trójmieście wobec Grudnia '70

Książka stanowi pierwszą próbę kompleksowego przedstawienia reakcji Kościoła katolickiego na rewoltę grudniową 1970 r. w Trójmieście. Opisano w niej również działania władz komunistycznych, które w obliczu kryzysu starały się wykorzystać autorytet duchowieństwa do własnych celów.

W 50. rocznicę Grudnia '70 zobacz dyskusję z udziałem prezesa IPN dr. Jarosława Szarka oraz autorów: dr. Piotra Abryszeńskiego i dr. Daniela Gucewicza wokół najnowszego wydawnictwa IPN *Grudniowa kołęda. Kościół katolicki w Trójmieście wobec Grudnia '70*.

Transmisja dyskusji:
16 grudnia, godz. 12.30





Iwo
Bender

Jak amerykańskie media ukrywają dowody wyborczych fałszerstw

Urzędujący, niezwykle popularny prezydent ubiega się o reelekcję, walka toczy się głównie w czterech tzw. swing states – w których ani republikańskie, ani demokratyczne nie mają zwycięstwa w kieszeni. Kontrkandydat ostatecznie wygrywa w dwóch z nich i, mimo bardzo dobrze udokumentowanych oskarżeń o fałszowanie, a właściwie kupowanie głosów, obejmuje urząd. Pierwsza dama opuszczając Białą Dom prosi służbę, aby o niego dbała, bo zamierza tam powrócić za cztery lata. Tak, wybory w 1888 roku były bardzo ekscytujące.

Republikanin Benjamin Harrison (wnuk prezydenta Williama Harrisona) pokonał demokratę Grovera Clevelanda, któremu nie pomógł nawet fakt, że do prasy wyciekła specjalna tajna instrukcja, jak należy zbierać grupy po pięciu mężczyzn i płacić im po dwa dolary za głos oddany na Harrisona.

W 1892 obaj panowie znowu stoczyli wyborczy pojedynek, którego zwycięzcą okazał się Grover Cleveland, stając się jak dotąd jedynym prezydentem Stanów Zjednoczonych, który sprawował swoją funkcję przez dwie nienastępujące bezpośrednio po sobie kadencje.

Powtórka z historii

Czy jesteśmy właśnie świadkami powtarzania się historii? Donald Trump konsekwentnie odmawia uznania wyniku wyborów, media głównego nurtu nie informują o dowodach fałszerstw i złożonych pod przysięgą zeznań – tzw. affidavits – świadków (za kłamstwo w takim przedprocesowym zeznaniu grozi nawet 8 lat więzienia) i wzywają Trumpa do oficjalnego uznania porażki. Dodajmy, że 20 lat temu, kiedy to Al Gore kwestionował

przez ponad miesiąc zwycięstwo Georga W. Busha, media trzymały jego stronę.

Prawnicy prezydenta, którym przewodził były burmistrz Nowego Jorku, Rudy Giuliani, składają kolejne pozwy. Niezależna znana adwokat i była prokurator Sidney Powell oskarża firmę produkującą elektroniczne maszyny do głosowania o związki z wenezuelskim dyktatorem Hugo Chavezem, a prokurator generalny stanu Teksas występuje do Sądu Najwyższego z wnioskiem mogącym doprowadzić do unieważnienia wyniku wyborów w szeregu stanów, w których prawo wyborcze zostało zmienione w tym roku. Kolejne pozwy (w tym ten z Teksasu) są odrzucane, na ich miejsce pojawiają się nowe, a w kolejnych stanowych legislaturach odbywają się wysłuchania świadków nadużyć. W całym kraju trwają marsze pod hasłem „Zatrzymać kradzież!”, a wokół budynków administracyjnych organizowane są modlitwy „Jerycha”. Czy to cokolwiek może zmienić? Kto zostanie zaprzysiężony 20 stycznia na 46. prezydenta Stanów Zjednoczonych? Najprawdopodobniej Joe Biden, ale zważywszy, że argumenty należy ważyć, a nie liczyć, jedna wygrana

przez zwolenników Donalda Trumpa sprawa przed Sądem Najwyższym może sytuację zmienić diametralnie.

Jak patrzeć na sondaże

Jak doszło do tego niesłychanego zamieszania? Na początku roku Donald Trump, który obroną ręką wyszedł z procedury impeachmentu, czyli złożenia go z urzędu, zdecydowanie prowadził w sondażach. Wiosną, wraz z rosnącym zasięgiem epidemii, Partia Demokratyczna i główne media jednym głosem zaczęły oskarżać Trumpa o nieudolność w zwalczaniu choroby, celebryci dosłownie zaczęły nazywać go mordercą, a wyniki sondaży wskazały załamanie poparcia dla urzędującego prezydenta. Nie miało znaczenia, że to gubernatorzy stanów decydowali o sposobie walki z epidemią, a najwyższe wskaźniki śmiertelności wystąpiły w stanach rządzonych przez gubernatorów pochodzących z Partii Demokratycznej, na przykład Nowy Jork i New Jersey. Wkrótce sondaże zaczęły wskazywać mierzącą przewagę nieprowadzącego właściwie kampanii Bidena nad Trumpem, na którego wiece zjeżdżały się kilkudziesięciotysięczne





tlumy. Po wyborach media zamilkły na temat sondaży, okazało się bowiem, że „pomyliły” się nie o 2–3, ale o 10, a nawet, jak to miało miejsce w wypadku stanu Wisconsin, o 17 procent!

Szaleństwo mediów

Jednocześnie stany odpowiedzialne za organizację wyborów (w Stanach nie ma odpowiednika polskiej Państwowej Komisji Wyborczej, a ordynacje poszczególnych stanów znacząco różnią się między sobą) zaczęły rozszerzać możliwość głosowania korespondencyjnego, dotychczas dostępnego jedynie w drodze wyjątku, oraz wprowadzać uproszczone procedury ułatwiające głosowanie bez dokumentu tożsamości. Niektóre zdecydowały się nawet na wysłanie pakietów wyborczych do wszystkich wyborców – to niezwykle istotne, bo w Stanach nie ma obowiązku meldunkowego, a ludzie często zmieniają adresy zamieszkania, w związku z tym pod jeden adres często trafiało kilka lub nawet kilkanaście pakietów.

Latem przez kraj przetoczyły się, aktywnie wspierane przez demokratów i media, pro-

testy skrajnie lewicowego ruchu Black Lives Matter, często kończące się podpaleniami i rabunkiem sklepów. Media głównego nurtu nazywały je „w większości pokojowymi protestami”. Do historii przejdzie tzw. pasek stacji CNN używający tego właśnie określenia, podczas gdy na ekranie można było zobaczyć dziennikarza stojącego na tle płonącego budynku. Jakielkolwiek niuanse zniknęły z większości gazet i telewizji – powtarzano, że Trump jest rasistą, winnym brutalności policji i śmierci ofiar wirusa. Kulminacją tego kompletnego odklejenia się mediów od rzeczywistości nastąpiła w październiku, kiedy prawicowy dziennik „New York Post” ujawnił fakt odnalezienia komputera syna Joe’ego Bidena, w którym znajdowały się kompromitujące informacje dotyczące jego interesów z Chinami i Ukrainą. Media głównego nurtu albo sprawę przemilczały, albo nazwały ją rosyjską dezinformacją, a Twitter na dwa tygodnie zablokował konto „New York Post” (czwarte co do nakładu gazety w USA).

Nowa cenzura

Gdyby nie media społecznościowe, Amerykanie byłoby niemalże całkowicie pozbawieni

dostępu do informacji z innej perspektywy. Kanał na YouTube Stevena Crowdera – prawicowego showmana łączącego satyrę z dziennikarstwem (to popularny obecnie format programowy w Stanach) niedawno przekroczył 5 mln abonentów, a w samym tygodniu wyborów przyłączyło się do niego 100 tys. nowych. Dwa kanały prowadzone przez konserwatywnego publicystę Bena Shapiro mają po około 2,5 mln abonentów. Tim Pool, legenda internetowego dziennikarstwa, człowiek o raczej lewicowych poglądach, prowadzący kanał z 1,2 mln abonentów, ogłosił, że będzie głosował na Trumpa, zniechęcony traktowaniem prezydenta przez media. To tylko trzy przykłady – niezależnych dziennikarzy obywatelskich, komentatorów i satyryków są w sieci setki, jeśli nie tysiące. Prawie wszyscy oni skarżą się na dyskryminację ze strony YouTube’a i Facebooka i przynajmniej część swoich programów rozpowszechniają przez prawicowe strony agregujące materiały video, jak na przykład blaze.tv bądź tworzą kopie swoich kanałów na konkurencyjnym wobec YouTube’a portalu Bitchute.

To dzięki ich pracy Amerykanie mogli zobaczyć filmy pokazujące urzędników zaklejających okna centrum liczenia głosów w Detroit czy niewpuszczających republikańskich obserwatorów w Filadelfii. To oni także prezentowali całe listy osób od dawna nieżyjących, które jakimś cudem głosowały, i przykłady obwodów wyborczych, w których oddano więcej głosów, niż było uprawnionych do głosowania.

Ich twierdzenia można streścić następująco: w kluczowych powiatach, w których rządy sprawują demokraci, dokonano tzw. ballot harvesting, czyli zebrano głosy dostarczone pocztą, a następnie nielegalnie je wypełniono i zarejestrowano w maszynach liczących głosy. Dodatkowo niektórzy uważają, że same maszyny liczące i ich oprogramowanie zostały wykorzystane do dodania głosów na Bidena. Jeżeli któraś ze spraw związanych z tymi oskarżeniami dotrze do Sądu Najwyższego, a ten zdecydować, że rzeczywiście doszło do fałszerstw, pozycja Joe’ego Bidena będzie nie do obrony. Jeżeli nie, Trump zapewne wystartuje ponownie za cztery lata, jak Grover Cleveland przed ponad wiekiem.

GP



Ryszard
Czarnecki

Jak szmatę przerąbać ciosem karate, czyli strajk studentów, pieski i Seneka

Podoba mi się stare hinduskie przysłowie: „Nie ma nic wielkiego w tym, że się jest lepszym od innych. Wielkość to być lepszym od samego siebie z minionego czasu”. A podoba mi się dlatego, że pokazuje, iż każdy może pracować nad sobą, unikać starych błędów, wady przekuwać w zalety, neutralizować przywary. Jak się to ma do polityki i polityków? Ano ma, ma... Ja w każdym razie zaczynam od siebie. Ale innym też to radzę.

Obserwując, co dzieje się w ostatnich tygodniach w naszej ojczyźnie, nie wiedzieć czemu przypominałem sobie hasło sprzed niemal, mój Boże, 40 lat. Pojawiło się ono przy okazji strajków studenckich zimą 1981 roku. Tak, wtedy, kiedy zarejestrowano mój, nasz NZS. Hasło umieszczone na jednym z transparentów brzmiało: „Cegłę – to proste, ale jak szmatę na pół przerąbać ciosem karate?”. I to właściwie tyle w temacie.

Codziennie z telewizji, ale też z internetu wylewają się wiadra pomyj. Zohydzają tradycyjne wartości i najlepsze patriotyczne dzieła, zamiary, intencje. Co ja na to? Trzeba robić swoje, a jednocześnie kierować się myślą Seneki, który jakże mądrze rzekł: „Ten jest wielki i szlachetny, kto zwyczajem wielkiego zwierza obojętnie słucha szczerkania małych piesków”. I te słowa dedykuję nam wszystkim, którzy z wściekłością reagują na bezceństwa, które słyszymy i widzimy.

Niegdyś dużo mówiono – w naszym środowisku bardzo sceptycznie, delikatnie to określając – o tzw. warszawskim salonie. Dziś raczej mówi się o różnego rodzaju „dworach”, zarówno tych opozycyjnych, jak i rządowych. Patrząc na owe dwory z dystansem. Przypominam sobie ironiczną uwagę Monteskiusza, który przecież wiedział, co mówi: „Dwór – miejsce, gdzie każdy uważa się za osobistość”. Hmm, czasem trudno odróżnić osobistość od osobliwości...

Ostatnio widziałem, szczerze mówiąc, niezbyt dobre dla rządu i premiera sondaże. Na tego typu badania patrzę z dystansem. Każdy socjolog powie, że jeden sondaż kompletnie nic nie oznacza – pewne wnioski można wysnuć jedynie z kilku sondaży przeprowadzanych co najmniej w ciągu kilku tygodni. Wtedy możemy mówić



Wolałbym, żeby Polacy mieli większy szacunek dla własnego państwa, bo nie jest to już państwo okupacyjne.

o pewnej tendencji lub – jak ktoś woli, używając bardziej międzynarodowego języka – „tryndzie”. Pamiętajmy jednak, że w Polsce stosunek do władzy z definicji mamy inny niż chociażby Niemcy. Czy to lepiej czy gorzej? Powiem, że to zależy od tego, kto rządzi...

Jednak już na poważnie, wolałbym, żeby Polacy mieli większy szacunek dla własnego państwa, bo nie jest to już państwo okupacyjne, nie ma już zaborów czy komuny. Obyśmy szli właśnie w tym kierunku – do epoki, w której wśród Polaków zacznie dominować to, co pewien polityk kilkadziesiąt lat temu nazwał „instynktem państwowym”.

A swoją drogą, sceptyczny stosunek do władzy nie jest tutaj żadną polską specyfiką. Bo przecież nie był Sarmatą grecki historyk z czasów starożytności Tukidydes, który napisał: „Żadna władza nie jest lubiana przez ludzi”. Zatem my, Polacy, nie jesteśmy tu wyjątkiem... **GP**

rys. MIROSŁAW ANDRZEJCZAK



Nierozwiązane problemy Europy

ZAGROŻENIE UBÓSTWEM NAJMŁODSZYCH I NISKA DZIETNOŚĆ

W okresie świąt Bożego Narodzenia intensywniej pomagamy osobom pozostającym, często nie ze swojej winy, na marginesie życia społecznego: seniorom z domów pomocy czy dzieciom z rozbitych rodzin, z domów dziecka itd.

Niepełnoletni zagrożeni ubóstwem i wykluczeniem społecznym to jeden z istotnych, wciąż nierozwiązanych problemów nurtujących nie tylko Polskę, ale i większość krajów europejskich. Choć w przypadku zagrożenia dzieci ubóstwem i wykluczeniem społecznym Polska wypada na tle Europy stosunkowo dobrze, problem ten wciąż pozostanie na długie lata jednym z wyzwań dla rządzących. Z jednej strony z niemal 33 proc. w 2008 roku do 16 proc. w ubiegłym roku spadł w naszym kraju wskaźnik zagrożenia dzieci ubóstwem. Zważywszy, że w całej UE

wynosi on 23,4 proc., w odniesieniu do Polski można mówić o ogromnym sukcesie. Wynik ten plasuje nasz kraj na 7. miejscu w UE wśród krajów o najniższym zagrożeniu ubóstwem wśród dzieci. Jednak, według Eurostatu, żaden z krajów unijnych nie może pochwalić się jednocyfrowym wskaźnikiem zagrożenia dzieci ubóstwem. Najlepsza sytuacja panuje w Słowenii (11,7 proc.), Czechach (13,0 proc.) i Danii (13,2 proc.). Nieletnimi najbardziej zagrożonymi ubóstwem i wykluczeniem społecznym są mieszkańcy Rumunii (35,8 proc.!) oraz Bułgarii (33,9 proc.), Grecji (30,5 proc.) i Hiszpanii (30,3 proc.).

Co istotne, z danych Eurostatu wynika, że dzieci są grupą najbardziej zagrożoną ubóstwem i wykluczeniem społecznym w Unii Europejskiej. Wśród dorosłych (18–64 lata) było to średnio 22,1 proc., a wśród osób starszych (65+) 18,4 proc.

Innym problemem społecznym nurtującym Europę pozostaje sprawa niskiej diety we wszystkich krajach naszego kontynentu, co prowadzi do zjawiska zwiększania się odsetka ludzi w wieku 60+, a w konsekwencji starzenia się Europy. Wpływa to na stopniowe wyludnianie się naszego kontynentu. Między innymi tymi problemami na forum Parlamentu Europejskiego zajmuje się pos. Elżbieta Rafalska, członkini Komisji Zatrudnienia i Spraw Socjalnych z ramienia Grupy EKR. Podczas grudniowego posiedzenia Komisji została przegłosowana opinia na temat odwrócenia trendów demograficznych w regionach UE z wykorzystaniem instrumentów polityki spójności autorstwa pos. Elżbiety Rafalskiej. Wskazała ona, że wiele regionów w Europie stoi przed poważnymi wyzwaniami demograficznymi, szczególnie tendencje demograficzne wywarły widoczny wpływ na warunki przestrzenne mniej rozwiniętych, wiejskich i przemysłowych obszarów miejskich UE, a także obszarów najbardziej oddalonych lub górskich, z których wszystkie są zagrożone wyludnieniem.

– Demografia powinna być uwzględniana we wszystkich politykach budżetowych jako jeden z priorytetów, a fundusze unijne mogłyby dobrze służyć zwiększeniu dostępności infrastruktury publicznej dla potrzeb osób starszych, rodzin z dziećmi i osób niepełnosprawnych – podkreśliła polska europoseł. ■

Materiał został sfinansowany przez Grupę Europejskich Konserwatystów i Reformatorów w Parlamencie Europejskim.



CHORY CAR TO MARTWY CAR

CZY RZĄDY PUTINA ZBLIŻAJĄ SIĘ DO KOŃCA?

W bardziej odległej przeszłości wszelkie plotki o chorobie władcy miały swoje polityczne konsekwencje. Uciskani poddani dostrzegali promyk nadziei, członkowie dworu zaczęli walczyć o pozycję w nowym rozdaniu. Ostatnie doniesienia o złym stanie zdrowia Władimira Putina trudno uznać tylko za pogoń tabloidów za sensacją.

TELE-PUTIN

Od wiosny Putin kontaktuje się z podwładnymi głównie poprzez wideokonferencje. Spotkania twarzą w twarz to prawdziwa rzadkość.

Antoni Rybczyński

W ostatnich tygodniach znów obrodziły sensacyjne doniesienia o złym stanie zdrowia Władimira Putina oraz towarzyszące im spekulacje, jakoby prezydent zamierzał na początku przyszłego roku zrezygnować ze stanowiska. Można rzec, że na Kremlu atmosfera gęstnieje ostatnio nie tylko z powodu – cyklicznych już – plotek o chorobach, ale też innych doniesień osłabiających wizerunek przywódcy. Choćby tych dotyczących tego, gdzie naprawdę przebywa Putin, czy tych ujawniających kolejną jego kobietę i dziecko. Plotki o pogarszającej się kondycji Putina stały się tak częste i głośnie, że głos musiał zabrać rzecznik Kremla. Dmitrij Pieskow zapewnił, że zdrowie prezydenta jest „absolutnie w normie”. W takich dementi nie ma nic dziwnego. Rosja nie jest demokracją w stylu zachodnim. Gdy władca Rosji staje się tzw. lame duck, to ma to znaczenie nie tylko dla transferu władzy, ale też dla niego samego. W autorytarnym systemie przejście na polityczną emeryturę to zawsze odważne posunięcie. Ciekawe, że ostatnie doniesienia o chorobach Putina pojawiły się po tym, jak Duma przyjęła ustawę zapewniającą byłym prezydentom dożywotni immunitet.

Lame duck?

Od wielu lat Putina – oczywiście za plecami – nazywa się „kaczką”. Powód? Sposób, w jaki się porusza. Teraz to określenie nabiera nowego znaczenia. Jak bowiem wiadomo, sformułowanie „lame duck”, czyli „kulawa kaczka”, odnosi się do przywódców, którzy jeszcze rządzą, ale już wiadomo, już jest przesądzone, że ich panowanie za czas jakiś dobiegnie końca. Doniesienia o chorym Putinie (na przykład jakoby miał raka lub Parkinsona) już wcześniej pojawiały się w mediach zachodnich i rosyjskich. Choćby na początku lutego wiele rosyjskich mediów napisało o nowotworowej chorobie Putina, powołując się na źródła w otoczeniu prezydenta. Kilka kanałów Telegramu jednocześnie podało, że prze-

niesienie na czas nieokreślony tradycyjnie w tym czasie odbywającego się Forum Inwestycyjnego w Soczi związane było właśnie ze złym samopoczuciem Putina, a nie z powodu zagrożenia koronawirusem (powód podany przez organizatorów). Jeden z kanałów, uważany za dobrze poinformowany na temat kulisów pracy Kremla, napisał, że w pierwszej połowie lutego ub.r. zaplanowano w trybie pilnym operację chirurgiczną Putina. Mówiło się też, że do Moskwy w tajemnicy przywieziono trzech specjalistów onkologów o światowym poziomie. Media zwracały również uwagę, że przyspieszenie ze zmianami w konstytucji nastąpiło zaraz po tym, gdy rzekomo zdiagnozowano u Putina raka. Teraz Kreml dementuje doniesienia brytyjskiego tabloidu „The Sun”, jakoby Putin miał chorobę Parkinsona i zamierzał w 2021 roku odejść na emeryturę. Gazeta cytowała prof. Walerija Sołowiewa, który zasugerował w jednej z moskiewskich rozgłośni radiowych, że Putin jest pod silną presją otoczenia, by ustąpił – bo jego stan zdrowia pogarsza się i chodzi o to, by sprawnie przeprowadzić transfer władzy, póki jeszcze czas.

Od wiosny Putin kontaktuje się z podwładnymi głównie poprzez wideokonferencje. Spotkania twarzą w twarz to prawdziwa rzadkość. I to tylko z najbardziej zaufanymi siłowikami i Igorem Sieczinem. W mediach pojawiły się doniesienia, że kremlowska administracja zadbała o wybudowanie specjalnego biura dla Putina w jego letniej rezydencji w Soczi. Dlaczego specjalnego? Bo ma być identyczne z gabinetem pracy w podmoskiewskiej rezydencji Nowo-Ogariowie. Putin w ostatnich miesiącach ma przebywać właśnie w czarnomorskim Soczi – choć oficjalnie urzęduje pod stolicą. Zdjęcia z gabinetu urządzonego kropka w kropkę jak ten w Nowo-Ogariowie mają być dowodem na to, że Putin urzęduje pod Moskwą, tak jak oficjalnie się podaje. Jeśli te doniesienia są prawdziwe, to pokazują stopień alienacji Putina od otoczenia. Tu już nie tylko chodzi o koronawirusa. To może być faktycznie przesadna wręcz dbałość o bezpieczeństwo prezydenta, nie tylko zdrowotne.

FOT. ALEXEI NIKOL SKRYTASS/FORUM

Tym razem plotki o chorym Putinie (rak jamy brzusznej?) mają większy polityczny ciężar. To odzwierciedlenie zaostrej się na szczytach reżimu walki o jak najsilniejszą pozycję w trakcie i po finalizacji „transferu władzy” – do którego przygotowania już trwają. Pogłoski o złym stanie zdrowia i styczniowej rezygnacji, raport o kochance-milionerze (te miliony oczywiście to zasługa związku z Putinem) i córce, doniesienia na temat gabinetu-sobowótora to nie wszystko. Putin ma za sobą naprawdę fatalny rok, także jeśli chodzi o interesy i politykę całego państwa. W Mołdawii wygrała kandydatka proachodnia kosztem absolutnie oddanego Kremlowi prezydenta. Na Kaukazie Południowym do gry weszli Turcy, a oficjalny sojusznik Moskwy Armenia poniósł ciężką klęskę. Na Białorusi Rosja traci serca i umysły Białorusinów, jak też miliony na gospodarcze wsparcie zdyskredytowanego reżimu Łukaszenki – przy czym lojalności Baćki nie jest wcale pewna. USA i NATO wzmacniają wschodnią flankę, ale też Ukrainę czy Gruzję. Do tego dochodzi pogłębiający się z powodu koronawirusa kryzys rosyjskiej gospodarki.

Siłowicy rządzą!

Tymczasem Putin kieruje reżim ku drastycznie siłowemu modelowi. Ostatnie miesiące to zaostrej się represje wobec opozycji, wolnych mediów i osób uznanych za wrogów, jak też polowanie na szpiegów – co można uznać za dyscyplinowanie własnej nomenklatury. Do tego doszło przyjęcie prawa, które pozwala uznać za „zagranicznych agentów” (oczywiście nie w sensie szpiegowskim, ale działania w imię czyichś interesów) już nie tylko podmioty prawne, ale też poszczególne jednostki. Zgodnie z ustawą, każda osoba uczestnicząca w społecznej czy politycznej aktywności, zbierająca informacje o działaniach wojskowo-technicznych Rosji, jak też kandydaci w wyborach powiązani z osobą działającą jako zagraniczny agent, muszą być uznawani za zagranicznych agentów. Ktoś taki ma zakaz sprawowania funkcji w organach państwa. Już przyjęto maksymalnie szeroką interpretację definicji „afiliacja” wobec kontaktów kandydatów

w wyborach z zagranicznymi agentami – co de facto oznacza możliwość zablokowania startu w wyborach jakimkolwiek przedstawicielom realnej opozycji, zwłaszcza tej liberalnej. I to już na każdym szczeblu wyborów. Nie tylko do Dumy, ale też choćby do rady dzielnic. Na dodatek komitet Dumy ds. ochrony Rosji od zewnętrznej ingerencji (tak, jest coś takiego) rozważa projekt ustawy pozwalającej na uznanie dziennikarzy za zagranicznych agentów, jak też ustawy zabraniającej organizowania publicznych wydarzeń za pieniądze od obywateli obcych państw. Inna propozycja prawna mówi o zwalnianiu nauczycieli oskarżonych o wzniecanie nienawiści na tle socjalnym, rasowym lub religijnym, jak też za „namawianie do innych działań sprzecznych z konstytucją”.

Reżim zaostrej represje wobec przedstawicieli nomenklatury. Przypomina to stalinowskie czystki, choć oczywiście mówimy o innej skali i innych karach. Ostatnio przybywa aresztowań i oskarżeń o zdradę przedstawicieli władz. Pod zarzutem zdrady zatrzymano na przykład w listopadzie Dmitrija Fiedotkina, przedstawiciela Aeroflotu w Wielkiej Brytanii. Jeden ze szczycących się zna-

jomością kremlowskich kuluarów kanałów Telegramu, Nezygar, sugeruje, że Fiedotkin miał zapewniać MI6 dane o lotach „Boszirowa i Pietrowa” (agenci GRU oskarżeni przez Londyn o próbę zabójstwa Skripala), jak też innych ludzi rosyjskiego wywiadu

wojskowego. Jednak gazeta „Wzgljad” twierdzi, że Fiedotkina oskarżono jedynie o przekazywanie wywiadowi brytyjskiemu informacji o sytuacji społeczno-politycznej w Rosji. Pojawiły się spekulacje, że uderzenie w Fiedotkina ma na celu osłabienie pozycji politycznej jego byłego szefa, obecnie ministra transportu Witalija Sawieljewa. Zresztą podobne teorie pojawiły się w przypadku głośnej sprawy aresztowania byłego dziennikarza Iwana Safronowa – w tym przypadku chodzić ma o osłabienie pozycji jego ostatniego szefa, czyli stojącego na czele Roskosmosu

Dmitrija Rogozina. Oczywiście tego typu sprawy „montować” mogą jedynie służby specjalne i Komitet Śledczy – co tylko wzmacnia narrację o rosnących wciąż i wciąż wpływach siłowników na centrum decyzyjne państwa. Wniosek jest oczywisty: im bliżej końca Putina, tym silniejsze będzie skrzydło siłowe. I tam należy szukać następcy.

GP

OGŁOSZENIE REDAKCYJNE

Pomoc dla Domu Chleba

Redakcja „Gazety Polskiej” wraz z zakonem oo. barnabitów zwraca się do wszystkich ludzi dobrej woli z prośbą o **wsparcie działalności Domu Chleba, funkcjonującego w parafii rzymskokatolickiej oo. Barnabitów pw. św. Antoniego Marii Zaccarii przy ul. Sobieskiego 15, który niesie pomoc osobom ubogim i bezdomnym.**

Wiemy, że jesteś dobry i hojny, dla nas i naszych podopiecznych każda złotówka jest bezcenna, dzięki Twojej ofierze kolejny głodny się nasyci.

Wpłaty można dokonywać na konto: 78 1240 6175 1111 0000 4579 7336

DOM CHLEBA PARAFIA RZYMSKOKATOLICKA

PW. ŚW. ANTONIEGO M. ZACCARII.

Więcej informacji pod adresem:

www.parafiabarnabici.pl



Rosja: Horror from real Mordor

Sądny dzień W poszukiwaniu metali kolorowych i szlachetnych ich amatorzy obrobili supertajny rosyjski samolot wojсковy Il-80. Maszyna ta to latający punkt dowodzenia na czas wojny nuklearnej, dlatego maszyny tego typu nazywa się też „samolotami sądneho dnia”. Na razie sądny dzień nastął w zakładach naprawczych i na lotnisku w Taganrogu, gdzie złomiarze włamali się do rzeczonoego Ila i wynieśli z niego 39 kompletnych radiostacji oraz równie bogate w platynę, złoto i pallad obwoły scalone z 5 zdemontowanych urządzeń.

Podstępny koronawirus Kto jeszcze nie wierzył, że COVID-19 to wyjątkowo podstępna choroba, ten teraz uwierzy. Przekonał się o tym pewien zakażony Rosjanin, który z jej powodu ma nie tylko zaburzenia smaku i węchu. „Nie da rady się upić. Ja nie dałem rady, w ogóle. Wypiłem jedną trzecią szklanki spirytusu i nic” – podzielił się swymi doświadczeniami nieszczęśnik. Może i na tę przypadłość przydałaby się jakaś szczepionka? Najlepiej zmodyfikowana tak, żeby po-

zwała upić się po ludzku, ale za to likwidowała objawy kaca...

W imię nauki Mieszkańcy Niżnego Nowogrodu, którym nie udało się zdobyć lekarstw na koronawirusa lub nie uzyskali odpowiedniej pomocy medycznej, a mimo to przeżyli, zostali poproszeni o skontaktowanie się z prokuraturą. Bardzo dobrze, niech ich śledczy solidnie przycisną i wydobędą, jakim cudem przeżyli. Nauka im tego nie zapomni.

Trash-stream życia Rosyjski youtuber Stas Reelfly (a normalnie Stanisław Reszetnikow) w swoim ostatnim streamie dopiął wreszcie swego – naprawdę zainteresował swoją osobą widzów. Internetowa kamera pokazywała go w towarzystwie martwej dziewczyny, którą wcześniej pobił i wyrzucił z mieszkania, a po kilku godzinach zaciągnął do niego z powrotem. Tyle że już wychłodzoną na śmierć. Kilkogodzinną relację w sieci przerwała dopiero wizyta policji. Miejmy nadzieję, że co najmniej na kilkanaście lat.

ZŁE WIĘŚCI

Rząd w Moskwie poinformował, że zaszczepieni rosyjską szczepionką na COVID-19 powinni powstrzymać się od picia alkoholu. Przez 42 dni! Czyżby program powszechnych szczepień trafił szlag?

Lekcja empatii Wesolo i radośnie obchodzono Dzień Matki w... Domu Dziecka nr 3 w Niżnym Nowogrodzie. Jego wychowankom kazano nauczyć się na pamięć miłych wierszyków i piosenek o mamusiach, a potem wystąpić z tym repertuarem na świątecznym koncercie. Ciekawe, kto bawił się lepiej – naturalne sieroty czy dzieci odebrane matkom pozbawionym praw rodzicielskich? A może dyrekcja placówki, która teraz tłumaczy się twardo, że celem imprezy była promocja wartości rodzinnych.

GP

FOT. PIXABAY

Picie szkodzi zdrowiu

W jednym z moskiewskich lokali barman złamał kręgosłup klientowi serwując mu drinka. Poszło o shota o nazwie „pociąg pancerny” – klient pije go w kasku na głowie, a w tym czasie barman bije go po tym kasku. Tego dnia za barem stał praktykant, który tak poważnie podszedł do obowiązków, że walnął klienta w głowę metalową beczką do piwa z taką siłą, że ten spadł ze stolika, złamał kręgi szyjne i uszkodził rdzeń. No faktycznie, już jeden taki shot zwała z nóg...





Tomasz
Mystek

Europa w skrócie

Szwajcaria nie zatwierdziła szczepionek

Szwajcarski urząd ds. kontroli leków Swissmedic ogłosił, że do zatwierdzenia dokumentacji szczepionek przeciw COVID-19 trzech firm – już wstępnie zamówionych przez rząd – nadal brakuje niezbędnych danych dotyczących ich jakości i skuteczności. Urząd przekazał te wymagania producentom szczepionek – firmom Pfizer/BioNTech, AstraZeneca i Moderna. Claus Bolte ze Swissmedic powiedział na konferencji prasowej: „Nie mamy danych m.in. na temat skuteczności badań klinicznych i ważnych grup ludzi, którzy uczestniczyli w tych badaniach”. Jedną z informacji, której domaga się urząd, są dane o wcześniej przebytych chorobach osób, które brały udział w badaniach.

W Anglii nikt nie odpowie za niepożądane skutki szczepionki

Firma Pfizer i inni producenci szczepionek przeciwko koronawirusowi będą w Wielkiej Brytanii bezkarni – brytyjski rząd zwolnił ich z odpowiedzialności prawnej za poszczepienne powikłania i choroby. W razie wystąpienia niepożądanych skutków ubocznych Pfizer ma już zapewnioną ochronę prawną przed wszelkimi sądowymi pozwami o odpowiedzialność i odszkodowania. Na konferencji prasowej B. Osborn, dyrektor Pfizer w Wielkiej Brytanii, uchylił się od odpowiedzi na pytania dziennikarzy, po co jego firmie jest potrzebna aż tak mocna i rządowa ochrona prawna.

Cenzura we francuskim radiu

Dziennik „Le Figaro” podał, że państwowa stacja radiowa France Inter odrzuciła płatną reklamę charytatywnego stowarzyszenia L'Oeuvre d'Orient – zawierającą słowo „chrześcijanie” (nieodzwolone w tej stacji). Według oświadczenia dyrekcji stacji, ta decyzja wynika „z obowiązku przestrzegania religijnej neutralności”. A wielu słuchaczy rzekomo nie życzy sobie słuchać reklam, które zakłócają przestrzeganie tej neutralności (stowarzyszenie L'Oeuvre d'Orient już od roku 1856 wspiera chrześcijan w Iraku, Syrii, Libanie i innych krajach – m.in. finansując ich szkoły i szpitale). Radio France, właściciel France Inter, podało, że ta stacja zaproponowała stowarzyszeniu mówienie w reklamie o „dziele na rzecz Bliskiego Wschodu” zamiast o wschodnich chrześcijanach.

Ogromne koszty imigrantów

Senacka komisja w Paryżu oszacowała, że koszty francuskiej państwowej pomocy medycznej dla tzw. migrantów bez uregulowanego statusu pobytu wyniosły w roku 2019 ponad miliard euro. Z tej pomocy skorzystało prawie 335 tys. przybyszów z dalekich krajów. W budżecie na rok 2021 zarezerwowano na opiekę medyczną dla takich osób – nie licząc innych kategorii przybyszów – 1,061 mld euro. Szef Urzędu ds. Imigracji Didier Leschi stwierdził jednak z dumą: „Wraz z Belgią jesteśmy jedynym krajem na świecie, który wydaje zezwolenia na pobyt długoterminowy wszystkim tym, którzy twierdzą, że nie mają skutecznego dostępu

LEWICOWY „POSTĘP”

José Pereira, były gangster i więzień, został szefem niekomunistycznej partii Podemos w Madrycie – współrządzącej Hiszpanią od stycznia br.

do opieki medycznej w swoim kraju”. W tym roku dług Republiki Francuskiej, który będą musieli spłacać jej podatnicy i ich dzieci, ma przekroczyć 2800 mld euro.

Porozumienie w sprawie nielegalnych przybyszów

Wskutek nacisków Londynu, Francja i Wielka Brytania porozumiały się w sprawie znacznego zwiększenia patroli na francuskim wybrzeżu kanału La Manche i jego wodach. Ma to zapobiec kolejnym próbom pokonywania kanału na niewielkich łodziach i pontonach przez nielegalnych imigrantów z Azji i Afryki. Francuska straż przybrzeżna ma używać w tym celu m.in. dronów, termowizyjnych kamer i radarów. Szefowa brytyjskiego MSW powiedziała, że celem tej współpracy jest też uczynienie przeprawy przez kanał zupełnie nieopłacalną dla gangów, które pobierają od migrantów duże pieniądze, a następnie wysyłają ich w niebezpieczną podróż na pontonach lub łodziach.

GP

W Belgii znów zamknięto kościoły

Władze Belgii już nawet nie ukrywają, że zwalczają chrześcijaństwo. Zdecydowały się przedłużyć zakaz publicznego kultu (obowiązujący od 2 listopada) aż do połowy stycznia – a jednocześnie zezwoliły na ponowne otwarcie m.in. wszystkich sklepów, galerii, muzeów i basenów. Chrześcijanie nie będą więc mogli uczestniczyć w jakiegokolwiek mszy św. w okresie Bożego Narodzenia.



Niedziela w Telewizji Republika



W Punkt
9:06

zaprasza Katarzyna Gójska

Studio prasowe
10:06

zaprasza Adrian Stankowski

Salonik polityczny
11:00

zaprasza Rafał Ziemkiewicz

Polityczna kawa
12:00

zaprasza Tomasz Sakiewicz

oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl

Silna Polska w Unii Europejskiej

SPRAWOZDANIE Z PIERWSZEGO ROKU (2019–2020) DZIAŁALNOŚCI

Z racji sprawowanych stanowisk praca posła Witolda Waszczykowskiego w Parlamencie Europejskim skupiona jest głównie na sprawach międzynarodowych. Jego działalność służy budowaniu silnej pozycji Polski na arenie światowej i umacnianiu naszego bezpieczeństwa.

Swój program poseł realizuje jako:

- przewodniczący Delegacji do Komisji Parlamentarnej Stowarzyszenia UE–Ukraina (D–UA); zastępca przewodniczącego Komisji Spraw Zagranicznych PE (AFET);
- członek Podkomisji Bezpieczeństwa i Obrony (SEDE), gdzie pełni funkcję koordynatora Grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, do której należą posłowie PIS;
- członek delegacji Euronest;
- członek-zastępca Podkomisji Praw Człowieka (DROI);
- członek-zastępca w Komisji Handlu Międzynarodowego (INTA);
- stały sprawozdawca EKR w relacjach z Turcją i USA.

W rankingu votewatch.eu Witold Waszczykowski znalazł się na szóstej pozycji najbardziej wpływowych europosłów w dziedzinie polityki zagranicznej PE.

Działalność w AFET

W ramach prac Komisji Witold Waszczykowski angażował się zwłaszcza w debaty nt. polityki Rosji, sytuacji na Ukrainie i Białorusi oraz relacji UE z USA. Praca posła polega również na składaniu odpowiednich poprawek, negocjowaniu kompromisów i wyznaczaniu linii głosowań na poziomie komisji i sesji plenarnych.

Poseł brał udział m.in. w tworzeniu dwóch projektów jako kontrsprawozdawca:





**EUROPEJSCY
KONSERWATYŚCI
I REFORMATORZY**

Grupa Europejskich Konserwatystów

i Reformatorów (EKR), do której należą wszyscy polscy członkowie PiS, powstała w 2009 roku. Grupa uważa, że podstawą każdej decyzji podejmowanej przez UE powinno być przekonanie, że stanowi ona wartość dodaną dla ciężko pracujących podatników w całej UE. Wysiłki Grupy przyniosły rezultaty, poprawiając życie obywateli w całej UE. Członkowie EKR będą kontynuować pracę na rzecz zapewnienia bardziej elastycznej, otwartej i dynamicznej gospodarki UE, która zapewni obywatelom i podatnikom wymierne korzyści.

1. zalecenie w sprawie preferencji handlowych w odniesieniu do mięsa drobiowego i przetworów z mięsa drobiowego przewidziane w Układzie o stowarzyszeniu między UE i Ukrainą;

2. projekt rekomendacji dotyczącej wdrożenia i zarządzania projektami obronnymi PESCO (Permanent Structure Cooperation – Stała Współpraca Strukturalna).

Wypowiedzi nt. sytuacji na Białorusi

Witold Waszczykowski wraz z przewodniczącym Komisji AFET, Davidem McAllisterem, wydali wspólne oświadczenie nt. wyborów na Białorusi z 9 sierpnia bieżącego roku. Podkreślili w nim, że nie spełniły one standardów demokratycznych i wezwali do uwolnienia osób zatrzymanych podczas trwania kampanii wyborczej. Politycy wezwali władze do powstrzymania się od przemocy i prześladowań wobec własnego narodu, który chce wyrazić swoje uzasadnione żądania.

Przesłuchanie kandydata na szefa unijnej dyplomacji

7 października ubiegłego roku Witold Waszczykowski uczestniczył w przesłuchaniu

Josepa Borrell Fontellesa jako kandydata na szefa unijnej dyplomacji. Podczas spotkania Waszczykowski z zadowoleniem przyjął deklarację o potrzebie jedności UE w kontekście rywalizacji amerykańsko-chińskiej. Zdaniem posła zapowiedzi utrzymywania sankcji wobec Rosji i chęć prowadzenia selektywnej współpracy to ze strony Borrelli eufemizmy i unikanie zajęcia bardziej konkretnego stanowiska.

Deбата nt. wpływu pandemii na bezpieczeństwo i obronność

20 kwietnia bieżącego roku Witold Waszczykowski uczestniczył w debacie z komisarzem Borellem Fontellesem, która potwierdziła powyższe obawy. Krytykował także ideę europejskiej autonomii strategicznej oraz wypowiedź komisarza Borrelli, w której mówił Borrell o zmierzchu przywództwa USA i konieczności dokonania wyboru między Waszyngtonem i Pekinem.

Wymiana poglądów z niemieckimi ministrami

13 i 14 lipca bieżącego roku podczas spotkania z niemiecką minister obrony Annegret Kramp-Karrenbauer poseł Waszczykowski

krytycznie odniósł się do promowanej przez Berlin i Paryż idei europejskiej autonomii strategicznej. Przypomnił, że członkowie NATO, w tym Niemcy, nie są w stanie przeznaczyć na obronę środków, do których zobowiązuje członkostwo w NATO. Nie może więc być mowy o fundowaniu równoległych struktur obronnych. Podczas dyskusji z szefem MSZ Heiko Masselem poseł Waszczykowski m.in. przypomniał o trwającej od 6 lat rosyjskiej agresji na Ukrainie i o tym, że francusko-niemiecki format normandzki zawiódł, w związku z czym potrzebne są skoordynowane działania całej UE w tej sprawie. Wypomnił również niemieckim politykom stosowanie podwójnych standardów w kwestii solidarności europejskiej, nawiązując do projektu gazociągu Nord Stream 2. W odpowiedzi uzyskał zapewnienie, że nie będzie miejsca dla otwarcia nowego rozdziału w stosunkach z Rosją bez wdrożenia zapisów porozumienia z Mińska i kompleksowego zawieszenia broni. ■

Biura posła Witolda Waszczykowskiego znajdują się w pięciu miastach:

Łodzi, Łowiczu, Skierniewicach, Pabianicach i Sieradzu.



Konrad
Wysocki

PLANY WASZYNGTONU KORZYSTNE DLA POLSKI

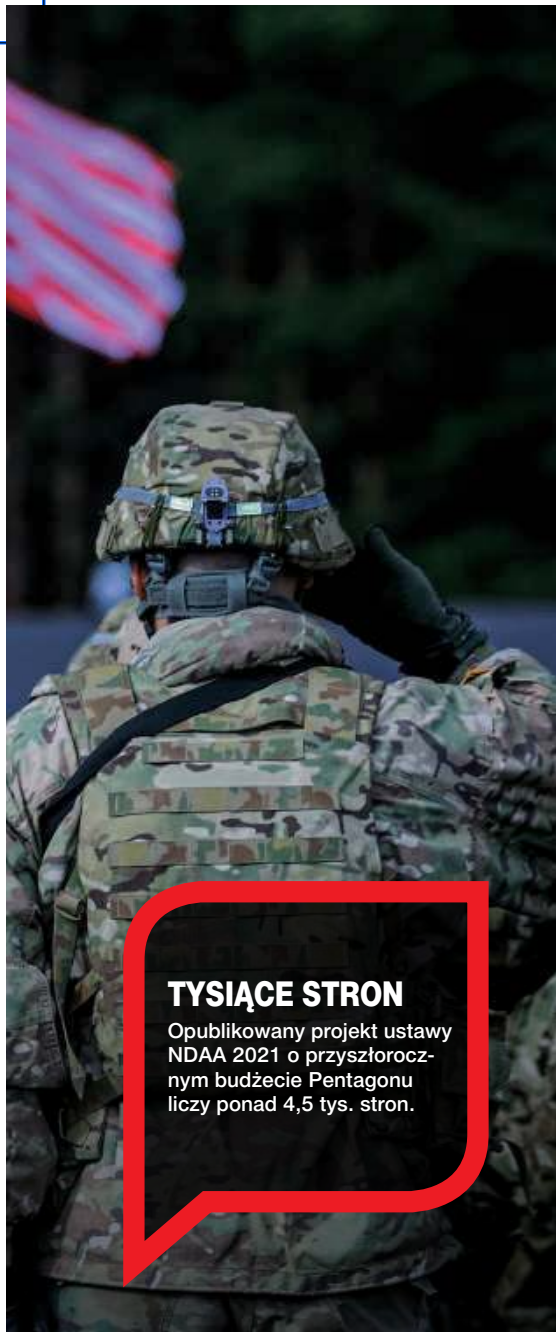
POLITYKA TRANSATLANTYCKA USA

Obie izby amerykańskiego Kongresu ustaliły treść ustawy o budżecie obronnym Pentagonu na rok 2021. Jej zapisy potwierdzają, że niezależnie od reprezentowanych poglądów politycznych, dla Stanów Zjednoczonych jednym z priorytetów będzie utrzymanie takiej obecności wojskowej w Europie, która zapewni wysoki poziom bezpieczeństwa. To niezwykle ważne szczególnie dla Polski, która w ramach niedawnego porozumienia z Waszyngtonem wynegocjowała kolejne zwiększenie obecności sił US Army w naszym kraju.

Ostatnie lata polityki transatlantycznej Stanów Zjednoczonych to m.in. zacieśnianie militarnej współpracy z Polską, zarówno jeżeli chodzi o kwestie zbrojeń, jak również obecności wojskowej US Army. Waszyngton działa jednak wielotorowo, gdyż tylko taka polityka gwarantuje skuteczność i utrzymanie odpowiedniego poziomu odstraszania potencjalnego

agresora, którym bezsprzecznie pozostaje Rosja. W czasie prezydentury Donalda Trumpa wielokrotnie potwierdzono, że Polska to bastion wschodniej flanki NATO. Szereg dwustronnych umów Waszyngtonu i Warszawy jest tego kluczowym dowodem. Trzeba jednak pamiętać, że siły US Army rozmieszczone są też w kilku innych strategicznych miejscach na mapie Europy. Należą do nich Niemcy, Włochy, kraje

bałtyckie i Rumunia, gdzie znajdują się elementy amerykańskiej tarczy antyrakietowej. Tworzy to swoisty system naczyń połączonych, mający bezpośredni wpływ na to, jakim potencjałem obronnym dysponują poszczególne kraje wsparte sojusznickimi siłami Stanów Zjednoczonych. W wyniku trwającego zamieszania po listopadowych wyborach w USA, gdzie wciąż oficjalnie nie wiadomo, kto zostanie



TYSIĄCE STRON

Opublikowany projekt ustawy NDAA 2021 o przyszłorocznym budżecie Pentagonu liczy ponad 4,5 tys. stron.

prezydentem na kolejną kadencję, coraz częściej pojawiały się głosy o możliwej zmianie kursu Waszyngtonu względem Europy. Ostatnie doniesienia zza oceanu potwierdziły jednak, że w kwestiach bezpieczeństwa republikanie i demokraci mówią jednym głosem, gdyż tylko współpraca jest kluczem do sukcesu.

Zgoda na plany obronne

Budżet Pentagonu i plany związane z działaniami wojsk armii Stanów Zjednoczonych to jedno z najważniejszych decyzji, jakie podejmuje się w Waszyngtonie. Nie chodzi bowiem tylko o suche statystyki, ale o zapewnienie bezpieczeństwa w ujęciu globalnym. Patrząc na amerykańską scenę polityczną, republikanom i demokratom

rzadko udaje się porozumieć w kwestiach politycznych, nawet tych najważniejszych. Na szczęście problem ten nie dotyczy polityki obronnej, czego dowodem jest ostatnie wspólne ustalenie przez obie izby amerykańskiego Kongresu (Senat oraz Izbę Reprezentantów) treści ustawy NDAA 2021 (ang. National Defense Authorization Act 2021) o przyszłorocznym budżecie Pentagonu. Według założeń, ma on opiewać na kwotę 740 mld dol. Wśród kluczowych zapisów projektu znalazło się poparcie dla utrzymania obecności wojskowej Stanów Zjednoczonych w Niemczech. Redukcja kontyngentu amerykańskiego w tym kraju byłaby możliwa dopiero po przedstawieniu przez Pentagon możliwych skutków tego typu działań. Warto przypomnieć, że kilka miesięcy temu prezydent USA Donald Trump poinformował, że wycofa z Niemiec blisko 12 tys. żołnierzy, co miało być bezpośrednio związane z opieszałością Berlina w kwestii przeznaczania wymaganych przez NATO 2 proc. PKB na cele obronne.

Polska nie zostanie pominięta

Część z opuszczających Niemcy żołnierzy miała wrócić do USA, a część zostać rozmieszczona w pozostałych krajach sojuszniczych. W tym kontekście wymieniano m.in. Polskę. Wbrew lansowanemu w mediach niektórym teoriom, ewentualne utrzymanie liczby żołnierzy USA w Niemczech na dotychczasowym poziomie (około 36 tys.) nie stanowi zagrożenia dla planów zwiększenia obecności US Army w Polsce. Tę kwestię reguluje ostatnia z dwustronnych umów obronnych podpisana w sierpniu tego roku w Warszawie i ratyfikowana na początku listopada przez prezydenta RP Andrzeja Dudę. Zakłada ona m.in. zwiększenie o tysiąc, do 5,5 tys., liczby amerykańskich żołnierzy stacjonujących w Polsce. Ponadto, w ra-

mach sojuszniczej współpracy, w listopadzie w Poznaniu swoją działalność zainaugurowało Wysunięte Dowództwo V Korpusu Armii USA, które docelowo liczyć będzie do 200 żołnierzy.

Zapisy projektu ustawy NDAA 2021 potwierdzają, że celem Stanów Zjednoczonych nie jest obniżanie, lecz utrzymanie obecności militarnej gwarantującej wysoki poziom bezpieczeństwa w Europie. W treści ustawy pochyłono się również nad sytuacją w Afganistanie. W tym przypadku zarekomendowano spowolnienie tempa wycofywania żołnierzy US Army z tego kraju.

Głos Polski wzięty pod uwagę

W polityce bezpieczeństwa granie na przysłowiową jedną kartę jest bardzo ryzykowne. Należy przygotować się na różne scenariusze i reagować w zależności od tego, który z nich wchodzi w życie. W kontekście europejskiej strategii Stanów Zjednoczonych potwierdziło się, że Waszyngton słucha rekomendacji takich krajów jak Polska, podkreślając, że sprawy bezpieczeństwa i współpracy militarnej nie powinny być przedmiotem sporów i politycznych przepychanek. Wydarzenia ostatnich lat pokazały, że w momencie, gdy w rodzinie NATO pojawiły się niesnaski, jedynym wygranym była Rosja, której

zależy na sukcesywnym wbijaniu klina w spójną politykę obronną Zachodu. Sprawa obecności wojskowej USA w Europie jest oczywista – to gwarant stabilności i bezpieczeństwa. Trudno sobie nawet wyobrazić, jakie ruchy poczyniłby Kreml w momencie, gdyby z regionu ubył mu taki przeciwnik jak Stany Zjednoczone. Na szczęście w najbliższych latach nie trzeba się martwić o taki scenariusz, podobnie jak o to, że wschodnia flanką NATO, w tym Polska, zejdą z kursu umacniania swojego potencjału obronnego. GP

APTEKARSKI UKŁAD ZAMKNIĘTY

Ostatecznym celem każdej regulacji rynku aptecznego powinien być nie komfort farmaceutów i właścicieli aptek, lecz dobro pacjentów i wysoka dostępność leków. To ważne w kontekście procedowanej ustawy o zawodzie farmaceuty i przyszłych przepisów.

OTWARTY CZY ZAMKNIĘTY MODEL RYNKU APTECZNEGO W POLSCE?



**Maciej
Pawlak**
SZEFE DZIAŁU GOSPODARKA

Zbyt szeroki zakres kompetencji działającego w ramach Naczelnej Izby Aptekarskiej samorządu aptekarskiego, dążenie do zamykania rynku, a także „obrotowe drzwi”, polegające na przepływie osób między organami samorządu zawodowego a instytucjami inspekcji, tworzą aptekarski układ zamknięty, uderzający zarówno w przedsiębiorców będących

właścicielami aptek, jak i w pacjentów – to podstawowe wnioski z ostatnich raportów Związku Przedsiębiorców i Pracodawców (ZPP).

Nie ulega wątpliwości, że w Polsce trwa obecnie spór dotyczący kształtu regulacji rynku aptecznego. Jedną z jego stron optuje za rynkiem otwartym, konkurencyjnym i propacjenckim. Druga forsuje model rynku zamkniętego i skoncentrowanego na realizacji interesów wąskiej grupy farmaceutów. W ciągu ostatnich lat prawodawca przychylił się raczej do tej drugiej koncepcji, osiągając zresztą rezultaty odwrotne do zamierzonych. Najlepszym

przykładem może być „apteka dla aptekarza”, która będąc regulacją mającą poprawić dostępność aptek na terenach wsi i małych miasteczek, doprowadziła do likwidacji ponad tysiąca placówek, w kilkudziesięciu przypadkach będących jedynymi w okolicy.

Równolegle coraz większą rolę w polskim systemie aptecznym odgrywa samorząd zawodowy aptekarzy.

Wiążąca wykładnia przepisów

Jak wskazano w raportach, konstytucyjnym zadaniem samorządów zawodowych jest reprezentowanie osób wykonujących

FARMACEUCI

Według danych Naczelnej Izby Aptekarskiej, w Polsce pracuje 30 tys. farmaceutów w około 13,5 tys. aptek i punktów aptecznych.

zawody zaufania publicznego i sprawowanie pieczy nad właściwym wykonywaniem tych zawodów. Samorząd aptekarzy rości sobie tymczasem prawo m.in. do dokonywania wiążącej wykładni przepisów. Przykładem mogą być choćby regulacje antykoncentracyjne (słynny 1 proc. aptek w województwie), z których brzmienia wynika wprost, że zakazują one wydawania nowych zezwoleń na prowadzenie apteki podmiotom, które już posiadają powyżej 1 proc. aptek ogólnodostępnych w województwie. Nie oznacza natomiast ogólnego zakazu posiadania więcej niż 1 proc. aptek,

na przykład w drodze przejęć kapitałowych. Samorząd aptekarski forsuje tymczasem interpretację sprzeczną z literalnym brzmieniem regulacji, zgodnie z którą zakazane miałyby być posiadanie więcej niż 1 proc. aptek w województwie. Organy samorządu wydają się przy tym nie zważać na orzeczenia NSA czy chociażby fakt, że ustawodawca podejmował już kilkakrotne próby modyfikacji przepisów Prawa farmaceutycznego, tak by odpowiadały one wykładni forsowanej przez samorząd aptekarski.

W roli regulatora rynku

Ekspert ZPP podkreślają, że coraz częściej samorząd aptekarski pragnie de facto przejmować rolę regulatora rynku, wykraczając poza przewidzianą przepisami konstytucji rolę samorządu zawodowego. Przykładem takiego działania może być choćby uchwała Krajowego Zjazdu Aptekarzy ze stycznia 2020 roku, która stanowi, że farmaceuta związany umową franczyzy nie daje rękojmi prawidłowego prowadzenia apteki. Teoretycznie nie istnieje żadna podstawa prawna ku temu, by samorząd mógł weryfikować rękojmię farmaceuty – w przypadku zawodów zaufania publicznego przyjmuje się, że uzyskanie prawa do wykonywania zawodu jest równoznaczne z uzyskaniem rękojmi, którą utracić można wyłącznie w rezultacie postępowania dyscyplinarnego. Samorząd apteczny jednak, bazując na zawartym z Głównym Inspektorem Farmaceutycznym porozumieniu, opiniuje wnioski o wydanie zezwolenia na prowadzenie apteki, dokonując w praktyce oceny, czy wnioskodawca daje rękojmię prawidłowego prowadzenia placówki.

Zjawisko „drzwi obrotowych”

Warto także zwrócić uwagę na zjawisko „drzwi obrotowych” na rynku aptecznym. Polega ono na stosunkowo swobodnym przepływie osób pomiędzy poszczególnymi podmiotami budującymi rynek

apteczny i wykonywaniu przez te same osoby wielu funkcji w relatywnie krótkich odstępach czasu. Farmaceuta prowadzący aptekę (będący zatem przedsiębiorcą) może stać się członkiem organu władz samorządu aptekarskiego, który z kolei dzięki swoim szerokim kompetencjom ma możliwość skutecznego ustanawiania reguł funkcjonowania na rynku. Nic nie stoi na przeszkodzie, by farmaceuta taki w kolejnym kroku objął stanowisko wojewódzkiego czy nawet głównego inspektora farmaceutycznego, czyli realizował funkcję nadzoru nad rynkiem. Przepisy stanowią bowiem wprost, że inspektorem farmaceutycznym może być wyłącznie farmaceuta. Farmaceuta, po zakończeniu pracy jako inspektor, może wrócić do funkcjonowania na rynku jako przedsiębiorca prowadzący aptekę. W rezultacie główny

inspektor farmaceutyczny może być byłym przedstawicielem władz samorządu aptecznego, a przedstawiciel władz samorządu aptecznego byłym inspektorem.

Taka sytuacja tworzy swoisty układ zamknięty, którego ofiarami stają się w pierwszej kolejności właściciele aptek, dla których organy samorządu nie widzą na rynku miejsca, a w drugiej kolejności pacjenci, dla których dostępność leków się zmniejsza.

Od tego, którą wizję rynku aptecznego przyjmie regulator, zależy zatem ostatecznie dobro pacjentów. Przykład Irlandii pokazuje, że rynek zamknięty powoduje zmniejszenie liczby placówek i zwiększenie cen leków nierefundowanych, dlatego właśnie irlandzki ustawodawca wycofał się z ustawy analogicznej do polskiej „apteki dla aptekarza”.

Ekspert ZPP apelują do parlamentu o uznanie, że ostatecznym celem każdej regulacji rynku aptecznego nie powinien być komfort farmaceutów i właścicieli aptek, lecz dobro pacjentów i wysoka dostępność leków – zarówno w kontekście procedowanej ustawy o zawodzie farmaceuty, jak i przyszłych inicjatyw legislacyjnych.

GP



PEŁNE OTWARCIE KLUBÓW SPORTOWYCH – DLA NASZEGO ZDROWIA

CZY KLUBY FITNESS, SIŁOWNIE I BASENY MUSZĄ POZOSTAĆ ZAMKNIĘTE?

W związku z drugą falą COVID-19 obiekty sportowe w całym kraju od 17 października mogą działać tylko na pół gwizdka. To duży cios dla branży fitness, ale przede wszystkim dla korzystających z niej milionów dbających o zdrowie Polaków.

Siłownie, kluby fitness, baseny i hale sportowe pozostają zamknięte dla wszystkich indywidualnie uprawiających w nim sporty. Dozwolone są jedynie treningi w obecności trenera i zbiorowe przygotowywanie się do udziału w zawodach.

Dla ochrony zdrowia obywateli?

Jak wyjaśniło „GP” Ministerstwo Kultury i Sportu, „działania podejmowane w tym

zakresie mają na celu przede wszystkim ochronę zdrowia obywateli – w prowadzonym przez Ministerstwo Zdrowia i Główny Inspektorat Sanitarny procesie decyzyjnym”. Czy jednak faktycznie dzięki wprowadzonym restrykcjom zdrowie obywateli jest właściwie chronione? Czy taka troska o jego ochronę nie wywoła skutków odwrotnych do zamierzonych?

Przecież ruch fizyczny to profilaktyka zdrowotna – ważny jest zwłaszcza teraz, gdy pandemia COVID-19 wciąż trwa. Bo

jego regularne uprawianie wspomaga odporność na choroby. Według Światowej Organizacji Zdrowia brak ruchu to czwarty wiodący czynnik śmiertelności na świecie; odpowiada za 27 proc. przypadków cukrzycy oraz 30 proc. przypadków choroby niedokrwiennej serca. Co istotne, ruch fizyczny wpływa też pozytywnie na zdrowie psychiczne. Podczas ostatniej debaty „GP” na temat skutków otyłości Anna Śliwińska, prezes Polskiego Stowarzyszenia Diabetyków, zwracała uwagę



Maciej Pawlak

na fakt, że obecne obostrzenia antykoronawirusowe kłócą się z zaleceniem stosowania wysiłku fizycznego wymaganego przy dbałości o zdrowy styl życia. – Staramy się w obecnej sytuacji przekazywać pacjentom, żeby nie zaniedbywali swojego zdrowia, w tym aktywności fizycznej, bo cukrzyca nie minie niezależnie od pandemii. (...) Każda aktywność fizyczna jest wartościowa – podkreślała Anna Śliwińska.

Zagraniczne badania: siłownie są bezpieczne

Choć w naszym kraju nie przeprowadzano badań, które pokazywałyby, w jakim

stopniu kluby sportowe, baseny czy siłownie mogą stanowić miejsca niebezpieczne z punktu widzenia transmisji koronawirusa, znane są wyniki takich badań z zagranicy. Jak informował branżowy miesięcznik „Benefit”, z amerykańskich danych International Health, Racquet & Sportsclub Association (IHRSA) oraz MXM wynika, że w ciągu trzech miesięcy od ponownego – po pierwszej fali pandemii – uruchomienia w USA obiektów sportowych zarejestrowano w nich blisko 50 mln wizyt. „Wśród wszystkich odwiedzin jedynie 0,002 proc. stanowiły wizyty klientów, u których potwierdzono pozytywny wynik na COVID-19”. W Wielkiej Brytanii z kolei, w pierwszych trzech tygodniach od wznowienia działalności klubów fitness, organizacja UKactive zarejestrowała jedynie 17 klientów z koronawirusem na ponad 8 mln wizyt, czyli na poziomie 0,0002 proc.

Z kolei portal Newseria Biznes informował, że analogiczne badania przeprowadzali w swoim kraju norwescy naukowcy – na próbie 4 tys. osób odwiedzających kluby sportowe i fitness. Wykazały one, że siłownie i kluby fitness, stosujące podobne normy sanitarne do tych, które obowiązywały w Polsce w okresie letnim, nie stanowią podwyższonego ryzyka epidemicznego. Wśród osób biorących udział w treningach zaledwie jeden test okazał się pozytywny – jednak uczestnik badania został zarażony poza siłownią, w miejscu pracy.

– To silny argument za tym, że siłownie są bezpieczne i powinno się je otworzyć. Nie zwiększają ryzyka zakażenia, mają natomiast korzystny wpływ na nasze zdrowie, bo wysiłek fizyczny jest nam potrzebny, zwiększa naszą odporność, poprawia samopoczucie i nasz sen. Dlatego w naszym wspólnym interesie zdrowotnym leży, żeby kluby były otwarte – ocenia dr hab. n. med. Ernest Kuchar, specjalista chorób zakaźnych i medycyny

sportowej z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Otworzyć kluby sportowe

Podobnie uważa prezes Krajowej Izby Gospodarczej Andrzej Arendarski, który w liście otwartym do premiera Mateusza Morawieckiego wystąpił z apelem o otwarcie siłowni i klubów fitness. Autor listu zwraca w nim uwagę na fakt, że „nowoczesne obiekty sportowe, wielkopowierzchniowe kluby fitness czy siłownie są miejscami bezpiecznymi, co potwierdzają liczne analizy. (...) Niewątpliwie wiąże się to z oczywistym faktem: z siłowni korzystają osoby zdrowe, bez objawów takich jak gorączka lub osłabienie. Inaczej niż np. w przypadku sklepów lub transportu publicznego, które nie podlegają tak ostrym restrykcjom”.

Jak zwraca uwagę szef KIG, „rząd nie dysponuje – a przynajmniej ich nie upublicznił – wynikami badań przeprowadzonych w Polsce, które wskazywałyby rzeczywistą skalę zagrożenia zakażeniem COVID-19 w klubach fitness i innych obiektach sportowych”.

Potwierdza to Ministerstwo Kultury i Sportu, które napisało „GP”, że „Ministerstwo Zdrowia nie przekazało nam wyników badań przeprowadzonych w Norwegii”. Według resortu kultury sportu „epi-

demia COVID-19 jest zjawiskiem nowym, dlatego też w bazach naukowych pojawiają się kolejne doniesienia na temat choroby oraz sposobów jej zapobiegania. Uzasadnione jest więc podejmowanie wszelkich środków ostrożności w celu ograniczenia ekspansji epidemii”. Zaś „decyzja o otwarciu obiektów dla wszystkich chętnych zależy od rozwoju sytuacji związanej z epidemią”.

Związek ten dostrzega dr Michał Sutkowski, rzecznik Kolegium Lekarzy Rodzinnych w Polsce, który powiedział „GP”, że obiekty sportowe należy otworzyć. – Myślę, że gdy się bardzo postaramy, powinniśmy w połowie stycznia otworzyć prawie wszystko, może jeszcze oprócz szkół.

GP

Nowy giełdowy indeks najbardziej innowacyjnych spółek

WSPÓLNA INICJATYWA SIECI BADAWCZEJ ŁUKASIEWICZ I GPW W WARSZAWIE

– Chcemy promować spółki stawiające na innowacje. Ich projekty badawczo-rozwojowe mogą przynosić im na konkurencyjnym rynku istotne przewagi technologiczne. Stąd idea Indeksu Łukasiewicza, który zacznie działać od początku kwietnia 2021 roku – w ten sposób uzasadniał nową, wspólną inicjatywę warszawskiej giełdy oraz Sieci Badawczej Łukasiewicz jej prezes, Piotr Dardziński.

Koncepcję „Indeksu Łukasiewicza” zaprezentowali Piotr Dardziński, Prezes Sieci Badawczej Łukasiewicz i Marek Dietl, Prezes Zarządu Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie podczas Debiutu Łukasiewicza, pierwszego spotkania naukowców i inżynierów Łukasiewicza z tak liczным gronem przedstawicieli spółek notowanych na warszawskim parkiecie.

Nowy indeks ma obejmować spółki giełdowe zaangażowane w działalność badawczo-rozwojową.

Według wstępnych założeń w skład indeksu wejdą spółki notowane na Głównym Rynku oraz na rynku NewConnect, które współpracują z Łukasiewiczem. Aktualizacja listy uczestników będzie przeprowadzana co pół roku. Wartości indeksu będą obliczane raz dziennie na podstawie kursów zamknięcia.

– Poziom innowacyjności nie od dziś bezpośrednio wpływa na jej rynkowy sukces i przyciąga uwagę inwestorów. Inicjując (...)powołanie indeksu najbardziej innowacyjnych firm na warszawskim parkiecie, chcemy docenić i wyróżnić ich zaangażowanie w działalność badawczo-rozwojową oraz zachęcić pozostałe firmy do rozwijania własnego potencjału w oparciu o wiedzę i kompetencje naukowców Łu-

kasiewicza, największego w Polsce dostawcy innowacyjnych rozwiązań B+R. Chcemy, aby naturalnym odruchem każdej spółki, która myśli o modernizacji swojej firmy i wzroście wartości dla akcjonariuszy, stało się rzucenie wyzwania Łukasiewiczowi – dodał Piotr Dardziński.

Marek Dietl, prezes GPW podkreślał z kolei, że wprowadzenie Indeksu Łukasiewicza grupującego najbardziej innowacyjne spółki na warszawskim parkiecie wpisuje się w trendy zachodzące w gospodarce oraz na rynku kapitałowym. (jedną z naszych najważniejszych innowacji jest nowa wersja kalkulatora indeksów giełdowych stosowanego przez GPW Benchmark. Dzięki temu rozwiązaniu będziemy mogli (...) zwiększyć zakres

usług „fabryki szytych na miarę” indeksów i wskaźników referencyjnych dla banków, towarzystw ubezpieczeniowych i towarzystw funduszy inwestycyjnych – dodał.

Jak wyjaśnił, Indeks ma być codziennie aktualizowany na podstawie m.in. danych o obrotach spółek wchodzących w jego skład, ich cash-flow (przepływów pieniężnych) itd.

– Spółki notowane na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie to firmy, które z jednej strony są najbardziej na rynku transparentne, a z drugiej nie boją się podejmować ryzyka i już dziś posiadają własne innowacyjne technologie, często unikatowe na skalę świata. My chcemy ten gen nowoczesności wzmocnić, oferując to co w Łukasiewiczu najcenniejsze – zespół ponad 4500 kreatywnych ludzi, którzy tworzą z pasją rozwiązania dla biznesu poszukującego innowacyjnych rozwiązań. Dwanaście starannie wyselekcjonowanych, gotowych do wdrożenia projektów nowoczesnych technologii zaprezentowaliśmy uczestnikom Debiutu Łukasiewicza. Są wśród nich rozwiązania dotyczące elektrochemioterapii, czyli chemioterapii nowotwo-

rowej wspomaganej elektroporacją, technologie odzysku ciepła odpadowego z procesów przemysłowych czy miniautobus elektryczny z funkcją cargo. Jestem przekonany, że już wkrótce będą one pracować na zyski spółek, które zdecydowały się w nie zainwestować – podkreślił Piotr Dardziński.

Na ofertę Sieci Badawczej Łukasiewicz składa się unikalny system Wyzwań Łuka-

*Poziom innowacyjności
nie od dziś bezpośrednio
wpływa na jej rynkowy
sukces i przyciąga uwagę
inwestorów.*



siewicz, dzięki któremu grupa naukowców w nie więcej niż 15 dni roboczych przygotowuje dla przedsiębiorcy propozycję opracowania skutecznego rozwiązania wdrożeniowego w ramach 4 kierunków działalności – transformacji cyfrowej, inteligentnej mobilności, zdrowia oraz zrównoważonej gospodarki i energii. Angażuje przy tym najwyższe w Polsce kompetencje naukowców i unikalną w skali kraju aparaturę naukową. Co najważniejsze – przedsiębiorca nie ponosi żadnych kosztów związanych z opracowaniem pomysłu na prace badawcze.

– VIGO System od lat dziewięćdziesiątych współpracuje na poziomie badawczo-rozwojowym z instytutami, które dziś tworzą Łukasiewicz – Instytut Mikroelektroniki i Fotoniki. Dzięki tej kooperacji, udało nam się rozwinąć nowe technologie oraz stworzyć nowe innowacyjne produkty. Bardzo istotną rzeczą przy naszej współpracy jest dostęp do ogromnego zaplecza badawczo-rozwojowego. Realizując długofalową strategię rozwoju firmy zaczynamy nowy projekt z Łukasiewicz-IMiF i Politechniką Warszawską o całkowitym budżecie około 30 mln zł. Ma on na celu stworzenie zintegrowanych układów fotonicznych w zastosowaniach codziennego użytku – mówi Adam Piotrowski, prezes Vigo System S.A. ■

Lista projektów zaprezentowanych podczas Debiutu Łukasiewicza

Zdrowie:

- Poszukiwanie nowych celów molekularnych w terapii depresji;
- Technologie leków generycznych zabezpieczających dostępność terapii chorób cywilizacyjnych;
- Elektrochemioterapia (ECT), czyli chemioterapia nowotworowa wspomagana elektroporacją odwracalną

Transformacja Cyfrowa

- Inteligentna fabryka – magazyny i zapasy;
- Inteligentna fabryka – sieć dystrybucji i logistyka;
- Inteligentna fabryka – cyfrowe łańcuchy dostaw.

Inteligentna Mobilność

- EV600 – Mini autobus elektryczny z funkcją Cargo przeznaczony do transportu zbiorowego w obszarach podmiejskich, turystycznych, uzdrowiskowych, lotniskach;
- Platforma Autonomiczna Wsparcia Operacyjnego poruszająca się

w trybie zdalnego sterowania lub w trybie autonomicznym;

- Inteligentne zatoczki rozładunkowe redukujące kongestję i poprawiające bezpieczeństwo w centrum miasta.

Zrównoważona gospodarka i energia

- Polimery i biododatki do biodegradowalnych tworzyw sztucznych nowej generacji;
- Technologia odzysku ciepła odpadowego z procesów przemysłowych;
- Opracowanie metod odzysku jonów metali ze strumieni technologicznych i ścieków procesowych.

Na ofertę Sieci Badawczej Łukasiewicz składa się unikalny system Wyzwań Łukasiewicz, dzięki któremu grupa naukowców w nie więcej niż 15 dni roboczych przygotowuje dla przedsiębiorcy propozycję opracowania skutecznego rozwiązania wdrożeniowego w ramach 4 kierunków działalności: transformacji cyfrowej, inteligentnej mobilności, zdrowia oraz zrównoważonej gospodarki i energii.



Ryszard
Kapuściński
PREZES KLUBÓW „GP”

List prezydenta Andrzeja Dudy do klubu „GP” w Tychach

Z okazji 10-lecia klubu „Gazety Polskiej” w Tychach prezydent Andrzej Duda złożył klubowi okolicznościowe gratulacje i подарował niezwykle jubileuszowy dar – pamiątkową flagę narodową.

Warszawa, 7 grudnia 2020 roku

Klub „Gazety Polskiej” w Tychach

W szczególnym czasie Narodowych Obchodów Setnej Roczniczy Odzyskania Niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej, z okazji 10-lecia Klubu „Gazety Polskiej”, uroczystie przekazuję Państwu jubileuszowy dar – flagę państwową Rzeczypospolitej Polskiej.

Polskie barwy narodowe towarzyszą nam na co dzień, ale ich obecność była dla nas szczególnie doniosła w najważniejszych momentach naszych dziejów. Z dumą i nadzieją eksponowali je uczestnicy zbrojnych oraz pokojowych zmagania o Rzeczpospolitą wolną, niepodległą i sprawiedliwą. Także w suwerennej Polsce pod białą-czerwoną flagą gromadzili się polscy patrioci z troską o dalsze losy Ojczyzny. Tak było w miesiącach po tragedii smoleńskiej i w czasie zmian, jakie rozpoczęły się w roku 2015. Udział w tym wielkim dziele naprawy Rzeczypospolitej miało również Państwa środowisko – dając mocne świadectwo przywiązania do wartości i tradycji, na których opiera się godność, trwałość i pomyślność naszego państwa.

Niech ta flaga, symbol suwerennej Polski i jej tysiącletniej historii, jednoczy całą naszą wspólnotę narodową. Niech inspirować Państwa oraz wszystkich Mieszkańców Tychów do codziennej wytrwałej pracy służącej dobru wspólnemu, do zachowywania narodowej tradycji i kultury, do obrony dobrego imienia Polski oraz wychowywania młodych pokoleń w duchu umiłowania Ojczyzny. Niech będzie powszechnie szanowanym znakiem Polski jako państwa nowoczesnego, bezpiecznego i silnego, odważnie podejmującego nowe wyzwania, silnego patriotyzmem i zaangażowaniem społecznym swoich obywateli.

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzej Duda

Redaktor naczelny „Gazety Polskiej” Tomasz Sakiewicz i prezes klubów „Gazety Polskiej” Ryszard Kapuściński wystosowali list, w którym dziękują członkom klubu „GP” w Tychach za 10 lat pracy dla dobra Polski.

Kraków, 7 grudnia 2020 roku
Podziękowanie dla Członków Klubu „Gazety Polskiej” w Tychach

Szanowni Państwo, Drodzy Klubowicze,

z okazji 10 lat działalności Klubu „Gazety Polskiej” w Tychach chcemy Państwu podziękować za Waszą dotychczasową ciężką pracę dla dobra wolnej, suwerennej i bogatej Polski. Za Waszą pracę dla dobra swojej Małej Ojczyzny, w której mieszkacie, gdzie mieszkają Wasi znajomi. Za budowanie Społeczeństwa Obywatelskiego.

W Polsce po wojnie wytworzył się system autorytarny, w którym starano się podporządkować państwu i PZPR wszystkie dziedziny życia, całą inicjatywę obywateli. Pierwszą historyczną próbą odejścia od tego systemu w powojennej historii Polski było powstanie Solidarności. Ruchu społecznego, działającego obok komunistycznej władzy, w którym trwała niekończąca się społeczna debata o najważniejszych problemach dotyczących nas, Polaków. Dopiero w 1989 roku znalazło to odzwierciedlenie w zmianach w Konstytucji, jeszcze PRL-owskiej, wprowadzające po raz pierwszy termin Społeczeństwa Obywatelskiego. Jednak, co brzmi dość dziwnie, po 44 latach promowania idei sprawiedliwości społecznej i socjalizmu w swojej czystej formie nie wyjaśniono Polakom, co to pojęcie tak naprawdę oznacza.

Niezwykle doniosłą rolę w powojennej historii Polski odegrał Kościół katolicki, który w swojej mądrości wciąż wyznaczał kierunki ludzkiej inicjatywy, w ten sposób bezustannie inspirował budowę Społeczeństwa Obywatelskiego.

W ostatnich piętnastu latach w budowie Społeczeństwa Obywatelskiego niepoślednią rolę zaczęły odgrywać kluby „Gazety Polskiej”. Kiedy pod koniec 2005 roku powstał pierwszy klub „Gazety Polskiej”, w swoich założeniach miał spełniać „rolę integracyjną w swoich środowiskach lokalnych – skupiać wokół siebie czytelników i pozyskiwać nowych” – jak napisał w swoim przesłaniu do przyszłych założycieli klubów redaktor naczelny „Gazety Polskiej” Tomasz Sakiewicz. W ciągu piętnastu lat od tamtych słów powstało w Polsce i na świecie około 500 klubów „Gazety Polskiej”, które swoim codziennym funkcjonowaniem wykreowały indywidualne zasady działalności.

Kluby „Gazety Polskiej” zakładane są nie dla kariery, obecnych czy przyszłych profitów. Tworzą je patrioci, osoby przeważnie niezwiązane z żadną partią, identyfikujące się z podstawowymi wartościami etycznymi i moralnymi, które nie znajdując w swoim środowisku odpowiedniego forum do dyskusji dotyczących najważniejszych problemów nurtujących ich najbliższe otoczenie, tworzą to forum zakładając klub. To jest działanie oddolne, czyste w swojej genezie, spontaniczne, tak jak było na początku Solidarności. To jest budowa Społeczeństwa Obywatelskiego, bez polityków, lobbystów czy odgórnych nacisków.



Klub „GP” w Tychach dba o pamięć o bohaterach polskiej historii, organizując obchody ważnych rocznic.

Wyznając idee, które są tak ważne dla środowiska Strefy Wolnego Słowa, 7 grudnia 2010 roku grupa patriotów postanowiła założyć klub „Gazety Polskiej” w Tychach. Dziękujemy założycielom klubu, którymi byli: Wojciech Jabłoński, śp. Anzelm Habryka, śp. Edward Madej, śp. Lucyna Madej, śp. Zbigniew Pułterałowicz, Czesław Kuźniak, Stanisław Nikiciuk, Tadeusz Smagacz, Henryk Kocjan i Janusz Jabłoński.

Dziękujemy tym wszystkim, którzy przez ostatnie 10 lat uczestniczyli we wspólnych, patriotycznych działaniach klubu „Gazety Polskiej” w Tychach. Dziękujemy!

Redaktor naczelny
„Gazety Polskiej”
Tomasz Sakiewicz

Prezes
klubów „Gazety Polskiej”
Ryszard Kapuściński

Członkowie klubu „GP” w Tychach tak opisują swoją dotychczasową działalność:

Klub „Gazety Polskiej” w Tychach został założony przez działacza NSZZ „Solidarność” Wojciecha Jabłońskiego w roku tragedii, do której doszło pod Smoleńskiem. To właśnie brak zgody na kłamstwa, jakimi karmiono społeczeństwo po tej tragedii, oraz chęć wyrażenia swojego sprzeciwu i potrzeba działania były bezpośrednimi impulsami do założenia klubu „Gazety Polskiej” w Tychach. Od tamtej pory członkowie naszego klubu niestrudzenie pracują na rzecz niepodległej, wolnej i sprawiedliwej Rzeczypospolitej, której odbudowę obserwujemy od roku 2015. Spotkanie inauguracyjne klubu odbyło się 7 grudnia 2010 roku w biurze Solidarności nauczycielskiej w Tychach. Wojciech Jabłoński zaprosił znajomych ze środowiska prawicy oraz kombatanów Solidarności do udziału w tym spotkaniu. Niestety część tych osób odeszła już do wieczności, byli jednak aktywnymi członkami naszego klubu do końca.

Ojcowie Założyciele tyskiego klubu to: Wojciech Jabłoński, śp. Anzelm Habryka, śp. Edward Madej, śp. Lucyna Madej, śp. Zbigniew Pułterałowicz, Czesław Kuźniak, Stanisław Nikiciuk, Tadeusz Smagacz, Henryk Kocjan i Janusz Jabłoński.

Pierwszym wydarzeniem zorganizowanym przez tyski klub „GP” była organizacja ósmej miesięcznicy tragedii smoleńskiej. Wydarzenie to odbyło się pod Kamiennym Krzyżem przy ul. Grota Roweckiego, 10 grudnia wieczorem. Kolejnym wydarzeniem było

spotkanie opłatkowe 28 grudnia, na które przyszło już wiele osób, późniejszych członków klubu. Gościem honorowym spotkania był senator Prawa i Sprawiedliwości Bronisław Korfanty.

W szeregach naszego klubu działa wiele osób starszych, w tym odznaczonych Krzyżem Wolności i Solidarności, medalem 100-lecia Odzyskanej Niepodległości, a także Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Jesteśmy w naszym mieście zawsze i wszędzie tam, gdzie należy dać świadectwo i wyraz wierności Bogu i Ojczyźnie. Zawsze wierni stajemy pod pomnikami i tablicami upamiętniającymi polskich bohaterów i doniosłe wydarzenia z polskiej historii, takie jak: Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych, święto Konstytucji 3 maja, rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego, Narodowe Święto Niepodległości, ostatnio 40. rocznica powstania NSZZ „Solidarność”. Podjęliśmy szereg działań, np. przygotowywanie obchodów rocznic i miesięcznic smoleńskich, organizowanie wyjazdów na różne uroczystości, takie jak: rocznice smoleńskie, coroczne wyjazdy na Węgry (rocznice Wiosny Ludów). Bierzymy udział w manifestacjach dotyczących walki o wolne i niezależne media.

Organizujemy również co roku Marsz Pamięci Wołyn 1943 i staramy się zaangażować we współorganizowanie Marszu dla Życia i Rodziny w Tychach.

Podczas jednego z zebrań z grona klubu wyłonił się również komitet do sprawy budowy pomnika smoleńskiego. Pomnik w Tychach udało się odsonić w 2013 roku.

Tyski klub aktywnie bierze udział w kampaniach wyborczych, pracując na rzecz kandydatów Zjednoczonej Prawicy, a ostatnio, zdając sobie sprawę z wagi wyborów na urząd Prezydenta RP, bardzo mocno i na wszystkich możliwych frontach wspieraliśmy Pana Prezydenta Andrzeja Dudę. Bierzymy również udział w wielu inicjatywach, które mają budzić w społeczeństwie postawy patriotyczne, jak np. zbieranie podpisów pod projektem „Pod białoczerwoną” czy organizacja Straży Patriotycznej, mającej bronić kościołów przed atakami środowisk lewicowych.

Trudno tutaj wymienić wszystkie działania podejmowane w ciągu 10 lat działalności klubu „Gazety Polskiej” w Tychach, był to bowiem okres bardzo pracowity. Ważne jest również podkreślenie i zaznaczenie wieloletniej współpracy z senatorem Czesławem Ryszką. Przez wszystkie lata działalności klubowi „Gazety Polskiej” w Tychach udało się zachować podmiotowość i niezależność w niełatwych realiach postkomunistycznej metropolii. Trzeba w tym miejscu podziękować wszystkim klubowiczom pracującym w klubie na przestrzeni 10 lat, ale też ojcom założycielom i przewodniczącym klubu w okresie 10 lat działalności: Wojciechowi Jabłońskiemu, Zygmuntovi Grochowalskiemu, Januszowi Jabłońskiemu i nowej przewodniczącej Annie Syrek.

Niech Boże błogosławieństwo przyświeca naszej działalności na następne lata.

GP

Kontakt dla osób, które chcą założyć klub „GP”

Tomasz Sakiewicz
REDAKTOR NACZELNY „GP”
e-mail: tomasz.sakiewicz@gazetapolska.pl

Ryszard Kapuściński
PREZES KLUBÓW „GP”
e-mail: ryszard.kapuscinski@gazetapolska.pl

Ewa Wójcik
BIURO KLUBÓW „GP”
ul. Bracka 15, I piętro
31-005 Kraków
e-mail: klubygpg@gazetapolska.pl
tel. (12) 422 03 08, 505 038 217



Grzegorz
Broński

Zbrodnia hazardzisty Przegrał!

Paweł P. był hazardzistą. Potrzebował pilnie gotówki, dlatego skatował sąsiadkę, pielęgniarkę ze szpitala. Z ukradzionymi pieniędzmi od razu poszedł do... salonu z automatami.

Joanna Z. na co dzień pracowała jako pielęgniarka na oddziale intensywnej opieki medycznej Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Legnicy. Była sumienna, obowiązkowa, przełożeni nie mieli do jej pracy zastrzeżeń. Dlatego sporym zaskoczeniem była nagła absencja 45-letniej kobiety, która nie pojawiła się w pracy. Tym bardziej, że nie przekazała żadnej informacji o powodach nieobecności. Na nic się zdały próby nawiązania z nią kontaktu, nie odbierała telefonu komórkowego.

Zaniepokojeni koledzy postanowili sprawdzić, co się dzieje, i rankiem 24 października 2019 roku pojechali na ulicę Wielkiej Niedźwiedzicy, gdzie mieszkała Joanna Z. Znali adres, weszli do bloku, zaczęli pukać. Wprawdzie drzwi były zamknięte, nikt nie zareagował na wołanie, ale oni nie zamierzali odchodzić bez wyjaśnienia. Koleżanka żyła bowiem samotnie, mogła na przykład ulec jakemuś wypadkowi lub zachorować. Niestety, szybko okazało się, że nikt już nie może pomóc pielęgniarce.

„Wezwane służby ratunkowe po wejściu do lokalu kobiety ujawniły w przedpokoju jej zwłoki” – podała prokurator Lidia Tkaczyszyn z Prokuratury Okręgowej w Legnicy.

Wówczas nie ujawniono zbyt wielu szczegółów tragicznego zdarzenia, ale od początku pewne było, że Joanna Z. padła ofiarą zbrodni. Bardzo brutalnej.

Zarzuty

MORD I ROZBÓJ

W akcie oskarżenia prokurator postawił Pawłowi P. zarzut zabójstwa w zamiarze bezpośrednim w związku z rozbójem. Morderca zadał ofierze dziewięć uderzeń metalową rurką i spowodował rany tłuczone głowy. Natomiast do śmierci doprowadził poprzez duszenie za szyję skutkujące zadławieniem. Paweł P. przywłaszczzył sobie także złoty łańcuszek i pieniądze.

Obrażenia odkryte na zwłokach wskazywały, że sprawca zadawał ciosy twardym przedmiotem – uderzał w głowę ofiary z ogromną siłą. Bezpośrednią przyczyną śmierci było jednak uduszenie.

Bestialskie zabójstwo pielęgniarki wstrząsnęło mieszkańcami Legnicy. Choć zginęła w bloku, w którym przebywało wiele osób, nikt nic nie słyszał. Ani podejrzanych hałasów, ani wołania o pomoc. Policja początkowo miała problem z wytypowaniem sprawcy, bo nie pozostawił zbyt wielu śladów, a przede wszystkim zamordowana kobieta nie miała wrogów. Nie była też osobą majątną. Mijały tygodnie, a jej oprawca pozostawał na

wolności. To potęgowało strach... W końcu jednak podejrzany został namierzony.

10 grudnia legniccy „kryminalni” zatrzymali 39-letniego Pawła P., karanego wcześniej za drobne przestępstwa przeciwko mieniu, przez pewien czas lokatora bloku przy ulicy Wielkiej Niedźwiedzicy 16, czyli tego samego, w którym mieszkała Joanna Z. Jak się tam znalazł? Przygarnęli go krewni – mężczyzna miał bowiem poważne problemy osobiste. Będąc nałogowym hazardzistą, przepuszczał pieniądze w salonach z automatami. Bliscy starali się mu pomóc. Dzisiaj wiadomo, że niewiele wskórali.

Podczas przesłuchań Pawła P., a także dzięki analizie relacji świadków i pozostałego materiału dowodowego, zdołano ustalić, co wydarzyło się popołudniem 23 października.

Tamtego dnia Joanna Z. około godziny 15 wracała z pracy, po zrobieniu zakupów dotarła do domu. Stała przed drzwiami mieszkania, wyciągnęła klucze, otworzyła zamek i w tym momencie została zaatakowana. Zaskoczona nie zdążyła nawet krzyknąć. Napastnik wepchnął ją do środka, zatrzasnął drzwi i od razu zaczął katować.

„W przedpokoju zadał pokrzywdzonej kilka uderzeń w głowę posiadaną przy sobie metalową rurką, po których pokrzywdzona upadła na podłogę. Po chwili usiłowała podnieść się i wówczas Paweł P. zadał jej kolejne ciosy metalową rurką” – poinformowała prokurator Tkaczyszyn. I dodała:

Skutki hazardu

WPAĐKA POLICJANTA

Hazardziści popełniają wiele przestępstw, ale kuriozalne jest to, co zrobił policjant z Warszawy. Wymosił powierzony mu sprzęt służbowy (na przykład laptopy) i zastawiał w lombardzie. Pieniądże wydawał na grę. Był bezkarny przez dwa lata – wpadł, gdy w komendzie przeprowadzono inwentaryzację i okazało się, że sporo sprzętu brakuje.

„Zaczął dusić za szyję, doprowadzając do śmierci wskutek zadławienia”.

Morderca okradł ofiarę. Przeszukał jej torebkę, z portfela wyciągnął 450 złotych, a z szyi martwej pielęgniarzki zdjął złoty łańcuszek. Wychodząc, zamknął drzwi na klucz. Najpierw poszedł do siebie, zmienił ubranie, spakował rzeczy i z plecakiem ruszył do centrum miasta. Tam wszedł do salonu z automatami. Paweł P., choć kilkadziesiąt minut wcześniej zamordował kobietę, usiadł przy maszynie i zaczął grać. Bez sukcesu, bo stracił sporo zrabowanej gotówki. Później w lombardzie zastawił złoty łańcuszek należący do pielęgniarzki – dostał 700 złotych (policjanci zdołali go odzyskać i został rozpoznany przez osobę, która wręczyła go Joannie jako prezent).

Prokuratura zebrała więcej dowodów potwierdzających, że to Paweł P. jest zabójcą Joanny Z. Chociażby na miejscu tragedii odkryto ślady biologiczne sprawcy, z kolei na jego ubraniu zabezpieczono krew ofiary. Przede wszystkim jednak podejrzany podczas przesłuchania przyznał się do winy.

„Podał, że nie wie, dlaczego to zrobił” – ujawniła prokurator Tkaczyszyn.

Proces Pawła P., któremu grozi kara dożywocia, będzie się toczył przed Sądem Okręgowym w Legnicy. GP

RYSOWAŁ **FILIPBAK.PL**



Zaskoczona ofiara nie zdążyła nawet krzyknąć. Napastnik wepchnął ją do środka, zatrzasnął drzwi i od razu zaczął katować.

Poczytalny

NAŁOGOWY GRACZ

Podczas śledztwa Pawła P. zbadali biegli psychiatrzy, psycholog i seksuolog. W opinii stwierdzili, że mężczyzna był w pełni poczytalny, popełniając zbrodnię, i rozumiał znaczenie swoich czynów. Tym samym może odpowiadać przed sądem. Wprawdzie uzależniony jest od hazardu, ale nie miało to znaczenia w ocenie poczytalności.



Tomasz
Łysiak
SZEFEK DZIAŁU HISTORIA

RĘCE ZŁOŻONE NA PANCERZU

Gdy w grudniu tego roku Polska i Węgry, wspierając się wzajemnie, przeciwstawiały się urzędniczemu dyktatowi Brukseli, mieliśmy rocznicę, która w szczególny sposób spaja historię obu narodów walczących o wolność wtedy, gdy trzeba było ją wyszarpywać nie w procesie negocjacji, lecz bagnetem i szablą. To 170. rocznica śmierci Józefa Bema – „Orła spod Ostrołki” i wyzwoliciela Siedmiogrodu.

OPOWIEŚĆ O JÓZEFIE BEMIE

*„Czemu, Cieniu,
odjeżdżasz, ręce
złamawszy na pancerz,
Przy pochodniach, co
skrami grają około twych
kolan? –
Miecz wawrzynem zielony
i gromnic płakaniem dziś
polan;
Rwie się sokół i koń twój
podrywa stopę jak tancerz.
– Wieją, wieją proporce
i zawiewają na siebie,
Jak namioty ruchome
wojsk koczujących po
niebie.
Trąby długie we tkaniu aż
się zanoszą i znaki
Pokłaniają się z góry
opuszczonymi skrzydłami
Jak włóczyniami przebite
smoki, jaszczury i ptaki...
Jako wiele pomysłów,
któreś dościgał
włóczyniami...”*

CYPRIAN KAMIL
NORWID

*„Bema pamięci
żałobny rapsod”*

Rok 1812. Wielka Armia, skrwawiona, zabijana mrozem, głodem i gnana moskiewską kulą wraca pobita nie tyle przez Rosjan, ile przez zimę. Gdy napoleońscy żołnierze cofając się, wchodzą na teren Księstwa Warszawskiego, pośród miejsc, które będą jeszcze stawiać opór Rosjanom, istotnym staje się Gdańsk. W styczniu do Gdańska wszedł ze swymi oddziałami francuski marszałek MacDonald, zastając tam szykującego obronę generała Jeana Rappa, wyglądającego jak lodowe widmo, z poodmrażanymi rękami i twarzą. Tej zimy zaczęło się oblężenie, które przerodziło się w długą, morderczą walkę – z zimnem, brakiem jedzenia, chorobami. W tych ekstremalnie trudnych warunkach, z trumnami stojącymi na ulicach, trzeba było bić się z sytym, napierającym zewsząd wrogiem. W tej walce prym wiedli „les braves Polonais”, „dzielni Polacy”, jak o swoich żołnierzach mówił generał Rapp (z wdzięczności za ich postawę na paradach występował w polskim mundurze). Tam widzimy Bema, jak dowodzi swoją baterią, kierując paszczę polskiej artylerii w stronę wroga. To on urządził mordercze strzelanie do rosyjskiej floty, zatapiając statki i powodując, iż kacapskie okręty musiały się w popłochu wycofywać. Czarny dym unosił się nad bombardowanym pociskami armatnimi i racami miastem. Potem przyszła kapitulacja i wielu nie mogło się z tym pogodzić. Także bohaterski Bem – w swoich wspomnieniach pisanych wiele lat później opowiadał o polskiej „piekielnej kompanii”, która wymykała się po cichu z miasta, pod dowództwem bezrękiego kapitana Chambure, by szerzyć spustoszenie w obozach rosyjskich. To jest pierwszy obraz, jaki – wcale nie oczywisty – wiąże się z Bemem. Gdy bierze udział w heroicznej obronie miasta, gdy widzi ludzi zjadających psy i koty, by przeżyć, i gdy patrzy na kanonadę oraz lecące na dachy rosyjskie race zapalające.

Honor Polaków

Eksperymenty nad rakietami będą stanowić część bojowego i naukowego życiorysu Bema.

Nie każdy wie, patrząc na skądinąd dobrze znany budynek lwowskiego Ossolineum, że miał on udział w jego projektowaniu. I to znaczny. Do Lwowa zresztą uciekł z Królestwa

Kongresowego, był bowiem raczej krnąbrnym żołnierzem pod dowództwem brata cara rosyjskiego. Dobrze wiadomo, jaką ręką rządził Konstanty podległym mu wojskiem polskim, jak traktował go niczym zabawkę, jak poniżał i zaćwiczał defiladami. Co i rusz zdarzały się samobójstwa – żołnierzy wychowanych pod sztandarami napoleońskimi, wyrosłych na naukach księcia Józefa i honorze stawianym na miejscu pierwszym. Konstantego ów polski styl i honor musiał drażnić, toteż nieustannie polskich oficerów poniżał. Bem to wszystko widział. Był członkiem Wolnomularstwa Narodowego, znał się blisko z majorem Walerianem Łukasińskim. Jednocześnie oddawał się pracom i badaniom, które opisał w raporcie „Uwagi o rakietach zapalających”. Ale prawdziwy materiał zapalający był w takich jak on. Bem wiedział, co się stało z Łukasińskim. Znał dokładną relację z tego, jak dzielnego majora upokorzono przed własnym pułkiem – odarto z epoletów i munduru, ogolono głowę na łyso, przykuto do tacek i kazano iść przed szeregi żołnierzy z czwartego pułku. Czwartacy stali wyprężeni na baczność i płakali.

Potem i on sam wpadł w kłopoty – wokół rozpętała się sprawa jakiegoś długu, który notabene spłacił, a gdy na jaw wyszło jego zaangażowanie w wolnomularstwo, zrobiło się całkiem źle. Pojawiły się wyroki, potem ułaskawienia, zsyłki karne do innych batalionów, pojedynki, aż w końcu jedynym wyjściem z napiętrzących się problemów było właśnie czmychnięcie do Lwowa.

Iganie

Z miasta Bem wrócił, gdy wybuchło powstanie listopadowe, po bitwie pod Olszynką, na początku marca 1831 roku.

Jak wiemy, nazajutrz po bitwie na naczelnego wodza powstania powołano Skrzyneckiego. I jak również dobrze wiemy, znając dalszy przebieg wypadków, był to wybór fatalny z wielu względów. Dla nas istotny również, gdy na wydarzenia popatrzymy z perspektywy związanej z losami Bema, który od 13 marca, już w randze majora, został dowódcą czwartej baterii konnej artylerii lekkiej. Gdy po Bitwie Grochowskiej Rosjanie zaczęli się cofać, była szansa, by – mówiąc kolokwialnie – „popędzić im kota”. Gdyby podejmowano decyzje szybko, a działania były sprawne, można by wiele osią-



Bitwa pod Ostrołęką

gnąć. Jednak zwycięstwa pod Wawrem czy Dębem Wielkim zostały przez naszego głównodowodzącego zmarnowane. Bem natomiast działał znakomicie: 10 kwietnia pod Domanicami dał popalić Rosjanom – dwa działa, wysłane przez niego, by błyskawicznie zająć piaszczysty pagórek i wspomóc jazdę Kickiego, zrobiły znakomitą robotę. Brygada kawalerii Sieversa rzuciła się do ucieczki. To jeden z tych obrazów, nigdy nie namalowanych, które sami musimy sobie wyobrazić, myśląc o Bemie – gdy pośród kanonady patrzy na paniczną ucieczkę Moskali. Dalej była bitwa pod Iganiami. Tu znowu artyleria Bema niosła krwawe zwycięskie żniwo. Oto z jednej strony trzy bataliony jęgrów rosyjskich Rosena. Z drugiej nasze baterie. Bem kazał działa przestawić w stronę przeciwnika. Wspominał jego podwładny Stanisław Jabłonowski: „Gdy się wszystkie dziesięć dział uszykowały i gdyśmy silny ogień kartaczowy do tej zaciętej piechoty moskiewskiej rozpoczęli, to nie było już bitwy, lecz rzeź formalna”. Ale piechota rosyjska, pośród dymów i płonących domów, jak w piekle – odbiła Iganie z rąk polskich. Prądyński dostrzegł ostatnią szansę – Moskale szli po grobli i nie mogli się rozwinąć. Bem z resztek amunicji uderzył kartaczami, a Prądyński nakazał atak na bagnety i kolby. Cóż to były za zmagania! Wygrane!

Ostrołęka

Kolejne obrazy z tej wojny. I chwalebne, i smutne zarazem. Bitwa pod Ostrołęką 26 maja 1831 roku. Bem został awansowany na podpułkownika za postawę pod Iganiami. Ostrołęka, miasto

z drewnianą zabudową leżące w zakolu Narwi, stało się miejscem zawstydzającej porażki polskiej. Zawstydzającej przede wszystkim dowódcę – gdyż do klęski doszło przez początkowe niezdecydowanie i ciągle odwlekane ataków przez generała Skrzyneckiego, a potem przez jego nieprzemyślane, nieskoordynowane rozkazy. Nie przez brak męstwa czy umiejętności. Gorzka to dzisiaj lektura – czytanie o tym, jak wódz atakuje nieskładnie pojedynczymi oddziałami czy wreszcie jak każe iść do przodu kawalerii, ta zaś grzeźnie w błocie. Zginęło wówczas wielu zdolnych oficerów. Bitwę ostrołęcką zwano nawet „la bataille des officiers”, „bitwą oficerów” – gdyż szli często w pierwszym szeregu, prowadząc podkomendnych, i ginęli – jak choćby uwielbiany przez swoich ludzi generał Ludwik Kicki, „waleczny jak Bayard, piękny i młody”.

Ale popatrzmy na Bema – gdy widzi on, że klęska wisi nad polską armią, jedzie osobiście prosić Skrzyneckiego, by mógł zadziałać swoją baterią. Dostaje zezwolenie. Bateria wyszła od strony Omulewa, jakby las „birbancki” ruszył (co trafnie zauważyła biograf generała Jadwiga Chudzikowska) – każdy artylerzysta miał przed sobą wiązki faszyny, by je rzucać w błoto pod koła armat. Rozgrywa się scena jak z eposów wojennych. Oto bateria zjawia się na pozycji. Szybkie rozkazy. Bem się uwija między wszystkimi jak bóg wojny. Wydaje rozkazy, nie zsiada z konia, nie schyla się, a pociski zdają się go omijać. Zaczyna krwawy taniec z wrogiem. Rosjanie osłupieli. Najpierw nie byli w stanie zareagować, a pociski wysyłane przez Bema

wyrzynały w szeregach moskiewskich krwawe, śmiertelne ścieżki. Dopiero gdy się Moskal otrząsnął z szoku, zaczął odpowiadać. Plunęły ogniem rosyjskie armaty. Rozpętało się piekło. Z jednej i z drugiej strony leciały dziesiątki, setki pocisków. Aż w końcu stanowisko polskie skryło się w chmurze dymów i ognia. Gdy dym opadł, co zobaczono?

Wielu Polaków leży poranionych, działa uszkodzone. Tu i ówdzie trupy. Wielu rannych. Z plutonu został tylko jeden podoficer przy życiu. Nagle znowu działa rosyjskie strzelają. Pocisk zabija gniadą klacz Bema, a jego samego rani w bok – kontuzja biodra miała mu potem doskwierać przez całe życie. Ale dzięki jego akcji armia polska miała czas się wycofać. Porażka nie zamieniła się w całkowitą klęskę. Uratował nie tylko samą armię, ale i honor polskiego dowodzenia załamany fatalną postawą Skrzyneckiego. Bem był, jak go nazwał węgierski poeta Sándor Petőfi, „Ostrołęki gwiazdą krwawą”.

Dalej była trudna obrona Warszawy. I emigracja. I udział w rewolucji węgierskiej (o czym pisze István Kovács). A potem, ciągle mając tylko Ojczyznę na względzie, Bem wraz z wiernymi towarzyszami przeszedł na islam, by u boku Turcji móc walczyć z największym wrogiem Rzeczypospolitej – Rosją. I wreszcie śmierć „Murada Paszy” (takie imię przybrał) 10 grudnia 1850 roku na malarię azjatycką. Ostatnie słowa Bema brzmiały: „Polsko, Polsko, ja cię już nie zbawię”. Odszedł, wzywając Polskę, jak się wzywa przed śmiercią Matkę i Wiarę Ojców, jak się wzywa to, co Najważniejsze. GP

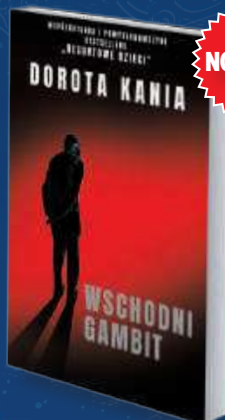
IDEALNE NA PREZENT

Szukasz
prezentu?



REWOLUCJA KONSERWATYWNA

Rzecz o ruchu, który odmienił Amerykę. Przemiany zachodzące w amerykańskiej polityce lat 50., 60. i 70.



NOWOŚĆ!

WSCHODNI GAMBIT

Książka o działaniach wywiadów, brudnych grach ludzi służb, wojnach, polityce i ogromnych pieniądzach.



WIELKIE ZARAZY LUDZKOŚCI

Chcicie wiedzieć jaka była najsilniejsza armia w dziejach świata. Wbrew pozorom nie była to armia Aleksandra Wielkiego, Dżyngis-Chana czy Napoleona...



NIESKOŃCZONE BOŻE MIŁOSIĘRDZIE

Przypomina o znaczeniu Miłosierdzia Bożego w naszym życiu i roli Polski w zbawczym planie. Czy pozostaliśmy wierni Bogu?



ŚWIĘTA PO POLSKU. TRADYCJE I SKANDALE

Kto pamięta, że choinka, tak bardzo Polski symbol świąt Bożego Narodzenia ma luterński rodowód?



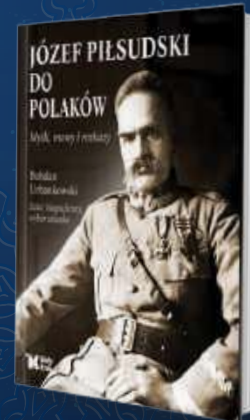
POCZET PRZEDSIĘBIORCÓW POLSKICH

60 Polaków, którzy zbili ogromne fortuny. Od okresu Piastów i Jagiellonów aż do dwudziestolecia międzywojennego w XX w. Oni podbili swoje branże!



DRABINA DO NIEBA. DZIEJE RÓŻAŃCA

Historia wielkich różańcowych cudów, a także wprost trudne do uwierzenia świadectwa osób modlących się na Różańcu.



JÓZEF PIŁSUDSKI DO POLAKÓW

To wybór najważniejszych opinii Marszałka dotyczących naszej historii, polityki, charakteru i mentalności narodowej.



Wiele więcej na **sklep.GazetaPolska.pl**

Wejście na stronę www przez kod QR.
Zeskanuj kod aplikacją do odczytu kodów QR w telefonie.

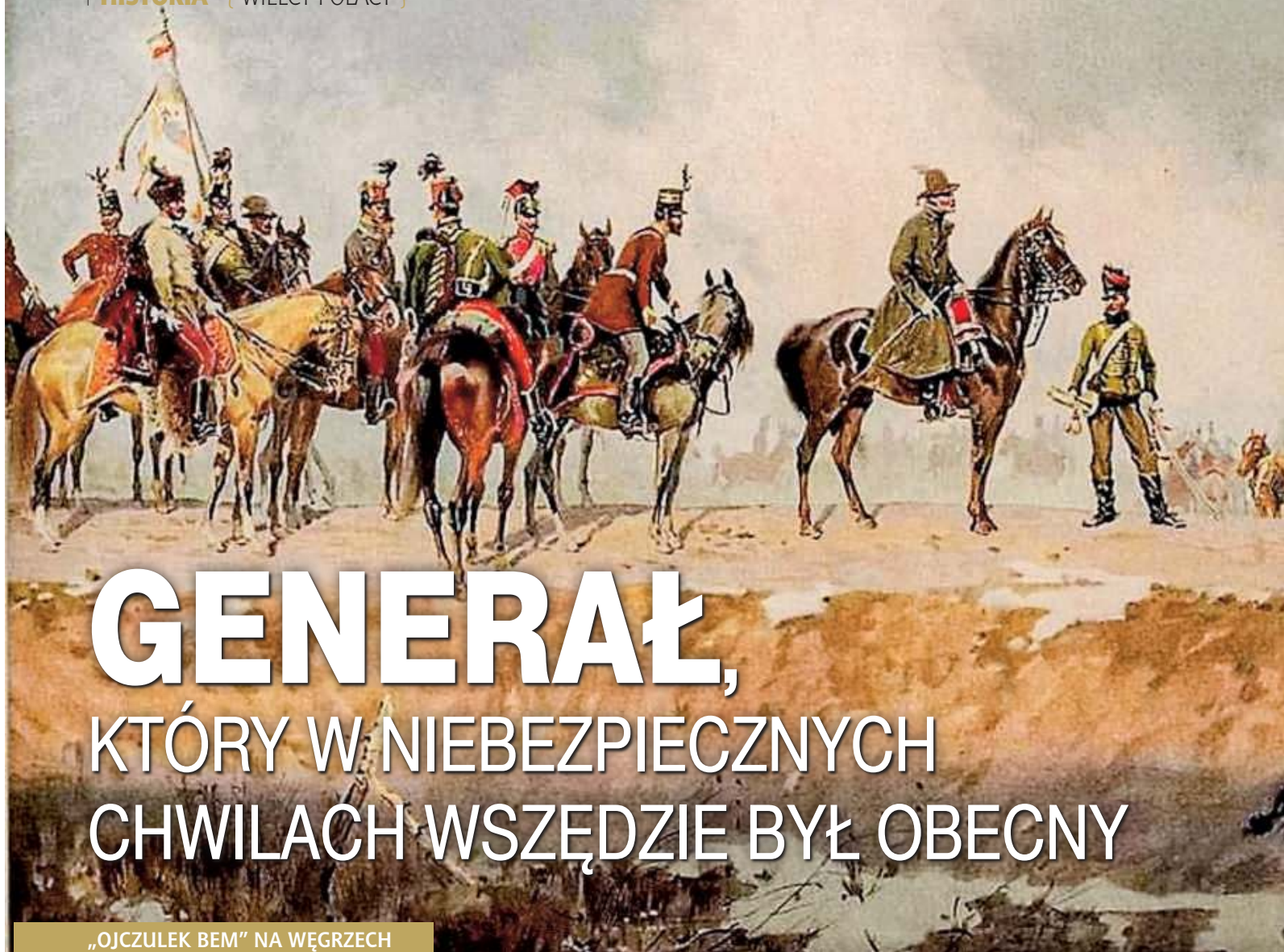


Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp z o.o.,
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

Konto 61 1240 6003 1111 0010 7516 5807

sklep@gazetapolska.pl / +48 722 111 655





„[...] był wyjątkowo aktywny, energiczny, zdecydowany oraz wielce odważny; w walce zawsze był na czele, swą obecnością dodawał ducha węgierskim wojskom. Był doskonałym artylerzystą, ten rodzaj broni stosował z wyjątkową zręcznością. Na podstawie działań nieprzyjacielskiej artylerii zawsze odgadywaliśmy, czy Bem jest wśród nich obecny” – pisał o generale Bemie przedstawiciel wrogiej armii rosyjsko-austriackiej.

István Kovács

Po zwycięstwie bezkrwawej rewolucji, która wybuchła 15 marca 1848 roku w Peszcie, pod przywództwem genialnego poety Sándora Petőfiiego i dzięki 23-letniej pracy Zgromadzenia Krajowego – powstał pierwszy rząd węgierski.

11 kwietnia król węgierski Ferdynand V (będący jednocześnie cesarzem austriackim Ferdynandem I) zatwierdził węgierską konstytucję, w której zapisano, że panujący na Węgrzech władca nie może wydać żadnego rozporządzenia bez zgody i podpisu węgierskiego premiera. Węgry i Austrię łączyła teraz tylko unia personalna.

Wiedeń zgodził się na to z przymusu, Imperium zmagало się z wrzeniem rewolucyjnym w stolicy, rewoltami we włoskich prowincjach i wojną wypowiedzianą Austrii przez Karola Alberta, króla Sardynii i Piemontu.

Wpływowe kręgi wiedeńskiego dworu rozpoczęły pracę nad przywróceniem poprzedniego układu i walkę z niepokornym

BEM ZA WZÓR

„Przykład osobisty był jedynym narzędziem bezpośredniego oddziaływania na żołnierzy. (...) Wyczuwał stosowny moment, kiedy mógł rzucić na szalę nie tylko swą wiedzę, lecz także odwagę”.



krajem na różnych frontach. W czerwcu 1848 roku wybuchła krwawa wojna domowa z podburzonymi Serbami mieszkającymi w południowych Węgrzech i tamtejszymi Węgrami, Rumunami, Niemcami.

25 lipca feldmarszałek Joseph von Radetzky rozbił pod Custozą armię włoską i sytuacja we włoskich prowincjach Austrii została opanowana. Cesarz Ferdynand I natychmiast wydał ultimatum, żeby strona węgierska zrezygnowała z samodzielnych ministerstw obrony i finansów. Węgierskich delegacji pokojowych w zarożumiałym Wiedniu nie przyjęto, a 3 października bezprawnie rozwiązano Zgromadzenie Krajowe. W obronie konstytucji kwietniowej wy-

buchła otwarta wojna między Królestwem Węgierskim a Cesarstwem Austriackim, czyli Ferdynand I wypowiedział wojnę sobie jako Ferdynandowi V.

Polskie Legiony Kossutha

Węgrzy nie mieli własnej armii. Większość węgierskich pułków piechoty i huzarów stacjonowała poza granicami, a na Węgrzech umieszczone były oddziały galicyjskie, włoskie, czeskie i austriackie, wrogo nastawione do działań niepodległościowych Madziarów. Rząd węgierski dopiero pod wpływem powstania serbskiego rozpoczął organizować armię honwedów, czyli obrońców ojczyzny. Latem 1848 roku niektóre oddziały węgierskie jeszcze legalnie wróciły do kraju. Jesienią służący w Galicji huzarzy uciekli na Węgry. Powstająca armia węgierska miała dosyć rekrutów i ochotników, ale nie miała... oficerów. Major Jerzy Bułharyn, powstaniec listopadowy, już we wrześniu zgłosił się do Lajosa Kossutha, przewodniczącego Komitetu Krajowego Obrony Ojczyzny, z propozycją zorganizowania Legionu Polskiego, który miał przyciągnąć oficerów polskich przebywających na emigracji. Młodzież polska na wieść o formowaniu się Legionu masowo ruszyła na Węgry. Oddziały organizował gen. Józef Wysocki.

3 listopada do kwatery głównej w Preszburgu u Kossutha zgłosił się niski człowiek w szarym surducie wyglądający jak „wędrowny aptekarz”. Przedstawił się jako generał Józef Bem i dowódca rewolucji wiedeńskiej. Kossuth nie wiedział, co z nim zrobić... Wreszcie podjął decyzję i mianował go dowódcą armii siedmiogrodzkiej, której resztki wyparte z Siedmiogrodu były w opłakanym stanie. Ponadto gorzały płomienie wojny domowej. Bem miał do pokonania nienawiść narodowościową między mieszkańcami – Sasami, Rumunami i Węgrami.

Reorganizacja armii

Kiedy Bem objął dowództwo nad rozbitą armią, potrzebował zaledwie półtora tygodnia dla jej zreorganizowania. Żelazną ręką przywrócił karność, na wstępie zapowiedział oficerom: „Żądam od was bezwarunkowego posłuszeństwa. Kto nie posłucha, będzie rozstrzelany. Potrafię także nagradzać...”.

Wprowadził więc nagrody pieniężne dla żołnierzy nie tylko za dzielną postawę podczas bitwy, lecz także za forsowne marsze. Rozkazał, by każdy żołnierz miał w swoim plecaku dwudniowy prowiant. Sam sprawdzał, czy w ekwipunku jest dość mięsa, słoniny, chleba. Był świadom, że wróg jest lepiej wyposażony i wyćwiczony. Różnicę chciał wyrównać szybkością i zaskoczeniem. Kiedy Bem rozpoczął kampanię o wyzwolenie Siedmiogrodu, jego armia składała się z 11,5 tys. pieszych honwedów, 1385 huzarów i 24 dział. Austriacki korpus siedmiogrodzki liczył 15 tys. żołnierzy i miał za sobą kilkadziesiąt tysięcy powstańców rumuńskich i gwardzystów narodowych saskich. Bem zbliżył się do Kołożwaruz, stolicy Siedmiogrodu, z trzech kierunków i dzięki błyskawicznej operacji wyzwolił miasto. Po tygodniu opanował cały Górny Siedmiogród.

Józef Bem okazał się dobrym politykiem: po zakończeniu połowy kampanii wyzwolicielskiej wydał odezwę „Do mieszkańców Siedmiogrodu”, w której ogłosił powszechną amnestię dla wszystkich walczących przeciwko rządowi węgierskiemu, którzy złożą broń. Miał w swoim sztabie dwóch rumuńskich popów greckokatolickich, którzy mieli nakłonić swych wiernych do pokoju z Węgrami.

Siedmiogród wyzwolony!

Plan dalszej części kampanii siedmiogrodzkiej także zakładał błyskawiczne wyzwolenie południowego Siedmiogrodu wraz z Wielkim Sybinem, siedzibą kwatery głównej armii austriackiej oraz Rumuńskiego Komitetu Narodowego i Saskiego Komitetu Narodowego. Przed rozpoczęciem tej kampanii Bem udał się do Marosvásárhely, stolicy Ziemi Seklerskiej (południowo-wschodni Siedmiogród). Tam, jeszcze w XVIII wieku, królowa Maria Teresa nakazała stworzyć dwa pułki piechoty i jeden pułk huzarów, broniące granic przed Imperium Osmańskim. Jesienią 1848 roku południowa część Ziemi Seklerów stawiała zacięty opór armii austriackiej, ale w końcu musiała skapitulować. Pojawienie się polskiego generała wlało otuchę w serca Seklerów. Masowo przyłączali się do jego armii.

Wzmocnione oddziały Bema 17 stycznia odniosły zwycięstwo pod Galfalwą. Bem uważał, że sam ryzykując życie i dając przykład swoim żołnierzom, zachęci ich do bohaterskich czynów. Po bitwie pod Galfalwą pojawił się na czele 5-tysięcznej dywizji pod murami Wielkiego Sybinu. Myślał, że sam widok honwedów nakłoni obrońców do poddania się. Pomylił się. 21 stycznia po raz pierwszy poniósł porażkę i musiał się wycofać. Liczył na posiłkowe bataliony Seklerów, ale nadaremnie, bowiem brygada rosyjska zatarasowała im drogę, uniemożliwiając pomoc Bemowi. Ostatecznie staczając jedną potyczkę po drugiej, musiał się wycofać w kierunku Dewy i tam połączyć z posiłkowymi brygadami przybywającymi na jego pomoc z Węgier. 9 lutego armia Bema odniosła wspaniałe zwycięstwo przy moście pod Piszkami, a za miesiąc wyparła rosyjską brygadę płk. Skarjatina z Wielkiego Sybina oraz z Braszowa. Razem z nimi rozbity został korpus austriacki, którego resztki schroniły się na Wołoszczyźnie. Pod koniec marca cały Siedmiogród został wyzwolony.

Bojownicy narodowości ciemieżonych

Na początku kwietnia Bem został mianowany feldmarszałkiem honwedów. Na głównej arenie wojny obronnej konstytucji młoda armia honwedów pod dowództwem gen. Artura Görgeia odniosła sześć zwycięstw nad armią austriacką, którą została wyparta z terenu Węgier. Na wieść o tych tryumfach Adam Mickiewicz opublikował słynny artykuł, w którym tak zwrócił się do Węgrów: „Wy, których narodowość była dotychczas zagadką dla Europy, objawiacie się jej jako bojownicy wszelkich narodowości ciemieżonych; wy, których oskarżano, że jesteście arystokratami, bronicie sprawy ludowej. (...)”. 14 kwietnia 1849 roku Zgromadzenie Krajowe zdeponowało dynastię Habsburgów. Od tego dnia wojna stoczona w obronie konstytucji przekształciła się w wojnę niepodległościową.

Wściekły cesarz, młody Franciszek Józef, zwrócił się o pomoc wojskową do cara Mikołaja I. W połowie czerwca przez przełęcz w Karpatach wtargnęła na Węgry 200-tysięczna armia rosyjska, której na-



„Żądam od was bezwarunkowego posłuszeństwa. Kto nie posłucha, będzie rozstrzelany. Potrafię także nagradzać...” – zwracał się Bem do żołnierzy.

czelnym dowódcą był namiestnik Królestwa Polskiego, feldmarszałek Iwan Fiodorowicz Paskiewicz. Nigdy do tego czasu na arenie europejskiej nie pojawiła się tak potężna armia rosyjska. Sprawa węgierska została przesądzona.

Uczynił wszystko, co było w jego mocy

Armia rosyjsko-austriacka, która weszła do Siedmiogrodu pod dowództwem gen. Lüdersa, liczyła 56 tys. szabl i bagnietów. Armia siedmiogrodzka, podzielona na sześć brygad, składała się z 36 tys. ludzi, częściowo niewyćwiczonych, źle wyposażonych. Paskiewicz zakładał, że Lüders w ciągu dwóch, trzech tygodni spacyfikuje Siedmiogród, a potem ruszy na Wielką Nizinę Węgierską. Dzięki Bemowi i jego

żołnierzom po dwóch miesiącach dotarł zaledwie do Dewy.

Szef sztabu generalnego Lüdersa, Artur Niepokojczycki, pisał: „Te działania wojenne potwierdzają wspaniały talent i kwalifikacje Bema. Uczynił wszystko, co było w jego mocy. Musimy przyznać, że był wyjątkowo aktywny, energiczny, zdecydowany oraz wielce odważny; w walce zawsze był na czele, swą obecnością dodawał ducha węgierskim wojskom. Był doskonałym artylerzystą, ten rodzaj broni stosował z wyjątkową zręcznością. Na podstawie działań nieprzyjacielskiej artylerii zawsze odgadywaliśmy, czy Bem jest wśród nich obecny”. Jeden z najwybitniejszych historyków węgierskiej wojskowości, Jenő Gyálóky, dodał do tego: „Przykład osobisty był jedynym narzędziem bezpośredniego oddziaływania na żołnierzy. (...) Wyczuwał stosowny moment, kiedy mógł rzucić na szalę nie tylko swą wiedzę, lecz także odwagę. Miał po temu, oczywiście, wystarczająco dużo okazji”.

W ostatniej chwili gen. Józef Bem został mianowany naczelnym dowódcą głównej armii honwedów. 9 sierpnia rano przejął dowództwo od gen. Dembińskiego nad armią południową pod Temeszwarem i natychmiast ruszył do bitwy z siłami rosyjsko-austriackimi. Niestety, Dembiński „zapomniał” mu powiedzieć, że zapasowa amunicja artyleryjska została wysłana w kierunku granicy tureckiej. Bem nie miał szans. Z częścią przetrzebionych dywizji wycofał się do Siedmiogrodu. Tam chciał kontynuować walkę, ale siły żołnierzy były zbyt nadwątlone. 24 sierpnia generał z garstką wiernych oficerów oraz kilkudziesięcioma huzarami i ułanami opuścił Węgry i udał się do Imperium Osmańskiego. Bem był dalekowzrocznym politykiem, wiedział, że niebawem wybuchnie wojna między Turcją i Rosją. Miał nadzieję, że na scenie zbliżającego się konfliktu uda mu się odegrać ważną rolę, która być może doprowadzi do wyzwolenia jego Ojczyzny oraz Ojczyzny węgierskich braci.

GP

Autor jest węgierskim dyplomatą, historykiem, pisarzem, poetą i tłumaczem literatury polskiej.

FOT. ARCH



Czołgi idą na Gdańsk

KRWAWA PACYFIKACJA ROBOTNICZEGO PROTESTU

PARTNER DODATKU:

„... ład i porządek zostanie zaprowadzony, nawet jeśli zginie 300 robotników. Jeśli stocznia zostanie zburzona, na gruzach starej zbudujemy nową, z nową załogą” – Zenon Kliszko, grudzień 1970 roku.



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

FOT. ARCHIWUM IPN W GDAŃSKU

Radostław
Peterman

W PRL komuniści nie mieli problemu z wyprowadzeniem wojska przeciw społeczeństwu. Tak działo się w latach 40., gdy żołnierzy używano przeciwko podziemiemu antykomunistycznemu. Użyto ich też w czasie Powstania Czerwcowego w 1956 roku w Poznaniu. Także w marcu 1968 r. ówczesny szef MON, Marian Spychalski, chciał użyć wojska przeciwko studentom strajkującym na Politechnice Warszawskiej, z czego jednak ostatecznie zrezygnował. Ale już w grudniu 1970 roku komuniści ponownie wyprowadzili wojsko przeciwko protestującym ludziom.

Władze PRL podwyżkę cen planowały od początku 1970 roku. Miała ona być elementem reformy gospodarczej. Wiedziały też, że mogą one spowodować bunt społeczeństwa – świadczą o tym przygotowywania MON i MSW. Na początku plany „zabezpieczające” opracowywał szef Głównego Inspektoratu Obrony Terytorialnej, Grzegorz Korczyński, a następnie szef Sztabu Generalnego WP, Bolesław Chocha. Efektem tych działań był rozkaz ministra obrony narodowej, Wojciecha Jaruzelskiego, z 8 grudnia 1970 roku, dotyczący zasad współdziałania MON i MSW „w zakresie zwalczania wrogiej działalności, ochrony porządku i bezpieczeństwa publicznego oraz przygotowań obronnych”. Na podstawie tego rozkazu MON miało udzielić pomocy MSW poprzez wydzielenie sił i środków, zwłaszcza z Wojsk Obrony Wewnętrznej (WOW).

Informacja o podwyżkach w wojsku oficjalnie pojawiła się 10 grudnia, gdy na zebraniu kierownictwa Głównego Zarządu Politycznego WP (GZP) został odczytany list Biura Politycznego KC PZPR w sprawie „regulacji cen”. Na tym spotkaniu polecono oficerom politycznym oraz pionom operacyjnym Wojskowej Służby Wewnętrznej (WSW) zbierać informacje o nastrojach w wojsku.

Gdy 14 grudnia w Gdańsku zaczynały się protesty, początkowo wojsko miało zachować się biernie. Ograniczono się do wzmocnienia ochrony obiektów wojskowych i wstrzymania wyjścia żołnierzy z koszar.



Fot. AIPN Gdańsk

Jednak gdy sytuacja się zaogniła, postanowiono użyć jednostek 13 pułku WOW i 7 Dywizji Desantowej (35 pułk desantowy, 20 dywizjon artylerii raketowej, 41 dywizjon artylerii, 29 bateria artylerii przeciwlotniczej).

W tym miejscu należy nadmienić, że w tamtym czasie w siłach zbrojnych panował dualizm w dowodzeniu. Wojsko dzieliło się na wojska operacyjne, za które odpowiadał szef Sztabu Generalnego Chocha, i wojska obrony terytorium kraju (OTK), które podlegały Korczyńskiemu.

Pierwszą jednostką, która użyła broni w kierunku demonstrujących, był 13. pułk WOW z OTK. Miało to miejsce 15 grudnia w czasie obrony gmachu KW PZPR. Po raz drugi wojsko, tym razem 35 pułk desantowy, strzelało w stronę protestujących ludzi podczas próby obrony gmachu komitetu. W godzinach wieczornych do Gdańska wkroczyły oddziały z 16 Dywizji Pancernej oraz część sił 8 Dywizji Zmechanizowanej. Te siły zostały użyte zwłaszcza do zablokowania Stoczni Gdańskiej. Od godzin porannych 16 grudnia blokowały ją czołgi i okręty. Według raportów wojskowych w stoczni miało przebywać około 6 tys. osób. Około godz. 8 bramą nr 2 zaczęli wychodzić na zewnątrz stocznioowcy. Ogień do nich otworzyli żołnierze z 13. pułku WOW.

Warto tutaj zauważyć, że w Gdańsku lekkość strzelania do tłumu przychodziła zwłaszcza jednostkom podległym Grzegorzowi Korczyńskiemu. Nie miał on trudu z wyrażeniem zgody na udział podległych mu jednostek w pacyfikacji Trójmiasta. Sam wielokrotnie po nią sięgał jako dąbrowszczak w czasie wojny w Hiszpanii czy też kierując oddziałem Gwardii Ludowej na Lubelszczyźnie, który m.in. za-

mordował około 100 Żydów we wsi Ludmiłówka. na przełomie 1942 i 1943 roku.

Wiadomości o zajściach w Gdańsku dotarły do wielu jednostek wojskowych. Kadra oficerska zaczęła obawiać się, aby protesty nie przybrały większego zasięgu, aby nie ogarnęły całego kraju. W tym celu w większości jednostek politycy w ogólnych zarysach „informowali” o wydarzeniach z Trójmiasta. Twierdzili przy tym, że był to rzekomo wynik działań „wrogich, antypartyjnych i antypaństwowych elementów inspirowanych przez rodzime i obce ośrodki reakcji i dywersji w podburzaniu społeczeństwa przeciwko Partii i Władzy Ludowej”. Poddani takiej indoktrynacji żołnierze mieli ponoć wyrażać gotowość wzięcia udziału w akcji przeciwko „prowokatorom”.

W swoich sprawozdaniach GZP zaznaczał, że w akcji przeciwko protestującym brali udział żołnierze najmłodszego rocznika, którzy przed kilkunastoma dniami złożyli przysięgę wojskową oraz pochodzący z Gdańska. Odnotowano w ich gronie wypowiedzi w rodzaju: „należałoby działać energicznie i zdecydowanie przeciwko rozwydrzonym tłumem chuliganów dokonującym bandyckich napadów i grabieży”. Świadczyły one o skutecznej indoktrynacji młodych ludzi odciętych od prawdziwych informacji i karmionych kłamstwami.

Tak w styczniu 1971 roku Wojciech Jaruzelski podsumował udział ludowego Wojska Polskiego w tragicznych wydarzeniach w Trójmieście: „broń była używana w stopniu znacznie niższym od formalnej zasadności” i „nie było wśród nas w wojsku, w Ministerstwie Obrony Narodowej odmowy wykonania decyzji kierownictwa i tym podobnych faktów”. ■

Oblany egzamin gen. Korczyńskiego

NA CZYJE POLECENIE STRZELANO DO STOCZNIOWCÓW?

Fot. AIPN Katowice

W grudniu 1970 roku gen. Grzegorz Korczyński był Głównym Inspektorem Obrony Terytorialnej Kraju, ale co ważniejsze – wiceministrem Obrony Narodowej i członkiem Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Zanim jednak osiągnął te komunistyczne zaszczyty, przeszedł bardzo długą drogę.

**Paweł
Sztama**

Urodził się w czerwcu 1915 roku na Lubelszczyźnie. Przed 1937 rokiem niewiele miał wspólnego z ruchem komunistycznym. Związał się z nim na stałe, gdy wyjechał do ogarniętej wojną domową Hiszpanii. Tam walczył w Brygadach Międzynarodowych.

Po zakończeniu tego konfliktu był internowany we francuskich obozach. Następnie udało mu się zbiec do Paryża, gdzie zaangażował się w działalność Francuskiej Partii Komunistycznej. Jednak w 1942 roku wrócił do okupowanej Polski i został gwardzistą ludowym, słynącym z mordów,

także na Żydach, a także z gwałtów i innych bandyckich poczynąń.

Pod koniec II wojny światowej został komendantem Milicji Obywatelskiej na Warszawę, a w 1945 roku kierował bezpieczeństwem w Gdańsku. Później objął nawet tę funkcję wiceministra bezpieczeństwa, której pozbawiono go w 1948 roku.

Na fali czystek wewnątrzpartyjnych Korczyńskiego aresztowano i skazano na dożywocie w 1954 roku. Z aresztu wyszedł dwa lata później i bardzo szybko wrócił na szczyty władzy. Był m.in. szefem Zarządu II (wywiadu) Sztabu Generalnego „ludowego” Wojska Polskiego, a w 1965 roku został wiceministrem obrony i objął dowództwo nad wojskami obrony terytorialnej kraju.

Gdy 14 grudnia 1970 roku na ulicach Gdańska rozpoczęły się protesty, Korczyński był jedną z najważniejszych osób z kierownictwa państwa, który przybył na miejsce wydarzeń. Oprócz niego do stolicy województwa gdańskiego dotarły także polityczne tuzy, jak m.in. Zenon Kliszko oraz Ignacy Loga-Sowiński.

Jednak na czyje polecenie i w jakim celu polecał tam Korczyński? Władysława Gomułki, Mieczysława Moczała czy ówczesnego szefa MON gen. Wojciecha Jaruzelskiego? Na to pytanie trudno znaleźć jednoznaczną odpowiedź. Według niektórych badaczy o jego wyjeździe zdecydował osobiście I sekretarz PZPR, który nakazał, aby ten objął dowodzenie nad gdańskimi jednostkami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych

i armii. Według innych decyzję podjęło Biuro Polityczne, gdyż generał, jako Główny Inspektor Obrony Terytorialnej Kraju, miał dowodzić podległymi mu jednostkami, które w pierwszej kolejności zamierzano użyć przeciwko demonstrującym robotnikom.

Jak się jednak okazało, oprócz jednostek wojsk obrony terytorialnej przeciwko strajkującym robotnikom użyto również wojsk lądowych, a bohater niniejszego szkicu przebywał na Pomorzu w trakcie najkrwawszych starć. Wobec powyższych niektórzy, głównie historyczni publicyści, zaczęli upatrywać w Korczyńskim szwarczarakter Grudnia '70. Według autorów części najróżniejszych opracowań to właśnie tenże generał miał zasugerować Gomułce, aby użyć broni przeciwko demonstrantom. Tym samym tamte wydarzenia zaczęły być niekiedy określone jako „ostatnia zbrodnia” generała.

Faktem niepodważalnym jest, że po naradzie u Gomułki, która miała miejsce 15 grudnia o poranku, premier Józef Cyrankiewicz przekazał Korczyńskiemu słynną decyzję Biura Politycznego, dotyczącą użycia broni przeciwko strajkującym. Brzmiała ona, żeby w razie potrzeby najpierw strzelać w górę, a gdyby nie przyniosło to zamierzonych efektów – w ziemię.

Dziś wiadomo, że polecenie to Korczyński wypełnił. Tym samym był w grupie osób, która realizowała, chyba bez większych skrupułów, decyzje Biura Politycznego. Nie jest jednak prawdą, o czym niektórzy działacze partyjni próbowali przekonywać, że w trakcie tamtych wydarzeń kierował Ministerstwem Obrony Narodowej w związku z rzekomym zastosowaniem aresztu domowego wobec Jaruzelskiego.

Wracając jednak do generała, należy pamiętać, że oprócz wykonywania rozkazów należał on do grupy osób, która w Trójmieście podejmowała decyzje. Niech świadczy o tym fakt, że 15 grudnia otrzymał on z Warszawy plenipotencje do utworzenia sztabu lokalnego, którego kompetencje zostały bardzo precyzyjnie określone. Owa grupa miała podejmować decyzje dotyczące wydarzeń w Gdańsku, łącznie z użyciem broni, a także przekazywać do stolicy „sprawdzone informacje”. Jednocześnie wysłano na Wybrzeże drugą osobę „ludowej” armii, tj. szefa Sztabu Generalnego gen. Bolesława Chochę, który miał wspierać Korczyńskiego w planowaniu operacyjnym.

Co więcej, jakie było jego nastawienie do gdańskiej „kontrewolucji” doskonale pokazuje to, że np. bez większej refleksji zaakceptował pomysł pacyfikacji gdyńskiego hotelu robotniczego przy ul. Śląskiej, która miała mieć miejsce 18 grudnia. Operacja nie została jednak przeprowadzona.

Wiceszef MON wsławił się także tym, że 17 grudnia latał nad demonstrującymi w Gdyni robotnikami. Według legendy miał nawet strzelać do nich z karabinu. Później okazało się to nieprawdą. Niemniej generał rzucał w robotników petardami i świecami dymnymi.

Po 50 latach od tamtych wydarzeń można śmiało stwierdzić, że Korczyński był jednym z głównych komunistycznych prominentów, którzy odpowiadali za zbrodnię Grudnia '70. Na szczęście w 1971 roku utracił niemal wszystkie stanowiska i już nigdy egzaminu z odpowiedzialności nie musiał zdawać. Zapewne oblałby go ponownie.

Wydaje się oczywiste, że duchowni nie brali udziału w protestach robotniczych lub starciach z siłami porządkowymi. Tym bardziej na ulicach Gdańska czy Elbląga, gdzie doszło do niszczenia sklepów i grabieży. Nie sposób też sobie wyobrazić księży wiodących lud na barykady... Mimo to kapłani byli uczestnikami wydarzeń Grudnia '70, a świątynie – niemymi świadkami tragedii.

Piotr
Abryszeński

Daniel
Gucewicz

W tłumie, demonstrującym dziś w Gdańsku pod wpływem ciemnych elementów w związku ze zmianą cen, zauważono sutanny” – takie słowa usłyszał biskup gdański Edmund Nowicki od reprezentanta władz późnym popołudniem 14 grudnia 1970 roku. Ostrzegł on wręcz hierarchę, że władze nie wezmą odpowiedzialności na wypadek skutków ewentualnego zaangażowania się duchownych w „awantury uliczne”. Niemal w tej samej chwili centrum miasta stało się areną pierwszych walk ulicznych między protestującymi robotnikami a oddziałami milicji.

Najbliżej wydarzeń znaleźli się księża pallotyni zamieszkujący dom przy kościele św. Elżbiety, znajdujący się zaledwie kilkanaście metrów od zaatakowanego Komitetu Wojewódzkiego. Przechodzący obok świątyni robotnicy zdejmowali kaski, a wśród intonowanych pieśni były również te religijne. Podczas walk wielu kryło się w murach kościoła, do którego jednak nie wtargnął żaden milicjant. Do środka trafiła za to petarda z gazem, zmuszając zgromadzonych do wyjścia na zewnątrz. Być może wtedy poturbowano księdza orionistę z Malborka, który w jednym bucie i bez kapelusza został odwieziony do szpitala. Rozchodziły się nawet plotki o śmierci dwóch pallotynów



Podpalenie budynku Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku od strony kościoła św. Elżbiety, 15 XII 1970 r. (AIPN Gd)

Sutanny w tłumie

KOŚCIÓŁ JAKO MIEJSCE DUCHOWEGO WSPARCIA



Biskup gdański Edmund Nowicki w latach 1956–1971. Zmarł 10 marca 1971 r. (Archiwum Klasztoru Franciszkanów w Gdańsku-Nowym Porcie)

niosących pomoc rannym. Dwóch z nich faktycznie ucierpiał. Jednego dopadł przypadkowy kamień, a drugiego... pałki bezlitosnych zomowców. Już po pacyfikacji, w czasie godziny milicyjnej.

Demonstranci podpalający „Reichstag” dbali o to, aby pobliska świątynia nie ucierpiała. Zakonnicy pilnowali strychów na wypadek wrzucenia petardy z helikoptera. Ostatecznie jedynym skutkiem walk były dwa stłuczone okna w kaplicy i zakrystii. Co ciekawe, kilka dni później ktoś podrzucił do kościoła kopertę z pieniędzmi na nową szybę i karteczką z przeprosinami.

Sąsiadujący z pallotynami ojcowie oblaci z pobliskiego kościoła św. Józefa z obawy przed świętokradztwem zakończyli nawet Wieczystą Adorację, trwającą nieprzerwanie od blisko siedmiu lat. 16 grudnia ojcowie kapucyni z kościoła św. Jakuba słyszeli salwę oddaną do próbujących

opuścić Stocznnię Gdańską robotników, od której zginęli dwaj z nich.

W „czarny czwartek” w kościele Świętej Rodziny na gdyńskim Grabówku chroniły się osoby zaatakowane przez wojsko w okolicy wiaduktu przy stacji kolejowej. Przejeżdżający tamtędy autem proboszcz z Kosakowa zabrał rannych i odwiózł do szpitala.

Pochód z niesionym na drzewach ciałem „Janka Wiśniewskiego”, przechodząc ul. Świętojańską, zatrzymał się na chwilę obok kościoła Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski. Kilka osób naprędce do niego weszło i wróciło z krzyżem, który umieszczono w nogach zabitego.

Około południa centrum walk w Gdyni przeniosło się w okolice Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Atakowany tam tłum kilkakrotnie cofał się na wzgórze, gdzie stoi franciszkański kościół św. Antoniego, ale też nacierał na podchodzących milicjantów. Wiele uciekających kryło się w świątyni, która została ostrzelana pociskami gazowymi, a jeden z nich trafił do środka. Do wyprowadzenia części ukrywających się osób posłużył... pogrzeb parafianki.

Mieszkańcy Elbląga drwili z partyjnych aparatczyków mówiąc, że uciekając przed tłumem, mieli oni ukryć się w tamtejszym kościele św. Jerzego. Z kolei w kościele św. Mikołaja uspokojono załamane nerwowo żołnierza, który w trakcie pacyfikacji protestów przyszedł tam, oświadczając, że woli się zabić, niż strzelać do ludzi.

* * *

Od początku starć kapłani starali się tonować nastroje i podejmowali modlitwy w intencji spokoju. Prywatnie stali po stronie

robotników. Jednak w obliczu dezinformacji i kolejnych komunikatów o chuligańskich wybrykach, grabieżach i podpaleniach – nawet gdy nie wierzyli reżimowym mediom – musieli przynajmniej ważyć swoje przemyślenia, komentarze i zachowanie. Wielokrotnie z ambon padały nawiązania do „czarnego tygodnia”, których treść, często zawoalowaną, wszyscy doskonale rozumieli.

W obliczu tragedii kapłani służyli wsparciem duchowym i moralnym. Stawali się powiernikami osobistych historii, często naznaczonych cierpieniem i lękiem o przyszłość. Ta często niedostrzegana rola duchownych była jednak fundamentalna dla tysięcy wiernych. Okazją do spotkań były wizyty duszpasterskie. Grudniowa kolęda 1970/1971 należała do najtrudniejszych w całym okresie powojennym. Dawała ponadto możliwość poznania osób poszkodowanych i udzielenia im przez Kościół pomocy materialnej.

* * *

Księża brali też udział w epilogu grudniowego dramatu, czyli urządzonych w pośpiechu nocnych pogrzebach ofiar w Trójmieście, Elblągu i Szczecinie. I choć nie zreali-

*W obliczu tragedii
kapłani służyli wsparciem
duchowym i moralnym,
stawali się powiernikami
osobistych historii.*

zowano pierwotnej myśli, by ciała pochować skrycie i pod płotem, to i tak pochówki urągały wszelkiej tradycji i zwyczajom oraz prawu kościelnemu. Mimo prób komunistom nie udało się bowiem zaangażować do tego kapłanów diecezjalnych. Skorzystali z pomocy duchownych uległych i dyspozycyjnych: kapelanów wojskowych, członków ruchu „księży pozytywnych”, tajnych współpracowników. Niezależnie od tego ich obecność musiała choć trochę osłodzić bliskim ofiar niespotykany ból.

Bolesne próby i doświadczenia

HIERARCHOWIE KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO WOBEC PROTESTÓW

„Jak co roku chciałbym i w tę noc świętą zawołać: Najmilsi bracia moi i siostry: życzę wam gorąco radosnych świąt! Ale czy mogę to uczynić, czy mogę mówić o radosnych świątach wobec okropnych wydarzeń ostatnich dni? Czy w takiej więc sytuacji mogę dziś wołać: Radosnych świąt? Otóż jak najbardziej!” – tymi słowami rozpoczął homilię biskup gdański Edmund Nowicki podczas pasterki A.D. 1970, starając się wlać odrobinę światła w udręczone serca wiernych.

Piotr
Abryszeński

Daniel
Gucewicz

W reakcji na wydarzenia rozgrywające się w Trójmieście biskup gdański 17 grudnia 1970 roku zarządził odprawienie podczas niedzielnych mszy specjalnej modlitwy o opiekę nad narodem. Była ona połączona z odśpiewaniem antyfony „Pod Twoją obronę”, co na kilka dni przed Wigilią robiło wrażenie.

Blokada informacyjna nałożona przez komunistów na zrewoltowane miasta Wybrzeża spowodowała, że przekazy dotyczące rozgrywających się tam wydarzeń dotarły do najwyższych polskich hierarchów z opóźnieniem. 18 grudnia prymas Stefan Wyszyński ofiarował poranną mszę w intencji zabitych w Trójmieście. Dzień później wycofał list pasterski na dzień Świętej Rodziny „w sprawie zagrożonego bytu narodu”. Dokument był przedmiotem sporu między Kościołem a władzami, które domagały się jego nieczytania. W obliczu tragedii nabierał kontekstu politycznego,

tym bardziej że robotnicy wysunęli już tyle postulatów. Prymas tłumaczył, iż „nie jest słuszne płaczących zasmucać”.

Nowi przywódcy partii i rządu, I sekretarz KC Edward Gierek i premier Piotr Jaroszewicz, w swoich pierwszych wystąpieniach wspomnieli o wierzących i niewierzących, a także ich współdziałaniu. Dali tym samym wyraźny sygnał i nadzieje na poprawę sytuacji Kościoła, dotąd pomijanego i marginalizowanego w sferze publicznej. Komuniści wskazywali przy tym, że w celu zaprowadzenia porządku zamierzają wykorzystać jego autorytet. Nie uszło to uwadze hierarchów, choć ich działania nie były obliczone na zysk. Przede wszystkim starali się zapobiec dalszemu rozlewowi krwi. Mieli też na uwadze groźbę interwencji zewnętrznej w przypadku eskalacji konfliktu, jak w Czechosłowacji niespełna półtora roku wcześniej.

W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia kardynał Wyszyński wygłosił specjalne





Tłum na ul. Elżbietańskiej, na tyłach Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku i kościoła św. Elżbiety, 14 XII 1970 r. (AIPN Gd)



Plonący Komitet Wojewódzki PZPR w Gdańsku, 15 XII 1970 r. (AIPN Gd)



Górna kondygnacja zniszczonego budynku Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku. W tle kościół św. Józefa (AIPN Gd)

przemówienie w archikatedrze warszawskiej. Mówił o „istnej tragedii, przez jaką przeszedł ostatnio naród polski, gdy ulice miast spływały bratnią krwią”. Przywódca polskiego Kościoła, zapewne chcąc również pośrednio wpłynąć na postawę władz, wziął na siebie osobistą odpowiedzialność. Wskazywał, że być może za mało ostrzegał i pouczał, mając na myśli nie tylko tych, którzy go słuchali w świątyniach, lecz przede wszystkim rządzących. Zaaapelował równocześnie o nieszukiwanie winnych i nieoskarżanie, tylko chrześcijańskie uderzenie się w piersi i pracę na rzecz wspólnej ojczyzny. Na koniec wyraził nadzieję, że „szczęśliwą winą” tragedii jest szansa na realizację w Polsce „prawdziwego demokratyzmu”.

Apel prymasa Polski trafił następnie do miejsc dotkniętych tragedią, zwłaszcza Trójmiasta. Odczytano go między innymi na specjalnych nabożeństwach odprawianych w intencji poległych.

We wszystkich polskich kościołach z początkiem nowego roku wybrzmiała natomiast odezwa Rady Głównej Episkopatu Polski, którą zredagował kardynał Karol Wojtyła. Przesłanie kierowano nie tylko do wiernych, ale „do wszystkich rodaków wspólnej ojczyzny”. Pisano w niej o „męce całego narodu” i „walkach nieoszczędzających własnych rodaków”. Biskupi podkreślali, że „ojczyzna jest wspólnym dobrem wszystkich Polaków”, lecz stawiali wiele warunków, które trzeba spełnić, aby naród mógł funkcjonować swobodnie. Przede wszystkim „uczynić należy wszystko, aby w ojczyźnie każdy czuł się bezpieczny i uszanowany”. Biskupi przypomnieli nawet swój apel z okresu Marca '68 i ponownie skrytykowali stosowanie brutalnej przemocy wobec społeczeństwa: „Życie narodu nie może się rozwijać w atmosferze zastraszania; ma ono prowadzić do pokoju w duchu sprawiedliwości i miłości społecznej”.

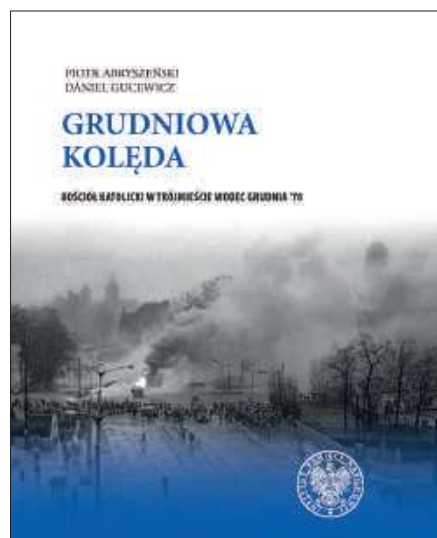
W styczniu 1971 roku podjęto pierwsze po długim czasie kontakty pomiędzy Episkopatem i rządem, mające na celu poprawę wzajemnych stosunków. Choć biskupi domyślali się, że nowe władze nie mają czystych intencji, to nie zamierzali odtrącać wyciągniętej ręki. Nie chcieli jednak



Robotnicy wracający do Stoczni Gdańskiej im. Lenina spod siedziby Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku, 14 XII 1970 r. W tle kościół św. Jakuba (AIPN Gd)

czynić tego ad hoc, zwłaszcza że nadal nie spełniono żądań robotników. Z tego powodu 14 lutego w świątyniach całej Polski wybrzmiał list pasterski Episkopatu, odnoszący się wprost do rewolty. Użyte w nim sformułowania były jednoznaczne: „w bolesnych wydarzeniach grudniowych niebacznie użyto broni. Wywołało to tragiczne w skutkach następstwa! Ulice miast Wybrzeża spływały krwią, a cały naród doznał głębokiego wstrząsu”. Biskupi wzywali cały naród do modlitwy za ojczyznę na specjalnie urządzonych nabożeństwach. Celem było uspokojenie sytuacji, bo „gdzie nie ma wewnętrznego pokoju, zagrożona jest niepodległość!”. Modlono się za ofiary tragedii, „za tych, którzy uważali za swój obowiązek obywatelski upomnieć się o słuszne prawa ludzi pracy”, ale też za sprawców nieszczęść i decydentów. Zbiórki na tacę przeznaczono na pomoc dla poszkodowanych i rodzin zabitych.

Wyważone stanowisko zajęte przez hierarchię w okresie kryzysu grudniowego pozwoliło na dalsze poszerzenie praw i wolności wyznaniowych i obywatelskich w ogóle. Było to zasługą długofalowego i realistycznego postępowania Prymasa Tysiąclecia, który metodą małych kroków walczył o autonomię religii, a tym samym kruszył komunizm w Polsce. ■



„Grudniowa kołęda. Kościół katolicki w Trójmieście wobec Grudnia '70”

Książka IPN Gdańsk, wydana w 50. rocznicę wydarzeń, stanowi pierwszą próbę kompleksowego przedstawienia reakcji Kościoła katolickiego na rewoltę grudniową 1970 roku w Trójmieście. Opisano w niej również działania władz komunistycznych, które w obliczu kryzysu starały się wykorzystać autorytet duchowieństwa do własnych celów.

PACHNĄCA REALEM

PREMIERA POWIEŚCI SZPIEGOWSKIEJ DOROTY KANIA!

Błyskotliwe spojrzenia pogromców rosyjskich służb specjalnych, aroganckie poczynania zbrodniarzy rodem z KGB i GRU oraz bardzo ciekawe mechanizmy werbowania agentów – również wśród dziennikarzy. Dorota Kania, autorka bestsellerowych „Resortowych dzieci”, napisała powieść szpiegowską. „Wschodni gambit” trzyma w napięciu od pierwszej do ostatniej strony. Wpędza czytelnika w nerwowe kalkulacje na temat tego, ile tu fikcji, a ile rzeczywistości.



Sylwia
Krasnodębska

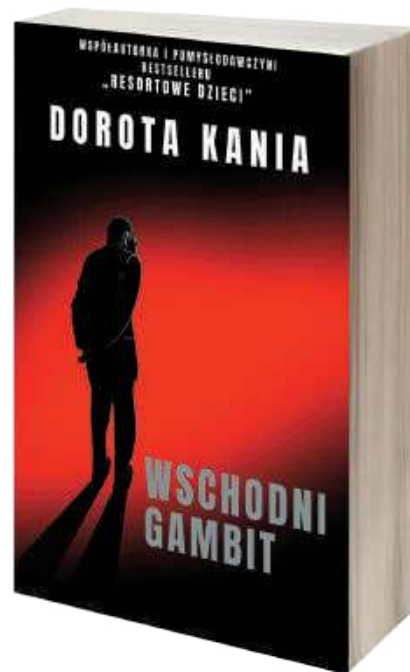
Ależ niespodziankę sprawiła naszym Czytelnikom dziennikarka „Gazety Polskiej” Dorota Kania! Wydała właśnie sensacyjną i wartką opowieść o brutalnych walkach frakcji byłej bezpieki, o wpływach agentów obcego wywiadu i siłach, które skutecznie destabilizują narodowość i spokój w Europie.

Profesor Stefan Nilsen tworzy złożony z młodych, ambitnych ludzi think tank. Grupa rozpracowuje agentów obcego wywiadu i bada ich wpływ na wydarzenia w Polsce i na świecie. A pracy mają pełne ręce, bo rosyjscy agresorzy wychowani w KGB i GRU nie zatrzymają się przed niczym, by odzyskiwać oraz rozszerzać strefy wpływów, i używając terroru, spełniać zapędy imperialistyczne. Nie

Można odnieść wrażenie, że fikcja stworzona przez Dorotę Kanię ma jednak wiele wspólnego z rzeczywistością.

dziwią więc tajemnicze wypadki, zamachy i śmierci. Dorota Kania sięga po znane nam fakty. Jak choćby rosyjską agresję w Czeczenii i na Ukrainie. Wplatając w to stworzone przez autorkę szpiegowskie intrygi i fikcyjnie stworzonych bohaterów, wcale nie banalizuje problemu rosyjskiego terroru. Wręcz przeciwnie. Pisząc wciągającą powieść, przeprowadza nas zwinnie przez meandry działania służb. Wprowadza w „chaos i mętne wody, w których towarzystwo spod ciemnej gwiazdy czuje się najlepiej”.

Są tu polityczne porwania, pranie pieniędzy, finansowy terror, dotowanie partii politycznej w Polsce, która ma dbać o rosyjskie interesy... Jest w końcu zdrajca, i to w zaufanych szeregach. Niejednokrotnie można odnieść wrażenie, że fikcja stworzona przez Kanię ma jednak zapach identyczny z naturalnym. Przywołanie nie tylko wspomnianych działań wojennych, ale też takich wydarzeń jak katastrofa Kurska czy podpalenie się przez Ryszarda Siwca, nie pozwala na bez-



Książka dostępna na stronie sklep.gazetapolska.pl lub pod numerem telefonu 722 111 655.

FIKcja Czy PRAWDA

Rosyjscy agresorzy wychowani w KGB i GRU nie zatrzymają się przed niczym, by odzyskiwać oraz rozszerzać strefy wpływów, i używając terroru, spełniać zapędy imperialistyczne...

troską lekturę oderwaną od znanych nam tragedii.

Najlepsze powieści szpiegowskie czy filmy, jak choćby przygody słynnego agenta 007, czerpią fakty z rzeczywistości. Profesor Stefan Nilsen, podobnie jak agent James Bond, nie miałby rąk pełnych roboty, gdyby nie imperialistyczne zapędy Rosji. I tylko autorka książki wie, czy podobieństwo zdarzeń w jej opowieści do tych prawdziwych jest przypadkowe. A największą wartością książki jest to, że Dorota Kania z gracją serwuje nam bardzo lekką lekturę jednocześnie bardzo ciężkiego kalibru.

GP

ZNÓW ZOBACZYĆ GWIAZDY

Piękne! Wzruszające! Od takich wykrzykników trzeba zacząć, pisząc o wydarzeniu operowym, które miało miejsce w mediolańskiej La Scali. Jak bowiem nazwać tegoroczną „premierę”, inaugurację sezonu w najszynniejszej włoskiej, a być może i światowej operze? To co zobaczyliśmy, przy wszystkich mankamentach wynikających z błyskawicznego trybu przygotowań, było czymś niezwykłym. Było znakiem tego, jak Sztuka potrafi wygrać z mrokiem czasu. I jak Piękno i Miłość niosą nadzieję tam, gdzie panuje zwątpienie.

NIETYPOWA INAUGURACJA SEZONU W LA SCALI



Tomasz
Łysiak

7 grudnia to data ważna dla miłośników opery, dla wszystkich Włochów, a dla mieszkańców Mediolanu w szczególności. W dzień św. Ambrożego, tradycyjnie od 1951 roku, w Teatro alla Scala odbywa się uroczysta premiera inaugurująca kolejny sezon. W tym roku po raz trzeci w historii teatr został zamknięty dla publiczności: pierwszy taki wypadek miał miejsce w sezonie 1897/98, drugi podczas bombardowań w 1943 roku. Jeszcze do listopada trwały próby „Łucji z Lamermooru” Donizettiego, ale zostały przerwane z racji COVID-u. Dyrekcja La Scali podjęła więc decyzję, by zrobić coś innego – specjalny koncert, a raczej widowisko operowe, które będzie transmitowane przez telewizję. Poszerzono scenę i przygotowano trzygodzinny spektakl,

wiązankę operowych hitów, arii i baletu. Do przedsięwzięcia zaproszono plejadę gwiazd. Publiczność zasiadła nie w teatrze, lecz w domowych fotelach. Całe „plateau”, parter, zajęła orkiestra. Całość, z batutą w rękę, poprowadził maestro Riccardo Chailly. A wystąpili m.in.: Ildar Abdrazakov, Roberto Alagna, Carlos Álvarez, Piotr Beczała, Benjamin Bernheim, Eleonora Buratto, Marianne Crebassa, Plácido Domingo, Rosa Feola, Juan Diego Flórez, Elina Garanča, Vittorio Grigolo, Aleksandra Kurzak, Francesco Meli, Camilla Nylund, Kristine Opolais, Lisette Oropesa, Mirco Palazzi, George Petean, Marina Rebeka, Luca Salsi, Andreas Schager, Ludovic Tézier, Sonya Yoncheva...

Same gwiazdy z najwyższej operowej półki. I tak – jako przegląd gwiazd – można było na pierwszy rzut oka odczytać tytuł przedstawienia: „A riveder le stelle” – „Znów zobaczyć gwiazdy”. Dopiero na koniec widzowie RAI1 i telewizji Medici dowiedzieli się, jaki jest drugi „sens” tytułu.

Zacznijmy od tego, że realizacja, którą zobaczyliśmy, zapierająca dech w piersiach, jeśli chodzi o użyte środki i biorąc pod uwagę tak krótki czas na przygotowanie – była znakomita. Użyto zdjęć z drona na zewnątrz, laserów, olbrzymich scenografii z filmów i przedstawień teatralnych, projekcji, efektów specjalnych. W arii „La donna è mobile” z „Rigoletta”, przy słowach „qual pium al vento” („jak piórko na wietrze”) pojawiły się setki piór wirujących w przestrzeni wokół śpiewaków. Stworzono wiele oddzielnych scenografii, była i woda, i przystań, i pociąg jadący w dal zimową porą, i wnętrze wagonu, w którym Tezier śpiewał arie z „Don Carlosa”; były fragmenty scenografii filmów, odniesienia do Felliniego, samochód unoszący się w górę, by wraz ze śpiewaczką frunąć nad Rzymem, na deskach ukazała się nawet kultowa Vespa.

Spektakl, jeszcze na intro pod napisy i zdjęcia Mediolanu z lotu ptaka, zaczął się nagraniem śpiewu zmarłej w tym roku Mirelli Freni. Przy wejściu do opery cze-

NA POCZĄTEK

Spektakl zaczął się nagraniem śpiewu zmarłej w tym roku Mirelli Freni. W tle zdjęcie z 1946 roku, gdy dyrygował Toscanini.

kała na widzów Muza, za której tanecznym krokiem wszyscy „weszli” do środka. Orkiestra czekała w ciszy. Na pustej scenie kobieta zamiatała podłogę, w stroju pracowników technicznych La Scali. Nagle przerwała sprzątanie, popatrzyła „w oko kamery” i zaczęła śpiewać a capella... hymn Włoch:

„Fratelli d'Italia,
L'Italia s'è desta”
(Bracia Włosi,
Italia wstaje, podnosi się...)

Ileż to znaczy dla kraju, który tyle wycierpiał w tym roku, w tym dramacie związanym z COVID-em. Drugą zwrotkę podjęli wszyscy: chór, pracownicy teatru, orkiestra i... nie dało się powstrzymać też. Już na wstępie.

A potem rozpoczęto koncert: Verdi, preludium z „Rigoletta” i aria „Cortigiani, vil razza”, fragmenty z „Don Carlosa”; Puccini i „Madama Butterfly”, „Turandot”; Bizet i Donizetti. Do tego Czajkowski – tańczące gwiazdy baletu. Śpiewacy – gwiazdy, gwiazdy, gwiazdy: od Roberto Alagni (aria



Nawiązania do ikon kina włoskiego, postaci z filmów Felliniego.

Cavaradossiego z „Toski”) przez Piotra Beczałę (który oprócz swojej arii zaśpiewał w zastępstwie za chorego Kaufmanna „Nessun dorma”), znakomitą Aleksandrę Kurzak, po Juana Diego Flòreza z kapitalnym wykonaniem „Una furtiva lacrima” z „Napoju Miłosnego”. I Lisette Oropesa z „Łucją z Lammermooru”, która szykowana była na premierę. Pomiedzy częściami spektaklu wpleciono fragmenty prozy i wiersze czytane przez znanych aktorów.

Oczywiście, można by dodać łyżkę dziegciu – czasem siadała dramaturgia, a czasem drażniły wątki współczesnej „publicystyki”, które w moim odczuciu nie były potrzebne... Nie, drodzy twórcy – „Tosca” to nie była akcja „me too” epoki napoleońskiej – to anachronizm!

W trakcie występu Placido Domingo, na wielkim ekranie, w formie projekcji, wyświetlane były ważne dla XX wieku postaci. Wszystko rozumiem, ale wplecenie w to widowisko Greta Thunberg to przesada... Ale pal sześć drobiazgi – całość była znakomita i w dodatku uniesiona na wyższy poziom dzięki wzruszeniu, które czuło się i u dyrygenta, i w orkiestrze, i pośród

śpiewaków – każdy dawał z siebie wszystko i jeszcze więcej. Bo to czas i chwila szczególna.

Na sam koniec pojawiło się wielkie zdjęcie z 11 maja 1946 roku. Toscanini stojący przed orkiestrą. Dyryguje po raz pierwszy

po wojnie. Po 15 latach wygnania z ojczyzny, po wieloletnim koszmarze. I o tym jest finalna opowieść. O tym, że opera, muzyka, sztuka ratują nas wszystkich. Że są nam potrzebne. Że żyjemy nie tylko chlebem, ale i duchem. Że Piękno wyzwala, lecz. Że Miłość wygrywa.

Kończąc relację telewizyjną, Bruno Vespa wyszedł z budynku teatru i stojąc pod słynnymi kolumnami La Scali powiedział, skąd wziął się tytuł spektaklu. To cytat z Dantego. Ostatni wers „Piekła”:

„Na koniec wyjdziemy, by ZNÓW ZOBACZYĆ GWIAZDY”. A zatem wyjść z tego, co trudne, złe, co nas doświadcza w ostatnim czasie, co doświadcza Włochów, którzy na święta Bożego Narodzenia muszą poddać się ostrym rygorom i być może nie spotkają swoich bliskich. Ale przecież na koniec wychodzi się na ulicę i patrzy w niebo. Aby „znów zobaczyć gwiazdy”. GP

Dyrekcja La Scali
podjęła decyzję,
by zrobić
specjalny
koncert, a raczej
widowisko
operowe,
które będzie
transmitowane
przez telewizję.

MZACISZE MELOMANA



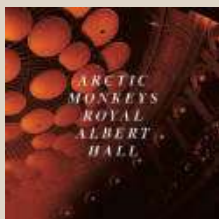
★★★★★

MIEJSKIE LEGENDY

Chłopcy Kontra Basia MRÓWKA ZOMBIE

Mysic

Kto odważy się pójść śladem tajemniczej zjawy Sumnambuli albo odczytać sygnał latarni z ulicy Modrej? Okazuje się, że żółty Polonez potrafi być równie niebezpieczny jak legendarna czarna Wolga, „jeśli cię spotka, to nogi bierz za pas” – przestrzega w kapitalnych tekstach wokalistka Barbara Derlak. To już trzecia płyta zespołu Chłopcy Kontra Basia, który w folkowo-jazzujących brzmieniach rozprawia się tym razem z magicznym światem miejskich legend. Bywa zabawnie, mrocznie, ale też niezwykle czarująco, jak choćby w zamykającej album, uroczej piosence „Zwiedzoczka”.



★★★★★

Z TĘSKNOTY ZA KONCERTAMI

Arctic Monkeys LIVE AT THE ROYAL ALBERT HALL

Domino Records

Dla wszystkich, którzy tęsknią za wielkimi koncertami i rock'n'rollowym szaleństwem, najnowszy album Brytyjczyków z Arctic Monkeys nieco złagodzi nerwowe odliczanie do końca lockdownu. Blisko półtoragodzinny zapis koncertu z londyńskiego Royal Albert Hall dostarczy taką dawkę emocji, jaka trafia się tylko na najlepszych muzycznych festiwalach. Lider zespołu Alex Turner dał z siebie wszystko, prezentując największe hity grupy i utrzymując publiczność w stanie nieustannej euforii. Dochód z płyty, podobnie jak z koncertu, muzycy w całości przeznaczili na cele charytatywne.

Przygotował

Marek

Kalinowski

KSIAŻKA { PODRÓŻE }

★★★★★

Wszystkie smaki przygody

„PALKIEWICZ.COM”

Jacek Pałkiewicz

ŚWIAT KSIĄŻKI, WARSZAWA 2020

Znakomitą większość ludzi piszących o podróżach, niezależnie od skali ich talentu, należy zaliczyć do „turystów”. Z osób znanych mi osobiście jedynie Jacek Pałkiewicz zasługuje (i to z nadmiarem) na nazwę „podróżnika”. Kogoś, kto schodzi z utartych ścieżek, stawia czoło wyzwaniom, bada granice ludzkich możliwości i dokonuje autentycznych odkryć – w jego przypadku było to dotarcie do źródeł Amazonki. W ciągu kilkudziesięciu lat od nielegalnego opuszczenia PRL-u wielokrotnie mierzył się z ekstremalnym ryzykiem. Przepłynął szalupą Atlantyk, odwiedził biegun zimna i biegun ciepła, czekał na własną egzekucję w Mali, ma wyrok więzienia w Dubaju... Ale „palkiewicz.com” jest przede wszystkim podsumowaniem bogatego życia, którym można



by obdzielić parę tuzinów śmiertelników. Autor dystansuje się od podziałów politycznych, co nie przeszkadza mu manifestować swojego moralnego konserwatyzmu,

pogardy dla politycznej poprawności, nie kryje braku złudzeń co do natury islamu czy rozczarowania schyłkiem Zachodu. Nawet jego zaangażowanie na rzecz ochrony przyrody wynika nie z jakiegos ekologicznego zaciętrzewienia, lecz z miłości do naszej planety. Jacek śmiało mówi o sukcesach, o życiu rozdartym między Polskę i Italię, o porażce, jaką poniósł, nie ucząc synów polskiego (dziś mieszkają w Szanghaju).

Obywatel świata, który równie dobrze czuje się w pałacach prezydenckich, jak i w ubogich jurtach, pokazuje, że można się pogodzić z własną starością, ale już z głupotą naszej cywilizacji niekoniecznie.

GP

MIX Kulturalny

sprawdź

JAK ZOSTAĆ GWIAZDĄ

Film pokazuje kulisy muzycznego talent show, w którym sława zależy nie od talentu, lecz od rozpętanych skandali i zakulisowych intryg. Tym razem jednak odbędzie się prawdziwa walka o zniszczone relacje rodzinne. Film „Jak zostać gwiazdą” już na VOD.

100

16 GRUDNIA 2020

poczuj

MIASTO SZTUKI

Dzięki akcji Warszawskiej Zachęty w przestrzeni stolicy zamiast reklam pojawiły się... dzieła sztuki. Zaskakującą kolekcję można oglądać na słupach ogłoszeniowych czy przystankach – są to prace Ryszarda Grzyba, Przemka Pyszczyka, Mateusza Szczypińskiego.

www.prenumerata.swsmedia.pl

★★★★★

Akcja dla widzów o stalowych nerwach

„MOSUL”

REŻ. MATTHEW MICHAEL CARNAHAN

NETFLIKS 2020

Grzegorz Wszolek

Mosul” rozpoczyna się nietypowo – oddział specjalny SWAT ratuje dwóch policjantów, usiłujących rozbić grupę islamskich terrorystów. Przeżyli, a w nagrodę jeden z nich, zaledwie 21-letni Kawa, przystąpił do grupy wyspecjalizowanych zabójców. Carnahan nie przedstawił nam jego życiorysu, portretu psychologicznego – nie wiemy kompletnie nic o chłopaku poza tym, że potrafi strzelać, a w policji pracował od zaledwie dwóch miesięcy. W dodatku od początku udowadnia nowym przyjaciołom, że nie jest zdrajcą na usługach ISIS. Wrażenie robi opanowanie i chłodny umysł lidera SWAT, który z czasem traktuje Kawę jak syna. Major za wszelką cenę chce dokończyć tajemniczą misję, a w toku wojny islamscy bojow-

nicy zabili mu połowę członków oddziału. Historia „Mosulu” szybko się zaczyna i równie błyskawicznie kończy. To całkiem udane kino akcji z masą krótkich strzelanin, wybuchów bomb, zabitych cywilów i trudnych do rozwiązania dylematów. Doskonale odwzorowano zniszczone w wojnie z ISIS budynki i ulice Iraku. Obsada aktorska jest w całości arabska, choć poza wspomnianym majorem nikt się nie wybija swoją grą. Minus należy postawić za zbyt banalny epilog w zestawieniu z aurą tajemniczości wokół misji. Być może Netflix powinien zdecydować się na kontynuację „Mosulu” w produkcji serialowej i pozytywnie zaskoczyć, tak, jak uczynił to z serialem „Fauda”.

GP



Dzieło Matthewa Michaela Carnahana jest konkretne, nie za długie, oddaje hołd funkcjonariuszom walczącym z ISIS. I co ciekawe, oparte jest na faktach z walk o Mosul.

FOT. MAT. PRAS., WIKIPEDIA



zobacz

AMERYKĘ W RZESZOWIE

W Rzeszowie otwarto plenerową wystawę „Polscy Amerykanie/Amerkańscy Polacy”. Jedną z ukazanych postaci jest ważna dla internetu kobieta – Susan Wójcicki, w której garażu powstała firma Google. Nie zabraknie również dziedzictwa Ignacego Jana Paderewskiego.



poszukaj

PAMIĄTEK Z WILANOWA

Pracownicy i przyjaciele Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie zachęcają do zbiórki artefaktów związanych z muzeum. Mogą to być albumy z rodzinnymi zdjęciami, filmy, pocztówki i inne pamiątki. Celem akcji jest stworzenie społecznego archiwum.



zrelaksuj się

Z „NIECODZIENNĄ GAZETĄ POLSKĄ”

Do każdego weekendowego wydania „Gazety Polskiej Codziennie” dołączony jest magazyn „Niecodzienna Gazeta Polska”. W nim m.in. Niecodzienna Lista Przebojów, cykl tekstów z dziedziny medycyny naturalnej i niecodzienny wehikuł czasu.

ODKURZYLIŚMY MUZYKĘ KLASYCZNĄ

18 GRUDNIA FINAŁ TALENT SHOW „WIRTUOZI”

Wyszehradzka edycja „Wirtuozów V4 +” przekłada na język muzyki polityczną, gospodarczą i kulturalną współpracę krajów z Grupy Wyszehradzkiej wraz z Serbią. Kultura i muzyka to pomost, który łączy ludzi od rodziny po rodziny krajów – mówi Mariann Peller, węgierska twórczyni i pomysłodawca talent show „Wirtuozów”.



ROZMAWIA
Sylwia
Krasnodębska

Jest Pani twórczynią i pomysłodawcą talent show „Wirtuozów”. Na Węgrzech program został zakwalifikowany do TOP 10 najpopularniejszych audycji telewizyjnych i jednym z najlepszych programów telewizji publicznej. Muzyka klasyczna przestała być niszowa?

„Wirtuozów” wystartowali sześć lat temu i mogę powiedzieć, że zrewolucjonizowali węgierski rynek telewizyjny, stając się w ciągu kilku tygodni jednym z najpopularniejszych programów emitowanych w telewizji publicznej. Format programu jest wyjątkowy, koncentruje się na odkrywaniu młodych talentów muzyki klasycznej, a następnie daje im możliwości rozwoju i występów, które w innym wypadku byłyby dostępne tylko dla niewielu. W ciągu ostatnich kilku lat show „Wirtuozów” stał się znaczącą węgierską marką i przedsięwzięciem, które jest rozpoznawalne na całym świecie.

Od momentu powstania programu jedną z naszych najważniejszych misji jest udowodnienie, że muzyka klasyczna nie jest zapomnianym, starym gatunkiem, ale sztuką, która choć ma najstarsze muzyczne korzenie, to od wieków pozostaje popularna. Nigdy nie wyjdzie z mody, jeśli będziemy pielęgnować i wspierać utalen-

towanych młodych ludzi! Znajdowanie i ukierunkowywanie odkrytych talentów oraz pomaganie potrzebującym jest stałą misją „Wirtuozów”, podobnie jak promocja muzyki klasycznej na całym świecie.

Czego masowy odbiorca szukać może w muzyce klasycznej? Za czym tęskni?

Sukces „Wirtuozów” wyraźnie wskazuje, że widzowie potrzebują programów wysokiej jakości. Naszym celem było przybliżenie szerszej publiczności muzyki klasycznej, bo obecnie niestety wspólne odwiedzanie opery czy sal koncertowych nie jest już rodzinną tradycją. Ludzie nie mogą cieszyć się wartościową rozrywką i chociaż sto lat temu nie istniało nic poza muzyką klasyczną, a dziś jest wiele bodźców i wrażeń dla dzieci, to muzyka klasyczna jest tylko jedną z wielu propozycji, które są ledwo znane. Jednak niezliczone badania naukowe dowodzą, że muzyka klasyczna pomaga również w rozwijaniu pamięci i przezwyciężaniu agresji. Z „Wirtuozami” natomiast udało nam się stworzyć „Muzykę klasyczną”. „Odkurzyliśmy” ją i uczyniliśmy modną. Obaliliśmy też wiele fałszywych stereotypów, na przykład ten, że ci, którzy szkolą się w dziedzinie muzyki klasycznej, na niczym innym się nie znają.

Jaki był dla Pani najbardziej szczególny moment w pracy przy tym talent show?

Kiedy zaczęliśmy realizację konkursu telewizyjnego opartego na muzyce kla-

sycznej, nikt nie dawał mu szansy. Nikt nie przypuszczał, że ludzie będą zainteresowani tego rodzaju programami emitowanymi w telewizji. Ale zwróciliśmy uwagę, że ludzie oglądają bzdury dlatego, że tylko to otrzymują. Pierwszy pokaz okazał się absolutnym sukcesem, ale musieliśmy przygotować ten program w sceptycznej atmosferze. Staram się nie używać słowa „porażka”. Wolałabym raczej powiedzieć, że schody prowadzące do sukcesu są czasami kręte i trzeba je pokonywać z większą uwagą. Ta podróż, która wciąż trwa, jest dla mnie bardzo długą, szczególną chwilą.

Międzynarodowa edycja programu powstała dzięki wsparciu krajów Grupy Wyszehradzkiej i Serbii. Ma to być ważny element zacieśnienia wzajemnych stosunków tych państw. Ministrowie resortów kultury wszystkich pięciu krajów partnerskich objęli program patronatem honorowym. Jak Pani ocenia taki rodzaj politycznej współpracy?

Wyszehradzka edycja „Wirtuozów V4 +” przekłada na język muzyki polityczną, gospodarczą i kulturalną współpracę krajów z Grupy Wyszehradzkiej wraz z Serbią. Kultura i muzyka to pomost, który łączy ludzi z najmniejszej komórki współżycia społecznego, od rodziny po rodziny krajów. Poprzez muzykę udowadniamy, że razem jesteśmy silniejsi. Program i jego misja mogą stworzyć pomost między krajami

CEL

Program ma promować klasyczną różnorodność muzyczną uczestniczących krajów, a także ich wspólną transgraniczną kulturę w Europie Środkowej i Wschodniej.



Europy Środkowej historycznie wystawionymi na próby, o wspólnej przeszłości i pokrewnej kulturze. Strategiczna, kulturalna współpraca ma charakter transgraniczny, podobnie jak muzyka, w której wszyscy możemy się rozpoznać.

Pomysł „Wirtuozi V4 +” zrodził się na samym początku, a konkretne negocjacje rozpoczęły się podczas ostatniej prezydencji Węgry w Grupie Wyszehradzkiej (V4). Ponieważ Węgry ponownie obejmą prezydenturę V4 w przyszłym roku, nadchodzi czas, aby marzenie stało się rzeczywistością, a w tym celu zmaterializowała się bezprecedensowa współpraca kulturalna. Oczywiście jest, że sercem i duszą wszyscy łączymy się w tym regionie. Tutaj, w tym programie, ekspresyjnym narzędziem do tego połączenia jest muzyka klasyczna, kultura. Gramy w tym samym języku!

Stworzenie tego programu było możliwe dzięki wsparciu Ministerstwa Zasobów Ludzkich rządu Węgry. Głównymi patronami V4 + są prezydent János Áder i jego żona Anita Herczegh z Węgry, Piotr Gliński, wicepremier i minister kultury i dziedzictwa narodowego Polski, oraz prezydent Aleksandar Vučić z Serbii.

Ten program to wymiana doświadczeń międzynarodowych. Co mogą zyskać nasze kraje na takiej współpracy?

Celem tego talent show, który służy również edukacji, jest promowanie klasycznej różnorodności muzycznej uczestniczących krajów, a także ich wspólnej transgranicznej kultury w Europie Środkowej i Wschodniej. Misją jest wspieranie młodego pokolenia, które jest dumne z siebie, swoich wartości i kultury oraz pracuje nad ulepszaniem świata. Staramy się zapewnić tym młodym ludziom pokarm duchowy i bogactwo kulturowe. To jest pokolenie, które może pomóc temu regionowi zająć czołowe miejsce w dziedzinie kultury i gospodarki w skali globalnej.

W jury zasiada wybitna śpiewaczka operowa, polska mezzosopranistka Alicja Węgorzewska. Jak Pani ocenia polską kulturę? Jest ona Pani znana?

Słynna przyjaźń polsko-węgierska opiera się również na naszych bardzo podobnych kulturach. Nasza historia sięga ponad 1000 lat, a muzyka klasyczna również wiele zawdzięcza obu tym krajom. Polska dała światu takich

kompozytorów jak Fryderyk Chopin, Henryk Wieniawski czy Witold Lutosławski, tymczasem Węgry mogą pochwalić się takimi kompozytorami jak Béla Bartók, Zoltán Kodály i Franz Liszt. Wszystkie ich utwory są często grane w najsłynniejszych salach koncertowych świata, a także w Budapeszcie i Polsce. Polska i węgierska muzyka klasyczna często czerpią inspirację z romantyzmu i korzeni muzyki ludowej, które również miały ogromny wpływ na uczestników V4 +. Jestem dumna i wdzięczna, że Polskę reprezentowała tak wspaniała osobowość i niesamowita artystka, jaką jest Alicja. Jest prawdziwym wzorem do naśladowania dla młodych talentów zarówno w życiu zawodowym, jak i osobistym.

Finał programu „Wirtuozi” 18 grudnia. Konkurują tu wybitnie uzdolnione dzieci. Czy nie obawia się Pani, że popularność i konkurencja mogą być ryzykowne dla rozwoju najmłodszych? Widzi w tym Pani jakieś zagrożenia?

Szukaliśmy i nadal szukamy młodych ludzi do udziału w programie, którzy są w stanie zrobić coś, co może być przykładem dla innych i ich kolegów. Ci, którzy pojawiają się na antenie, są wyjątkowi i utalentowani. Wszyscy uczestnicy albo urodzili się „cudami”, albo poprzez swoją muzyczną edukację i ciężką pracę zostali wprowadzeni w zawilość świata muzyki klasycznej i doskonale je znają.

Zdrowie, bezpieczeństwo i dobre samopoczucie naszych talentów muszą być najwyższym priorytetem dla wszystkich związanych z naszym programem. Bardzo ważne jest, aby talenty były traktowane uczciwie, ze zrozumieniem i współczuciem. Występowanie na żywo przed publicznością może być stresującym doświadczeniem dla młodego muzyka. Dlatego należy zapewnić uczestnikom najwyższe standardy opieki.

Czy tym programem spełnia Pani jakieś swoje marzenie?

My, twórcy i realizatorzy „Wirtuozów”, jesteśmy zagorzałymi wielbicielami muzyki klasycznej. Miałam to odważne i śmiałe marzenie, aby wartości muzyki klasycznej i miłość do muzyki klasycznej stały się dostępne dla coraz większego grona ludzi, a dzięki temu wyjątkowemu show to marzenie się spełniło.

GP

WOLAŁA ROLE OSÓB DOJRZALSZYCH OD NIEJ

Pamiętała spadające na Warszawę bomby w czasie powstania, działała w opozycji antykomunistycznej, współpracowała z ks. Jerzym Popiełuszką, upominała się o pamięć o ofiarach smoleńskich. Choć sama nazywała się kibicem działań niepodległościowych i dobrych zmian, była także ich współautorem. 7 grudnia w Łodzi zmarła wspaniała aktorka teatralna i filmowa, Katarzyna Łaniewska.

KATARZYNA ŁANIEWSKA

Jej ojciec był spółdzielcą „w dobrym znaczeniu tego słowa” i legionistą. Jak podkreślała, to on pokazał jej, że trzeba działać na rzecz interesu społeczeństwa. Jako „element niebezpieczny” został zamordowany w Auschwitzu. „To Niemcy go wykończyli, a nie naziści” – mówiła w Telewizji Republika dwa lata temu.

Kościół – miejsce prawdy

Z mamą i rodzeństwem przeżyła Powstanie Warszawskie i przeszła przez obóz w Pruszkowie. W 1980 roku współtworzyła strukturę NSZZ Solidarność w Teatrze Ateneum w Warszawie. Uczestniczyła w organizowaniu koncertów patriotycznych i kolportażu podziemnych wydawnictw. Współpracowała w tym okresie z ks. Jerzym

Popiełuszką. „W stanie wojennym krzepiła ducha i dawała nadzieję, przypominając strofy wielkich poetów podczas Mszy św. za Ojczyznę odprawianych w kościele św. Stanisława Kostki” – wspominał Jan Kasprzyk, szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.

„Miałam obiekcje, czy wypada przed ołtarzem stawać razem z kapłanami. Ks. Jerzy zapytał, czy chcę. Powiedziałam, że chcę, i tak zostałam. Dlatego, że Kościół był wtedy jedynym miejscem, gdzie można było mówić słowa prawdy. Ktoś, kto nie przeżył tych Mszy za Ojczyznę u ks. Jerzego Popiełuszki na Żoliborzu, to nie widział kawałka wolnej ojczyzny w tej zniewolonej wtedy przez stan wojenny Polsce” – mówiła w 2011 roku w „Rozmowie niezależnej” na vod.gazetapolska.pl. Ak-

torka przyznawała w rozmowie z Joanną Lichocką, że dziwiło ją, że dla wielu jej znajomych Kościół stał się później nie-modny. Jeszcze bardziej szokowało ją, gdy jej zaangażowanie w politykę, startowanie do Senatu z ramienia PiS w 2011 roku czy popieranie prezydentury śp. Lecha Kaczyńskiego spowodowało ostracyzm dawnych i kiedyś dobrych znajomych. „To, że mi odmawiano ról w teatrach czy kinie, to miałam wliczone, ale że przyjaciele, którzy bywali czy na wsi, czy w moim domu, których miałam bardzo dużo, bo zawsze byłam osobą bardzo otwartą, bali się, że ich zarażę takim czy innym poglądem na politykę czy życie – to było dla mnie przykre. Czułam się, jakbym kogoś zarażała” – wyznała na antenie Telewizji Republika w 2018 roku.



Sylwia
Krasnodębska

EMERYTKA NA PLANIE

W „Plebani” kreowała
postać gospodyni
księdza, babci Józ. Rozpoczęła pracę na
planie serialu, będąc
już na emeryturze.

Katarzyna Łaniewska nie bała się głośno mówić o swoich poglądach. Po tragedii smoleńskiej upominała się o prawdę na temat katastrofy. Wystąpiła w filmie Jana Pospieszalskiego i Ewy Stankiewicz pt. „Solidarni 2010”.

W 2011 roku na łamach „Naszego Dziennika” mówiła: „Chcę podkreślić, że pan prezydent Lech Kaczyński był moim prezydentem. Głosowałam na niego, miałam zaszczyt być przez niego odznaczona za swoją działalność w stanie wojennym. Dwukrotnie spotkałam się również z panią Marią Kaczyńską. Ona naprawdę zasługiwała na miano Pierwszej Damy. A te inne damy to niech sobie dalej chodzą i pokazują nam, jak się na przykład powinno jeść bezę. Bardzo cenię tych ludzi i te idee, które prezydent Kaczyński re-

prezentował. Dlatego w naturalny sposób poszłam na Krakowskie Przedmieście”.

W 2011 roku postanowiła wystartować w wyborach do Senatu z ramienia PiS. Nie dostała się. Pytana przez Joannę Lichocką w „Rozmowie niezależnej”, czy nie boi się wchodzić do twardej polityki, odpowiedziała krótko: „Ale ja jestem twarda”.

Była autorem artykułów do tygodnika „W sieci” (potem „Sieci”) oraz jednym z głównych mówców z ramienia organizatorów „Marszu Wolności i Sprawiedliwości” 13 grudnia 2015 roku.

Solska, Józia, Walentynowicz...

Ukończyła Akademię Teatralną im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie. Występowała w serialach „Czterdziestolatek”, „Klan”, „Ojciec Mateusz” i „Na dobre i na złe”. Na wielkim ekranie można ją było oglądać m.in. jako pamiętną Solską w filmach z serii „Kogel-mogel”, służącą Gajowca w „Przedwiośniu” Filipa Bajona i kierowniczkę domu dziecka w „Przesłuchaniu” Ryszarda Bugajskiego. Zagrała kilkadziesiąt ról w spektaklach Teatru Telewizji. Była aktorką warszawskich scen teatralnych: Teatru Polskiego, Dramatycznego, Narodowego i Ateneum. Współpracowała z Teatrem Ochoty. Była jedną z prowadzących telewizyjny program „Ziarno”.

W „Plebani” wykreowała postać gospodyni księdza, babci Józ. Rozpoczęła pracę na planie tego serialu, będąc już na emeryturze. Podkreślała, że lubiła tę rolę, bo mogła w niej przemycić dużo życiowej mądrości i własnego poczucia humoru. „Ja ciągle prosiłam scenarzystów, żeby pozwolili mi wyjść z kuchni. I udało się, jeździłam na rowerze, uczyłam się tańczyć, potem wysłano mnie na pielgrzymkę do Rzymu, a teraz będę jeździła samochodem” – mówiła. Wcielenie się w Annę Walentynowicz w filmie „Smoleńsk” Antoniego Krauzego było jej pierwszą po wielu latach przerwy rolą na dużym ekranie. „Nie mogłam zrozumieć kolegów, którzy odmawiali zagrania Pana Prezydenta. Koledzy w »Wielkim Czwartku« Krauzego grali przecież całe biuro polityczne i wtedy im nie przeszkadzało, że przedstawiali ideologię, z którą się nie zgadzali. Oczywiście

byli też tacy, którym nikt nie proponował ról, ale z góry deklarowali, że nie przyjmą propozycji” – wspominała na antenie Telewizji Republika.

Nie chciała grać postaci młodszych od niej. Wolała propozycje kreowania osób dojrzałych.

Przyjaciółka Strefy Wolnego Słowa

Była przyjacielem środowiska „Gazety Polskiej”. W „Rozmowie niezależnej” na vod. gazetapolska.pl mówiła, że: „Kluby »Gazety Polskiej« to jest wielka pozytywistyczna praca”. W swoje 80. urodziny, 7 lat temu, udzieliła wywiadu „Gazecie Polskiej Codziennie”. Aktorka w rozmowie z Janem Pospieszalskim nie bała się opisywać, co ją oburza we współczesnym teatrze. „Przez tydzień czy miesiąc przygotowywało się spektakl, a on szedł raz na żywo! Choć pamiętam, że »Granice« Zofii Nałkowskiej na życzenie publiczności powtórzyliśmy jeszcze raz. Jak Krystyna Janda gra po sto przedstawień w teatrze, to ja się śmieję. Kiedyś teatr był miejscem, które się szanowało. Aktorzy mieli buty specjalnie przygotowane na scenę. Kobiety nie chodziły w spodniach, tylko wkładały halki. W Teatrze Polskim na wielkiej scenie podczas »Dziadów« to, co mówiłam, musiało być słyszalne na drugim balkonie. Mimo że nie byliśmy naszpikowani mikrofonami, byliśmy słyszalni. Teraz, gdy chodzę do teatrów, to mimo nowoczesnych nagłośnień, nie słyszę kolegów. (...) Powiem coś obrazoburczego – w komunie cenzorzy potrafili wykazać się pewnym szacunkiem. Oni się snobowali na aktora, snobowali się na »Dziady«. I puszczali je. A teraz? Dupa w kostiumie kąpielowym. Jak zobaczyłam w moim Teatrze Polskim »Mazepę«, najpiękniejszy romantyczny dramat, to zrobiło mi się niedobrze. Podnosi się kurtyna, a tu panie w czerwonych kostiumach gimnastykują się na rurach. A w drugim akcie te same panie przebrane za siostry zakonne. To straszne, że dzieje się to teraz, kiedy mamy tę naszą wolność.

To jest obrzydliwe. A wtedy sztuki były prawdziwe. Fredro był prawdziwy. Więc jak już coś było wypuszczone, to z wielką troską, której we współczesnym teatrze nie widzę” – przyznała.

GP

Plan Liziniewicza

JEDYNY HODOWLANY OWAD

Jest rok 1980. Polska Rzeczpospolita Ludowa jest krajem, w którym brakuje dosłownie wszystkiego. Nieefektywne zarządzanie. Zakłady przynoszące straty. Ogólny marazm został jednak przerwany przez karnawał Solidarności. Powstają pomysły na wypracowanie narodowego dochodu. Jednym z nich jest... hodowla jedwabników.

CIEKAWOSTKI
O JEDWABNIKACH

5,5 tysiąca lat. Na tyle szacuje się historię hodowli jedwabników przez człowieka. Przez tysiące lat Chiny ściśle chroniły tajemnice o tym owadzie, a tkaniny jedwabne były na wagę złota.



CENNY KOKON

W pewnym momencie życia larwa jedwabnika przędzie z jedwabiu kokon. Nić stworzona dla jednego kokonu może mieć od 300 m do 2 km! Do wyprodukowania 1 funta jedwabiu (0,4 kg) potrzeba około 2000–3000 kokonów.



KARA ŚMIERCI

Chiny przez kilka tysięcy lat miały monopol na hodowlę jedwabników i wywarzanie jedwabiu. Było to możliwe dzięki dekretem cesarza, który nakazywał skazywać na śmierć każdego, kto podjął próbę przemycenia jajek jedwabnika.



Jacek
Liziniewicz

Jedwabnik morwowo to jedyny w historii ludzkości owad, który został udomowiony. Dzisiaj ten motyl nie występuje już na wolności, a odmiany, które są hodowane ze względu na nici, są praktycznie nieprzystosowane do naturalnych warunków. Wystarczyło 5,5 tys. lat podkładania pod nos jedzenia, by taki drobny owad był uzależniony od nas i naszego humoru. Nadal jednak jedwabniki się przydają, a tkanina z nici wytwarzanych przez jego larwy jest synonimem luksusu i dostatku. Dziś, podobnie jak 5 tys. lat temu, rynek produkcji tej tkaniny zmonopolizowali Chińczycy, ale jeszcze kilkadziesiąt lat temu wydawało się, że to Polacy wkroczą na jedwabny szlak...

Niezwykłe
wytrzymała nić
jedwabnika jest
o połowę cieńsza
niż najcieńszy ludzki
włos.

Dziadkowe dokumenty

Ostatnio w starych szafach rodzinnego domu znalazła się cała kartoteka dziadka z lat, kiedy ten zajmował się hodowlą jedwabników. Wacław Liziniewicz był na tyle skrupulatny i ceniony hodowcą, że jego larwy szły do dalszego rozrodu gatunku. Kartoteka świadczy o tym, że w 1953 roku po raz pierwszy wziął jajeczka owadów do hodowli. Zajęcie to kontynuował przez kolejne 30 lat, współpracując z Zakładem Badawczym Jedwabiu Naturalnego IWN w Milanówku i Centralną Doświadczalną Stacją Jedwabniczą w Żółwinie. Te dwa miejsca są szczególnie istotne

z punktu widzenia jedwabnictwa w Polsce, ale oba w zasadzie przestały istnieć. Do historii nawiązuje firma „Polski Jedwab” z Milanówka, która jest bezpośrednim kontynuatorem tradycji przedwojennych. Legendarnym założycielem firmy był bowiem Henryk Witaczek, który przebywając w Gruzji, ukończył m.in. kurs hodowli jedwabników. Po zakończeniu I wojny światowej w wolnej Polsce postanowił wykorzystać zdobytą wiedzę. Ze swoją

siostrą Stanisławą rozpoczął prowadzenie kursów hodowli jedwabników oraz badania nad różnymi gatunkami morwy i rasami owadów w Milanówku. W 1924 roku w CDSJ ruszyła produkcja jedwabiu. Wydawało się, że Polska jest o krok od sukcesu komercyjnego. Przed II wojną światową hodowlą zajmowało się 2,4 tys. producentów, a spadochrony

z tkaniny z Milanówka zaczynały podbijać światowe rynki. Hossa nie potrwała jednak długo. Wszystko zmieniła największa wojna w historii ludzkości, w czasie której również sięgnięto po nowe wynalazki, w tym oczywiście nowoczesne tkaniny, takie jak nylon. Te coraz częściej wypierały jedwab, gdyż były po prostu tańsze. Czy to oznacza, że popyt na jedwabniki się skończył? Nic bardziej mylnego. Jeszcze kilkadziesiąt lat po wojnie hodowla gąsienic się opłacała. Niestety, w latach 80. pojawiały się już symptomy kryzysu na rynku. Dlaczego?

FOT. ADOBE STOCK (O), WIKIPEDIA, PIXABAY

POLUB NAS
/GazetaPolskaPL



JEDWABNY SZLAK

Wiódł z Chin do basenu Morza Śródziemnego, a później na zachód Europy. Dawniej była to najważniejsza droga handlowa, kluczowa dla rozwoju gospodarczego. Do Europy trafiał jedwab, a w drugą stronę m.in. złoto i kość słoniowa.



JAPONCZYCY BIORĄ PRZEMOCĄ

Okolo 300 roku naszej ery wojska japońskie napadły na Chiny. W wyprawie udało się zdobyć kilka jaj jedwabników. Uprawdono też cztery Chinki, które zmuszono do nauczania swoich porywaczy zasad hodowli.



ZASŁUGA JUSTYNIANA

W Europie pierwsi zaczęli wytwarzać jedwab rolnicy w Bizancjum. Dwaj księża wystąpi przez Justyniana zdołali wykraść z Chin jaja jedwabników. Tkaniny wytwarzano w Konstantynopolu na potrzeby dworu cesarskiego.

ŚRODOWISKO

Żarłoczne larwy

W kartotekach dziadka zachował się list, który miał wysłać do Instytutu Krajowych Włókien Naturalnych. W korespondencji Wacław Liziniewicz opisał zarówno problemy, jakie stają przed hodowcami, jak i środki zaradcze, które należy podjąć. „Dotychczasowa hodowla jedwabnika morwowego w Polsce ma w dużym stopniu charakter amatorski. Nieliczne grono hodowców prowadzi ją jako źródło dochodów na większą skalę. Jeżeli nie zostaną wprowadzone pewne formy i zasady powiększania hodowli, ilość ich z każdym rokiem będzie maleć” – napisał w swoim liście z listopada 1980 roku. Dziadek nie mógł zrozumieć, dlaczego jedwabnictwo jest tak mało rozpowszechnione, gdyż hodowlę uważał za pracę „lekką, czystą i krótkotrwałą”, którą mógł wykonywać każdy. Z sondy rodzinnej wynika, że dwa ostatnie stwierdzenia są zdecydowanie prawdziwe. Rzeczywiście cykl hodowli jedwabników trwa około sześciu tygodni w roku. Historia zaczyna się od jajeczek wielkości ziarenka maku. Są one tak małe, że początkową liczbę jedwabników określa się w gramach. Dziadek hodował najczęściej około 20 gramów jajeczek. Problemem jest za to termin – czerwiec i lipiec, a więc miesiące wakacyjne, gdy młodociana siła robocza zwykle ma inne potrzeby. W każdym razie z jajeczka jedwabniki wykluwają się około dwóch tygodni, a następnie przez 39–40 dni trwa hodowla, która zwyczajowo dzieli się na cztery okresy odliczane



linieniem owadów. W początkowych okresach małe organizmy jedzą niewiele, jednak już pod koniec czwartego cyklu robią się żarłoczne i potrzebują nawet 28 kg liści dziennie! Te trzeba z morwy oskubać. Narwanie tylu liści, ich wysuszenie i podanie to praca z pewnością czasochłonna. Jak dowiedziałem się z rodzinnych opowieści, podobno apetyt jedwabników w końcowym etapie hodowli był tak duży, że z pomieszczenia, w którym urzędowały, bardzo wyraźnie dochodziło ich mlaskanie. W tym okresie 10 gramów jedwabników potrzebowało około 30 metrów powierzchni. Ostatni etap wymagał też zrywu rodzinnego. Gdy bowiem nadchodził 30. dzień od wyklucia się, gąsienice wchodziły na oprzędniki i wiły

wokół siebie kokon z jedwabnej nici. Ta oczywiście charakteryzuje się dużą wytrzymałością przy śladowej grubości. Dość powiedzieć, że nić jedwabnika jest o połowę cieńsza niż najcieńszy ludzki włos. W momencie, gdy jedwabnik się oprzędzał, trzeba było go zdjąć i oczyścić z waty, która go otaczała. Następnie cała produkcja trafiała do Milanówka. Zwykle za te 6 tygodni pracy otrzymywało się wynagrodzenie na poziomie średniej krajowej. Dlatego dziadek uważał, że kto żyw, powinien hodować jedwabniki.

Plan dziadka

Dziadek w swojej koncepcji twierdził, że wszędzie w ramach możliwości na gruntach publicznych należy sadzić żywopłoty



GANDHI PRZECIWKO

Przeciwny produkcji i używaniu jedwabiu był Mahatma Gandhi. Jego zdaniem łamało to zasadę nieszkodzenia przyrodzie. Aby bowiem uzyskać nić jedwabną, należało zabić larwę, zanim zmieni się ona w motyla.



MOŻNA JEŚĆ

Larwy tego owada spożywa się w wielu krajach, głównie azjatyckich. Potrawy z jedwabnika przyrządzają Chiny, Japonia, Korea i Wietnam. Ponieważ jedwabnik bardzo szybko rośnie, był proponowany jako źródło pożywienia dla astronautów.



NIE TYLKO JEDWABNIKI

Jedwabnik morwowy nie jest jedynym owadem, który produkuje jedwab. W przyrodzie jest wiele zwierząt, które mają odpowiednie gruczoły i mogłyby prząść nić, wśród nich znajdziemy na przykład niektóre mrówki.

W 6 TYGODNI

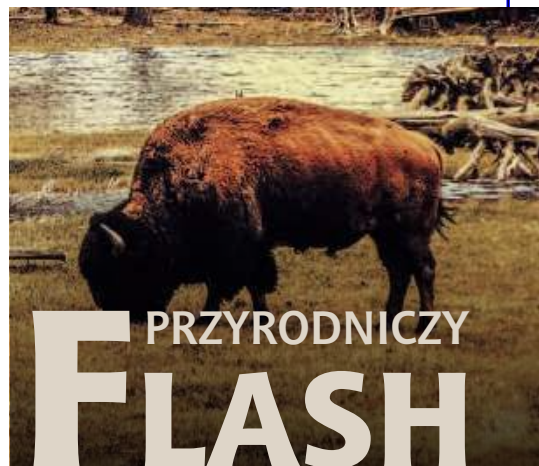
Cykl hodowli jedwabników trwa około sześciu tygodni w roku. Wszystko zaczyna się od jajeczek wielkości ziarnka maku. Z nich jedwabniki wykluwają się około dwóch tygodni, a następnie przez 39–40 dni trwa ich hodowla.

morwowe, a w hodowlę powinny być zaangażowane urzędy gminne, szkoły, harcerstwo, ośrodki kultury i duchowieństwo. „Jak wiemy, wiele jest instytucji w Polsce utrzymywanych z budżetu państwa i nie są one produktywne, więc przynajmniej w małym procencie mogą przynieść chociaż minimalną dochodowość” – pisał dziadek. Przy okazji wyprzedził również swoją epokę, bo już wtedy postulował m.in. programy telewizyjne o hodowli jedwabników czy szkolenia dla urzędników w gminach. „Wystąpić też należy z wnioskiem do Episkopatu Polskiego, aby zaapelował do społeczeństwa katolików o włączenie się do tej akcji. Tym bardziej że historia jedwabników w Polsce jest ściśle związana od XVI wieku z pierwszymi

jej hodowcami, którymi byli duchowni” – pisał dziadek.

W czasach dziadka nie było jeszcze internetu i Wikipedii, więc nie mógł wiedzieć, że jedwabniki mogą też być serwowane jako jedzenie (ponieważ szybko rosną, brano je pod uwagę jako pokarm dla kosmonautów), ani znać zastosowania jedwabiu w medycynie, a także nie mógł przewidzieć, że ważnym argumentem będzie wykorzystanie morwy zjadanej przez gąsienice na cele energetyczne. W każdym razie nic z tego, co postulował, nie zostało zrealizowane i pewnie dlatego około 2004 roku nad branżą jedwabnictwa zgaszono w Polsce światło. Dziś jednak znów pojawia się szansa. W Pracowni Hodowli Jedwabnika i Uprawy Morwy w Instytucie Włókien Naturalnych i Roślin Zielarskich pracuje się nad odtworzeniem uprawy morwy z gatunku *Żółwińska wielkolistna*. W planach znajduje się również rewitalizacja upraw morwy białej na cele energetyczne i spożywcze, zorganizowanie punktów skupu kokonów i szkolenia dla nowego pokolenia hodowców jedwabników. Z pewnością działamy o 40 lat za późno, ale też niewiele osób pamięta o tych pożytecznych owadach. Dość powiedzieć, że na portalu zrzutka.pl, gdzie Strajk Kobiet w kilka dni zebrał 1,5 mln zł, znalazła się również inicjatywa odtwarzania hodowli jedwabników. Z pewnością wiele osób uznało to za żart, bo w ciągu kilku pierwszych dni na zrzutkę wpłacono... 0 złotych.

GP



PRZYRODNICZY FLASH

ŻUBRY CZASEM TRZEBA ZABIJAĆ
Wojewódzki Sąd Administracyjny oddalił skargi aktywistów ekologicznych na decyzje Generalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska o zabiciu 20 żubrów z Nadleśnictwa Krynki. „Afera” o odstrzał zwierząt powstała kilka lat temu, gdy aktywiści zaczęli podkreślać niezasadność odstrzałów. Tymczasem zabijanie pojedynczych sztuk ma zapobiegać rozprzestrzenianiu się chorób, a także budować odporność całego dostępnego stada.



LWY OZDROWIEŃCY

Zoo w Barcelonie miało kłopot z chorymi lwami. Cztery drapieżniki zachorowały na COVID-19 i miały problem z oddychaniem. „Dla lwów było to niczym przeziębienie. Zwróciły naszą uwagę tym, że kaszały (...)”. Dziś wszystkie są już zdrowe – zapewnił Juli Mauri, dyrektor barcelońskiego zoo, wskazując, że infekcja u lwów zbiegła się z pozytywnym wynikiem badań na COVID-19 u dwóch opiekunów tych zwierząt.



HOBBY

Między innymi w USA, Chinach, RPA czy Zimbabwie przeprowadza się z uczniami projekty edukacyjne na bazie jedwabników. Powstała przez to populacja niekomercyjna, która ma gorsze wyniki w produkcji, ale jest bardziej odporna na choroby.



JEDWAB W OPERACJACH

Badacze ze Szpitala w Bostonie opracowali materiał wykonany z gąbczastego jedwabiu, który jest wszczepiany podczas operacji rekonstrukcyjnej w celu wsparcia lub restrukturyzacji uszkodzonych więzadeł, ścięgien i innych tkanek.



RUBINOWY skarb jesieni

Cierpkie i kwaśne owoce potrafią zdziałać cuda. Warto pokusić się o wyczarowanie kilku potraw z ich udziałem, bo nie tylko wzbogacą smak dania, ale też podreperują nasze zdrowie.

Indianie wykorzystywali żurawinę jako naturalny barwnik. W medycynie ludowej nazywano ją cytryną dla ubogich i stosowano w przebiegach, anginie, schorzeniach reumatycznych i na problemy z pęcherzem. Dieta bogata w żurawinę zalecana jest przy wielu infekcjach i niedoborach witaminowych. Ten niepozorny owoc jest składnikiem wielu preparatów ziołowych i herbat, które w okresie jesienno-zimowym wspomagają walkę z przebiegiem czy grypą i podnoszą odporność.

Żurawina jest nieodłącznym elementem w menu Podhala. Wszyscy amatorzy białego szaleństwa i grillowanych oscypków znają jej kwaskowaty i wyrazisty smak. Początek grudnia to czas, gdy świeże owoce żurawiny bez problemu można kupić na targach i w niektórych supermarketach. Zbierane po pierwszych przymrozkach są smaczniejsze, a jednocześnie zachowują wszystkie właściwości odżywcze i zdrowotne.

Owoce żurawiny są bardzo trwałe. Świeże możemy przechowywać w lodówce około 6 tygodni, zalane zimną wodą i wstawione do chłodnej spiżarni przetrwają nawet kilka miesięcy. Odpowiednio przygotowana żurawina będzie wspaniałym dodatkiem lub uzupełnieniem wielu dań. Można z niej robić konfiturę do serwowania z serem camembert, drobiem, rybami, ale też z dziczyzną i pasztetami. Żurawina świetnie smakuje upieczona w cieście. Można też zrobić z niej sok, a potem gotować z niego kisiel, robić domowe galaretki lub pić rozcieńczony wodą. Dorośli smakosze mogą pokusić się o zrobienie żurawinowej nalewki. Owoce oczywiście można po prostu ususzyć i jadać zimą, gdy tylko najdzie nas ochota na słodką i zdrową przekąskę.

GP



Iwona
Balcerak
TEKST I ZDJĘCIA



CZY WIESZ, ŻE...

Świeża żurawina może być przechowywana w lodówce nawet 2–3 miesiące. Nie psuje się, bo zawiera naturalne konserwanty – kwas benzoesowy i cytrynowy. Zamrożone owoce tracą jędrność, ale zachowują właściwości zdrowotne.

Żurawina suszona po namoczeniu w soku (najlepiej żurawinowym) smakuje niemal jak świeża.

W Polsce występują trzy gatunki żurawiny. Dziko rosnąca żurawina błotna i dwa gatunki uprawiane: drobnoowocowa i wielkoowocowa.

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl

PIERŚ KURCZAKA Z SOSEM ŻURAWINOWO-BALSAMICZNYM

4 pojedyncze piersi kurczaka
2 łyżki oleju
3 ząbki czosnku
150 g świeżej żurawiny
2 gałązki rozmarynu
125 ml bulionu drobiowego
1/2 łyżeczki otartej skórki z pomarańczy
2 łyżki octu balsamicznego
3 łyżki miodu
1 łyżeczka musztardy Dijon
sól i pieprz
sok z 1 pomarańczy

Piersi oprószyć solą i pieprzem. Rozbić najgrubszą część piersi, tak żeby kawałki mięsa miały równą grubość. Rozgrzeć olej na patelni. Na gorącym oleju smażyć piersi kurczaka około 2 minut do momentu, aż się zarumienią, następnie przewrócić na drugą stronę i ponownie smażyć, aż mięso się zarumieni. Zdejmij piersi z patelni. Zmniejsz ogień na średni i zeszklij drobno posiekany czosnek. Dodaj pozostałe składniki sosu: żurawinę, rozmaryn, bulion z kurczaka, sok i skórkę z pomarańczy, ocet balsamiczny, miód i musztardę. Sos zagotuj, dodaj podsmażonego kurczaka. Dopraw do smaku solą i pieprzem. Duś na niewielkim ogniu przez 5–6 minut. Następnie przewrócić kawałki kurczaka na drugą stronę i duś kolejne 5–6 minut. Piersi podawać polane sosem.

CZAS	40 min
KOSZT	30 zł
PORCJI	4
STOPIEŃ TRUDNOŚCI	łatwe

PIECZONY CAMEMBERT Z ŻURAWINĄ I PISTACJAMI

4 sery camembert zapakowane w drewniane pudełeczka
3 łyżki oliwy z oliwek
1 łyżeczka tymianku
1 łyżeczka słodkiej papryki
pieprz czarny
2 łyżeczki wytłuszczonych, pokruszonych pistacji
250 g żurawiny
4 łyżki trzcinowego cukru
50 ml wody
szczypta soli

Serki camembert wyjmij z opakowania i rozpakuj z folii. Drewniane spody opakowania wyłóż papierem do pieczenia. Tymianek, słodką paprykę i pieprz wymieszaj z oliwą. Górę sera delikatnie ponacinaj w kratkę, posmaruj marynatą, włóż do wyłożonych papierem opakowań i odstaw na 30 minut. Do garnka wlej wodę, dodaj żurawinę, sól i cukier. Gotuj na małym ogniu bez przykrywania, często mieszając, 30 minut. Gdy żurawina się lekko rozpada, puściła sok, a nadmiar wody odparował, odstaw z ognia. Serki zapiekaj w piekarniku w temp. 180 st. przez 15–20 minut. Podawaj gorące, bezpośrednio po wyjęciu z piekarnika, z kleksem ciepłej żurawiny i posypane pistacjami.

CZAS	60 min
KOSZT	25 zł
PORCJI	4
STOPIEŃ TRUDNOŚCI	łatwe



MISTRZ KIEROWNICY UCIEKA NYSA 522



Robert
Kilen

Niebieska nyska z białym napisem na boku była chyba najbardziej znienawidzonym autem PRL-u. Nazywano ją suką. W grudniu 1981 roku takie właśnie suki stały niemal na każdym skrzyżowaniu w centrum Warszawy. Będąc dzieckiem nie zdawałem sobie sprawy, że przeżywam jeden z najbardziej mrocznych okresów tzw. Polski Ludowej. A wręcz cieszyłem się, że przed Świętami Bożego Narodzenia, od niedzieli 13 grudnia, mam dodatkowe dni wolne. Rodzice nie dawali po sobie poznać, że czują wielką niepewność, co będzie dalej. Nie wiem, czy chodzili do pracy, czy mieli przymusowy urlop? Zapamiętałem natomiast, że nie mogliśmy odwiedzać rodziny, która mieszkała w innej dzielnicy miasta. Mieszkaliśmy wówczas w jednym z bloków przy moście Śląsko-Dąbrowskim, przez który wielokrotnie przed stanem wojennym przetaczały się demonstracje. Pamiętam, że często przez kuchenne okno wpadało niebieskie migające światło z milicyjnych samochodów stojących przy wjeździe na most. To do tych samochodów wpychano demonstrantów. Dlatego ludzie tych aut nienawidzili. Suki to były nysy 522, które weszły do służby w milicji w latach 70. Od cywilnej wersji odróżniały się kilkoma szczegółami. Przede wszystkim miały rozsuwane drzwi po obu stronach (model W, czyli wypadowy). Dzięki czemu ZOMO-wcy mogli szybciej z nich wychodzić, by rozpędzać protestujących. Te drzwi także znacznie ułatwiały pakowanie do suk zatrzymanych w demonstracjach bądź po prostu zgarnianych z ulic. Choć warto zauważyć, że dla aresztantów wyprodukowano inny rodzaj suki, tzw. model OK (ogólnokonwojowy). W tej odmianie główny przedział dla zatrzymanych znajdował się w tylnej części nadwozia. OK różniła się od modelu W brakiem szyby z boku za przesuwными drzwiami oraz jednoskrzydłowymi tylnymi drzwiami z dodatkowym zewnętrznym rygłem. Takie nyski służyły w różnych formacjach MO i MSW często jako pojazdy nieoznakowane. Kolejną modyfikacją odróżniającą je od cywilnych był dodatkowy zbiornik paliwa, zamontowany w celu wydłużenia zasięgu. Suka miała więc dwa zbiorniki

paliwa po 55 litrów każdy, oddziały ZOMO w razie potrzeby były bowiem przerzucane w różne miejsca w Polsce. Wybrzeże, Warszawa, Radom, Górny Śląsk, Poznań. Przecież było wiele punktów zapalnych na mapie. W stanie wojennym, gdy mróz był naprawdę srogi, funkcjonariusze MO cieszyli się natomiast, że nie zapomniano wyposażyć suk w ogrzewanie postojowe również z dodatkowym zbiornikiem paliwa i wlewem w tylnej części nadwozia. Na środku dachu natomiast znalazło się okno umożliwiające ewakuację milicjantów w przypadku przewrócenia przez demonstrantów radiowozu. Właz dachowy często wykorzystywano również jako stanowisko operatorskie, z którego funkcjonariusze filmowali demonstrantów.

Szyby suk zostały zabezpieczone kratami, które co prawda ograniczały widoczność, lecz chroniły załogę przez odłamkami szkła i kamieniami, którymi często obrzucano nyski. W przedniej części dachu znalazła miejsce charakterystyczna, nieco za duża w stosunku do rozmiarów samochodu lampa z podświetlanym napisem MILICJA, produkowana pod nazwą LBS-6 przez warszawską spółdzielnię inwalidów Elektra. Obok tej iluminacji montowano dwutonowy sygnał dźwiękowy Belma. Niektóre egzemplarze miały też dodatkowy zestaw do wydawania komunikatów głosowych z głośnikami Tonsil. „Proszę się rozejść” – to chyba najczęstsze słowa, które pamiętam z tamtych czasów. Radiostacja była montowana na podszybiu. To właśnie z niej dochodziły do milicjantów skrzekliwe dźwięki z „centrali”. Istotną rzeczą było to, że dostęp do silnika był zarówno z zewnątrz, jak i z wnętrza pojazdu. Podobno jednak ta możliwość nieczęsto była wykorzystywana, bo samochód ceniono za niezawodność. Mimo że samochody te były tylko narzędziami w rękach aparatu represji, to stały się symbolem siejącym postrach. I pomyśleć, że to było zaledwie 39 lat temu. A dziś? Nie trzeba mieć nawet przy sobie prawa jazdy w czasie kontroli policyjnej na drodze. Bo 5 grudnia wszedł w życie pakiet deregulacyjny, znoszący ten obowiązek. Tak więc daleko jesteście od 1981 roku. I dobrze.

GP

FOT. WIKIPEDIA

Jan
Przemyński

W SINGAPURSKICH RESTAURACJACH

MIĘSO Z PROBÓWKI PODBIJA KUCHNIE

Wygląda jak kurczak, smakuje jak kurczak, ale nigdy żywym kurczakiem nie było. Chodzi o mięso drobiowe, które naukowcom z USA udało się wyprodukować bez zabijania zwierząt. Będzie ono alternatywą dla mającego destrukcyjny wpływ na środowisko przemysłu hodowlanego. Sprzedaż żywności pochodzącej z farm laboratoryjnych została już dopuszczona m.in. w Singapurze.

Według szacunków organizacji ekologicznych hodowla zwierząt każdego roku emituje do atmosfery ekwiwalent ponad 7 000 000 000 ton CO₂, co stanowi około 15 proc. całkowitej antropogenicznej emisji gazów cieplarnianych. Co więcej, zapotrzebowanie na żywność wciąż rośnie, bo ludzi jest coraz więcej. Prognozy mówią, że w 2050 roku nasza populacja może wynosić 9,5 mld, czyli blisko 2 mld więcej niż teraz. Mając na uwadze powyższe statystyki oraz chcąc ograniczyć cierpienie zwierząt, naukowcy na całym świecie od lat starają się stworzyć zamiennik mięsa hodowlanego. Bardzo blisko osiągnięcia celu jest obecnie start-up Eat Just z San Francisco. Jego przedstawiciele wystąpili niedawno do

amerykańskiej Agencji ds. Żywności i Leków o pozwolenie na sprzedaż drobiu nie pochodzącego z uboju, lecz z wytworzonego w środowisku laboratoryjnym. Formalności nadal trwają. Nieco szybciej zareagowała Agencja Żywności z Singapuru, która dopuściła produkt na swój rynek. Początkowo pojawi się on w formie nuggetsów, które będą dostępne tylko w wybranych restauracjach, ale z czasem mają trafić także na półki sklepowe. Przeszkodą w natychmiastowej masowej produkcji mięsa z próbki są nie tylko pozwolenia, lecz także koszty. Wyhodowanie kawałka wielkości

chipsa wynosi kilkadziesiąt dolarów, ale doświadczenie uczy, by nie skreślać nowatorskich rozwiązań z powodu ich

wyjściowej ceny. Przypomnijmy, że wytworzenie za pomocą technik hodowli komórkowej in vitro pierwszego na świecie burgera wołowego kosztowało blisko 250 tys. dolarów.

Warto też wspomnieć, że nie tylko w Singapurze, lecz także m.in. w Tel Awiwie możemy już skosztować mięsa laboratoryjnego. Jedna z tamtejszych restauracji

Mięso in vitro nie wymaga zabijania zwierząt, lecz jedynie pobrania odpowiednich komórek, a następnie ich pozaustrojowej hodowli.

oferuje filety z kurczaka wytworzone przy pomocy technik hodowli komórkowej i inżynierii tkankowej.

GP

PLASTUSIOWY KOMENTARZ



1
WKRÓTCE BĘDZIEMY
ROZDZIELAĆ
UNIJNE FUNDUSZE!
MANEWRY KOLONIZACJI
TERAZ PRZYSPIESZYĆ MUSZĘ!

2
NIEKTÓRYM KRAJOM
STANIE W GARDLE OŚCIĄ
POWIĄZANIE WYPŁATY
Z UNIJNĄ
PRAWORZĄDNOŚCIĄ.



4
MAMY TU PAKIET – FUNDUSZE
DO ZWROTU Z PROCENTAMI
ALBO W INNEJ FORMIE
ROZLICZYCIE SIĘ Z NAMI.

5
ORAZ BEZZWROTNE, OBOWIĄZKOWE
DODATKI PRAWORZĄDNOŚCIOWE.
A W TEJ KSIĄŻECZCE ŚLICZNEJ
KARY I WYTTCZNE.



7
TAKIEGO KOMPROMISU
NIE BYŁO JAK ŚWIAT ŚWIATEM.
WYSTARCZY NAM OBIETNICA,
ŻE BĘDZIE ZGODNIE Z TRAKTATEM.



PRZECIŻ TO SĄ MANEWRY
NIEZGODNE Z TRAKTATEM!
UDERZĄ W SUWERENNOŚĆ,
NIE MA ZGODY ZATEM!

3



TERAZ KONKRETY...
PORZUCMY ILUZE.
CZAS NA KOMPROMIS
-TAKIE SĄ KONKLUZJE.

6



NO I KTO MA W EUROPIE
NAJWIĘCEJ DO POWIEDZENIA?

NIECH TERAZ NA BERDYCZÓW
PISZĄ ZAŻALENIA!

8



TEKST I KONCEPT
HELENA
TROJAŃSKA

**Konkluzje,
kompromisy i realia**

OBURZAJĄCA KRZYŻÓWKA

Piotra
Lisiewicza

Przysłali już Państwo dużo haseł do krzyżówki bożonarodzeniowej, ale ona dopiero za tydzień. Tym razem jeszcze krzyżówka bieżąca. Premier którego kraju napisał do Sorosa: „Twoje brudne pieniądze dla tak zwanych NGO to największe źródło konfliktów na kontynencie”? Do jakich sympatycznych czworonogów porównała Klementyna Suchanow zadających niewygodne pytania dziennikarzy? Jak nazywają się jaja żaby, których w przeciwieństwie do nienarodzonych dzieci skłonne były bronić kobiety z sondy Jaoka? To niektóre dzisiejsze pytania. Nagrodą główną jest dziś książka „Chłuba i zguba. Antologia najnowszej publicystyki patriotycznej”. Ci z Państwa, którzy nie wygrają nagrody głównej, mogą zamówić książkę na stronie sklep.gazetapolska.pl lub telefonicznie pod nr tel. 722 111 655.

Hasło krzyżówki wojennej sprzed tygodnia to przydomek Wojciecha Jaruzeńskiego SPAWACZ, nagrody przyznam za tydzień. Dziś wyróżnienia za krzyżówkę adwentową sprzed dwóch tygodni, tę z hasłem OCZEKIWANIE. Nagrody główne, czyli książkę prof. Andrzeja Nowaka „Filary niepodległości” otrzymują Jolanta Brzustowska z Lublina i Janusz Jasiorowski z Pionek. Niespodzianki trafiają do Urszuli Petzelt z Gorzowa Wielkopolskiego, Ireny Kuleszy z Sieradza, Sebastiana Żurawskiego z miejscowości Żarki-Letnisko i Mariana Antończyka z Tarnobrzega. Przypominam, że w naszej krzyżówce nagród nie losujemy. Rozwiązanie to hasło krzyżówki (tworzą je litery z kratek oznaczonych cyferkami w prawym dolnym rogu). Oprócz hasła podać trzeba OBOWIĄZKOWO propozycję haseł (wyrazów) do kolejnej krzyżówki wraz z opisem oraz Państwa adres. Ci z Państwa, którzy podadzą prawidłowe hasło krzyżówki i najciekawsze pomysły do krzyżówek kolejnych, mogą wygrać dwie nagrody główne i cztery niespodzianki. Nagrody można więc wygrywać wielokrotnie, decydują nadesłane pomysły. Koniecznie podawajcie nam Państwo swój adres, na który mamy wysłać upominki. Przypominam też, że rozwiązania krzyżówki dotrzeć muszą do nas do wtorku na e-mail krzyzowka@gazetapolska.tv.

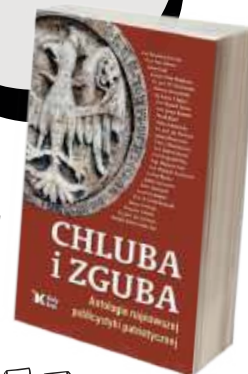
Piotr Lisiewicz

Regulamin konkursu dostępny na stronie www.gazetapolska.pl



ILUSTRACJA TREJOR

PODAJ HASŁO



BIJ SIĘ
O NAGRÓDY

POZIOMO:

6. Premier tego kraju napisał do Sorosa: „Twoje brudne pieniądze dla tak zwanych NGO to największe źródło konfliktów na kontynencie”
7. Polityk PO, który chował pieniądze w podwójnej szafce w szafie, a teraz sypia go koledzy
8. Lesbijka, która walczy o prawo do aborcji kobiet, które mogą zająć w niechcianą ciążę
9. Region Kaukazu, o który toczy się wojna między Azerbejdżanem a Armenią
11. Znany z tego, że jeździ komunikacją miejską do pracy, ale nie wie, jak skasować bilet
13. Porzucenie religii, do którego namawiał Strajk Kobiet. Po czym gdy stworzył licznik w tej sprawie, okazało się, że prawie nikt nie jest chętny
15. Rosyjski portal, któremu udzielają wywiadów politycy Konfederacji albo kacapska szczepionka na koronawirusa

16. Do tych sympatycznych czworonogów porównała Klementyna Suchanow zadających niewygodne pytania dziennikarzy
18. Sędzia, prezes izby w Sądzie Najwyższym, który ma być sądzony za zbrodnię komunistyczną
19. Polityk europejski, który stwierdził, że kocha walczyć u boku Polaków

PIONOWO

1. Prezes Orlenu, który w walce z Niemcami wstąpił się niczym Zawisza Czarny
2. Przestępca, autor rysztokowego bełkotu na YouTube, albo nazwa skorupiaka gnieźdzącego się w wilgotnych, ciemnych zakamarkach piwnicy
3. Skompromitowana nagroda dziennikarska, której kapituła przeraziła się posądzeń o brak poprawności politycznej

4. Kraj, który poparł argumenty Polski i Węgier w sporze o powiązanie funduszy z praworządnością
5. Najpierw darła się: „Konstytucja!”. A potem ją podarła na mównicy sejmowej
6. Tak nazywają się jaja żaby, których w przeciwieństwie do nienarodzonych dzieci skłonne były bronić kobiety z sondy Jaoka
10. Ksiądz, który występował w obronie Nergala i Margota, ale nie w obronie św. Jana Pawła II
12. urzędnik, który według Strajku Kobiet rozstrzygać ma spory między nieletnimi dziećmi a rodzicami
14. program TVN zatrudniający przestępcę skazanego za pedofilię
17. ten symbol w czasie ostatnich bolszewickich protestów zastąpił sierp i młot

Listy



OKŁADKA: TREVOR FOT; TYTUŁ: ZIMUEWSKI/PAP; ADOBE STOCK

Patriotyzm a targowica

Jest JEDNA recepta na patriotyzm – czynić wszystko, co jest korzystne dla mojej Ojczyzny. Jeśli cokolwiek jest korzystniejsze dla innych, a niedobre dla Polski, to już nie jest patriotyzm. Jeśli coś jest dobre dla innych, a nie uderza w nas, nawet jeśli nam nie przysparza korzyści, to możemy się z czyjegoś szczęścia cieszyć i pomagać mu. Opozycja natomiast robi wszystko, aby było korzystne dla innych (tzn. naszych wrogów – na przykład głównie Niemców, bo oni grają przeciwko nam), a niedobre dla Polski. I tego nie podciągnie się pod żaden patriotyzm, tylko pod targowickie zaprzaństwo. Przecież w historii Polski był już taki okres klękania przed ościennymi dworami i tak samo czynią dziś

zaprzańcy z PO, lewicy i innych zaprzańskich grup interesu.

Pol

Stary (biedny) Kontynent

Kraje Europy Zachodniej od kilku lat przypominają pojemnik na śmieci... Znajdziesz tam wszystko, co śmierdzi, rozkłada się, jest bezużyteczne, czym możesz zrobić sobie krzywdę i co wywołuje odruch wymiotny!

Gutek Kogutek

Nauka szacunku

Do czego doszliśmy w 2020 roku? Do tego, że ogłupione społeczeństwo popiera i wybiera na swoich przedstawicieli taką egzotykę jak Jachira, Spurek, Biedroń czy Lempart, o innych zdrajcach już nie wspominając. Prezydenci niektórych miast otwarcie wypowiadają posłuszeństwo rządowi w Warszawie. Posłowie opozycji w PE to współczesna targowica. Ludzie, czy chcecie, aby o naszych sprawach znów, jak kiedyś, decydowano w Berlinie? (...) Czy liczą się dla was w życiu tylko pieniądze, zapomnieliście, że jest jeszcze coś takiego jak Honor czy Ojczyzna, za niepodległość której nasi przodkowie oddawali często życie? Trudno pojąć, że nasz naród mógł

się tak skundlić. Przejrzyjcie dobre książki z historii Polski, może nabierzecie trochę szacunku dla własnej Ojczyzny i będziecie wtedy bardziej cenić jej suwerenność.

TakaPrawda

Lempart u Donalda

Opozycja totalna w Polsce nie pogodziła się z wynikami wyborów, a tym samym nie godzi się na państwo demokratyczne (...). Po co pojechała przywódczyni feministek do Brukseli i spotyka się z D. Tuskiem? Nie turystycznie, lecz w temacie, jak sprowadzić Polskę na ścieżkę liberałów i neomarksistów, czyli poprawności politycznej. (...) I cóż z tego, że ostatecznie pożegnamy się z kulturą, pamięcią polską, religią, szacunkiem do człowieka, poszanowaniem kobiety, całkowitą utratą ojca w rodzinie? Za to stworzony zostanie nowy człowiek, bezwolny człowiek, rządzony emocjami, zachciankami, pogardzający wyzwaniem życiowymi, za to będzie to idealny konsument wyborów serwowanych z gotowej listy.

Os

WAŻNE SŁOWA

Papież Jan Paweł II powiedział: „Brońcie krzyża (...) od Bałtyku do Jastr”. Brońmy krzyża, bo tylko pod nim, tylko pod tym znakiem Polska jest Polską, a Polak Polakiem.

Stary kocur

Adres redakcji:

ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Tel. (+48 22) 290-29-58
redakcja@gazetapolska.pl



redaktor naczelny Tomasz Sakiewicz, zastępcy redaktora naczelnego Katarzyna Gójska i Piotr Lisiewicz, sekretarz redakcji Martyna Hajdo-Trolińska (kier.), Małgorzata Wlankowska
kraj Piotr Lisiewicz (kier.), Dorota Kania, Piotr Nisiztor, Grzegorz Wierzbowski, Kaja Bogomilska, świat Maciej Kozuszek (kier.), kultura Sylwia Krasnodębska (kier.), Bohdan Urbankowski, Marcin Wolski, historia Tomasz Tyśiak (kier.), gospodarka Maciej Pawlak (kier.), publicystyka Piotr Grochmalski, Joanna Lichocka, Grzegorz Wszolek, obrona narodowa Igor Szczepanowicz (kier.), Konrad Wysocki, Jacek Liziniewicz (Środowisko), Jan Przemysław (Technika), Iwona Balcerak (Kulinaria), Grzegorz Broński (Kryminalni), Ryszard Kapuściński (kluby), stali felietoniści Ryszard Czarnecki, Tadeusz P. Płutowski, Jan Pospieszalski, Michał Rachon, Jerzy Targalski, Tomasz P. Terlikowski, Piotr Wielgucki „Matka Kurka”, Dawid Wildstein
projekt layoutu i logotypu Mariusz Troliński
nadzór graficzny i foto Mariusz Troliński (kier.), Krzysztof Lach-Kubica
DTP Paweł Chrzanowski, Aleksander Raczowski, Paweł Pawluszek, Maciej Kielkucki
sekretariat redaktora naczelnego Anna Kazimierzczuk
Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o., Wyszaków

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie zwraca niezamówionych materiałów.



Kontakt z czytelnikami, interwencje w godz. 9–13:
Anna Kazimierzczuk, tel. 603 117 483;
Ewa Wójcik, tel. 505 942 224
e-mail: kontakt@gazetapolska.pl
WYDAWCA
Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
Kontakt z działem reklamy:
e-mail reklama@gazetapolska.pl,
tel. (+48) 603 117 134
Kontakt z działem promocji:
e-mail promocja@gazetapolska.pl,

GAZETA-POLSKA
www.gazetapolska.pl



GAZETA-POLSKA

1. Kto złożył polskiemu władcy Zygmuntowi I Staremu hołd zwany pruskim?
2. Kto jest autorem słów: „A niechaj narodowie wždy postronni znają, iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają”?
3. Był sekretarzem królewskim i pisarzem politycznym, autorem m.in. dzieła „O poprawie Rzeczypospolitej”. O kim mowa?
4. Wewnątrz tej renesansowej budowli znajdują się nagrobki Zygmunta Starego i jego dzieci – Zygmunta Augusta i Anny Jagiellonki. O jaki zabytek chodzi?
5. Jak nazywają się ozdobne tkaniny, którymi dekorowano m.in. zamkowe komnaty?
6. Na którym polskim banknocie znajduje się podobizna króla Zygmunta I Starego?
7. 7. Pod koniec XVI wieku ukazało się pierwsze pełne tłumaczenie Biblii na język polski, znane jako...

FOT. WIKIPEDIA

ODPOWIEDZI:
1. ALBRECHT HOHENZOLLERN, 2. MIKOŁAJ REJ, 3. ANDRZEJ FRĄCZ MODRZEZOWSKI, 4. O KAPLICE ZYGMUNTOWSKĄ, 5. ARRASY, 6. NA 200 ZŁ, 7. BIBLIA WULKA

PRENUMERATA

Kontakt: prenumerata@swsmedia.pl

www.prenumerata.swsmedia.pl

Tel.: 605 900 002

Konto do wpłat: Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.

konto: Bank PEKAO SA

Nr konta:

82 1240 5963 1111 0010 3867 3017

(przelewy z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

Zamówienia książek na:

sklep.gazetapolska.pl

lub tel.: 722 111 655

Nr konta:

61 1240 6003 1111 0010 7516 5807

FELIETON

{ WRZUTKA }



Marcin
Wolski

REFLEKSJE GRUDNIOWE

Za rok upłynie 40 lat od wprowadzenia stanu wojennego w naszym kraju. Od tego czasu pojawiło się mnóstwo bilansów – wiemy, ile kosztowała nas ówczesna zapaść gospodarki, ilu młodych, wspaniałych ludzi opuściło w tym czasie kraj na zawsze. Niepoliczalna jest natomiast skala zmarnowanych nadziei, kapitału ludzkiej aktywności. Jak inaczej potoczyłyby się losy nas wszystkich, gdyby Solidarność przetrwała, gdyby władza zdecydowała się na kompromis, choćby taki, jaki zawarła po ośmiu latach. Po 13 grudnia coś w Polakach pękło i już się nie sklepiło. Mimo że wydawało się, iż jest szansa na sukces Polski Solidarnej w roku 2005, kiedy dwie partie wywodzące się z tradycji patriotycznej i wolnościowej – PiS i PO – pokonały wszechpotężną do niedawna lewicę. Wszyscy ponoszą odpowiedzialność za to, że nie doszło do POPiS-u, ale daleki jestem od dzielenia win po równo. Klucz do narodowej zgody miał Donald Tusk. Mógł po przegranej zamiast unosić się ambicją, zgodzić się na współwładzę i realizację zbliżonych programów. Wybrał jednak konflikt i wepchnął PiS w rząd z Lepperem i LPR-em. Po wygranej w 2007 roku zamiast zakopać topór wojenny i stwierdzić: będziemy lepsi, skoncentrował się na podłej walce z własnym prezydentem. Jej ukoronowaniem była katastrofa smoleńska i wszystko, co było potem – śledztwo oddane Rosjanom i przejmowanie każdego skrawka władzy. Nawet jej utrata w 2015 roku i kolejne przegrane wybory nie wymusiły żadnej refleksji, a przynajmniej zmiany strategii (Przede wszystkim szkodzić! – w kraju i na forum Europy), bez oglądania się na cenę. A jest nią coraz głębszy podział między Polakami. Jest w „Trylogii” Sienkiewicza znamienne porównanie dwóch słynnych zdrajców: Radziwiłła i Radziejowskiego – jeden umarł winniejszy, ale drugi szkodziłszy. Ciekawe, jak u przyszłych historyków wypadnie porównanie Wojciecha z Donaldem?

Wszyscy ponoszą odpowiedzialność, że nie doszło do POPiS-u, ale daleki jestem od dzielenia win po równo.

FELIETON

{ MYŚLI NIENOWE }



Tomasz
Łysiak

WYWAŻANIE OSTATNICH DRZWI

Mamy w tym roku równą rocznicę wydarzeń grudniowych 1970. Jednym z symboli tamtego czasu stała się śmierć „Janka Wiśniewskiego”, czyli tak naprawdę Zbyszka Godlewskiego, którego zastrzelili żołnierze LWP w trakcie gdyńskich protestów. Niesienie ciała zabitego Zbyszka na wyjętych z futryny drzwiach było inspiracją dla Krzysztofa Dowgiałły do napisania piosenki „Janek Wiśniewski padł”. To zdarzenie jest dla Polaków ikoną, pomnikiem w naszej zbiorowej pamięci. Również przez film Antoniego Krauzego „Czarny Czwartek”, ale i wiele innych odniesień w kulturze. Porusza mnie to osobiście może i z tego względu, że urodziłem się w grudniu 1970 roku, kilkanaście dni przed wydarzeniami na Wybrzeżu – to jakoś, z osobistego punktu widzenia, jeszcze mocniej uruchamia wyobraźnię. I być może z tego względu, że zostałem wychowany tak a nie inaczej, być może dlatego, że pamiętam komunę, stan wojenny i ZOMO na ulicach, tak a nie inaczej reaguję na zdziwienie i głupotę, która wylewa się w ostatnich miesiącach na ulice polskich miast. W październiku w trakcie tzw. strajku kobiet w Gdyni młodzi ludzie sparodiowali śmierć Zbyszka Godlewskiego i ponieśli jednego z manifestantów na drzwiach, jak esbecy w filmie „Psy” Pasikowskiego. Poza samym niesmakiem czy obrzydzeniem, jakie czuje Polak, widząc takie sceny, przychodzą jeszcze inne uczucia i myśli – chyba jakiegoś rodzaju niedowierzanie, zdumienie... Jak to jest możliwe, że doszliśmy do punktu, w którym popękały wszelkie granice? Punktu, w którym wolno targnąć się na świętości polskie i je zbrukać? To samo przecież można powiedzieć, gdy widzi się efekty działania dziczy dewastującej pomniki Jana Pawła II, obrzucającej je farbą i wypisującej na nich wulgarne hasła... Dokąd idziecie z tymi drzwiami Janka Wiśniewskiego na ramionach? Czy wiecie w ogóle, jakich symboli dotykacie? Czy w ogóle macie świadomość tego, co czynicie? Bo jeśli tak, tym gorzej dla was... Niestety.

Jak to jest możliwe, że doszliśmy do punktu, w którym popękały wszelkie granice. Punktu, w którym wolno targnąć się na świętości polskie i je zbrukać?



Katarzyna
Gójska

OKONIEM

WEWNĘTRZNI DYWERSANCI

FELIETON

Unia obrała kurs prosto na federalizację. Możemy się zatem spodziewać tylko wzmacniania presji na nas, na Węgry, na wszystkich, którzy będą postrzegani przez europejskie elity jako hamulcowi tego procesu. Do Polaków – przy najmniej zainteresowanej sprawami publicznymi większości – powinna docierać wiedza o tym, jak wygląda sytuacja, czym będzie skutkować uleganie naciskom lewicowego szaleństwa. Bo przecież nie chodzi tylko o głębokie przegranie naszej kultury, lecz przede wszystkim o interesy gospodarcze – ci, którym przysługuje mniej praw lub niższy status, zawsze będą wykorzystywani. Czy to oznacza, iż czas szukać drogi ewakuacji? Nie. Czas wyrobić w sobie odporność na wszelkiego rodzaju unijne naciski i prowadzić politykę maksymalizacji korzyści przy jednoczesnej twardej obronie suwerenności. Czas na walkę bez kompleksów, ale racjonalną, a nie szaleńczą. Unia nie jest żadną rodziną, grupą przyjaciół. Jest miejscem realizacji bardzo konkretnych interesów. I naszym obowiązkiem nie jest bycie miłym, empatycznym czy potulnym, lecz skutecznym – w walce o swoje; konsekwentnym – w realizacji korzystnej dla nas polityki i pewnym siebie – bo nie ma żadnej UE pierwszej czy drugiej kategorii. Negocjacje sprzed kilku dni pokazały, iż taka postawa przynosi korzyści. Pozwala osiągać zamierzone cele, czerpać profity i jednocześnie wzmacniać naszą pozycję przed kolejnymi starciami. Bo one bez wątplenia nadejdą. Ale by mierzyć się z nimi skutecznie, obóz Zjednoczonej Prawicy musi zewrzeć szeregi. Histerie na kilka dni przed decydującymi rozmowami są kompletnie niedopuszczalne. Musi zacząć obowiązywać absolutna jedność przekazu i jasność, kto prowadzi rozmowy. Żaden wicepremier czy inny minister nie mają prawa kołędować po unijnych gabinetach i wygłaszać swych spostrzeżeń po odbytych rozmowach. Bo to nie jest pomoc, lecz podstawianie nogi. Nie może być tak, że w przełomowych momentach część polityków obozu władzy upublicznia swoje rozterki albo wręcz zastanawia się, czy to nie jest



Unia nie jest żadną rodziną, grupą przyjaciół. Jest miejscem realizacji bardzo konkretnych interesów. I naszym obowiązkiem nie jest bycie miłym, empatycznym czy potulnym, lecz skutecznym – w walce o swoje; konsekwentnym – w realizacji korzystnej dla nas polityki i pewnym siebie – bo nie ma żadnej UE pierwszej czy drugiej kategorii.

ten moment, w którym należałoby zmienić sojusze. I nie chodzi o żadną cenzurę, kneblowanie czy cokolwiek innego, lecz o dojrzałość i świadomość, iż odpowiedzialność wobec Polski i wyborców wymaga rozumienia, jak należy działać podczas niełatwych negocjacji.

GP

FOT. ADAM GUZKOWSKI

Michał
Rachoń

Zakończony w ubiegłym tygodniu szczyt Rady Europejskiej z jego konkluzjami stanowił oczywistą realizację ogłoszonej wraz z zapowiedzią polsko-węgierskiego weta strategii negocjacyjnej.

WETO, CZYLI GRA, KTÓRA SIĘ NIE KOŃCZY

Polska zapowiadała jasno, że nie zgodzi się na przyjęcie wieloletniego planu finansowego UE wraz z tzw. koronafunduszem, jeśli mechanizmy badania praworządności przyjęte w Unii nie będą wynikały bezpośrednio z traktatów oraz jeśli ochrona finansowych interesów UE w drodze wynegocjowanego przez niemiecką prezydentkę, KE i PE mechanizmu warunkowości nie będzie odnosiła się wyłącznie do spraw finansowych interesów UE. Oba te warunki wpisane zostały do konkluzji unijnego szczytu, a więc stały się formalnym stanowiskiem najważniejszego ciała w Unii Europejskiej, czyli grona gromadzącego przywódców państw wchodzących w skład UE. W dokumentach czytamy m.in., że badanie praworządności w rozumieniu kwestii wartości, na jakich zbudowana jest Unia, może odbywać się wyłącznie w trybie art. 7 Traktatu o UE. Ta procedura prowadzona jest od dawna względem Polski i do wprowadzenia w jej trybie sankcji konieczna jest zgoda wszystkich państw. Na to w obecnych warunkach politycznych nie ma szans. W konkluzjach szczytu znalazły się też zapisy o tym, że ewentualne badanie praworządności w trybie rozporządzenia, które przyjęły już unijne instytucje, może dotyczyć wyłącznie spraw budżetowych i ewentualnych finansowych nieprawidłowości. Jest też zapis, że żadne inne czynniki, czyli na przykład sprawy dotyczące zagadnień LGBT, polityki migracyjnej czy reformy wymiaru sprawiedliwości, nie mogą być podstawą do uruchomienia mechanizmu warunkowości w rozumieniu przyjętego rozporządzenia. Jest również jasne sformułowanie, że lista powodów ewentualnego uruchomienia tej procedury jest zamknięta i nie może dotyczyć „zdarzeń lub czynników o innym charakterze”. Co więcej, państwa, których sprawy dotyczą, pozostawiają sobie jeszcze swego rodzaju hamulec bezpieczeństwa. Możliwość zablokowania całości porozumienia finansowego na etapie ich ratyfikacji. Parlamenty państw członkowskich oraz inne instytucje muszą jeszcze ratyfikować unijne porozumienie w części dotyczącej koronafunduszu. Jednak bardzo ciekawe i oddające w istocie sedno sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, jest stanowisko prezentowane przez niemieckich eurokratów z PE. Szef frakcji EPL, skonfliktowany z Angelą Merkel niemiecki polityk Manfred Weber, jest przekonany, że polityczne ustalenia szefów państw, czyli wybranych w demokratycznych wyborach we wszystkich państwach UE rządów, jego nie obowiązują. Uważa on, że instytucje unijne będą mogły dowolnie interpretować łamanie praworządności bądź jej brak. Bo decyzje szczytu

„nie mają mocy prawnej”. To stanowisko wskazuje, że gra się nie skończyła i w istocie będzie trwać tak długo, jak długo istnieć będzie organizacja zwana UE. Z jakichś powodów rządzący Unią są przekonani, że demokracja i rządy prawa obowiązują wyłącznie wtedy, kiedy państwa realizują liberalną wizję świata. Co jednak dzieje się, kiedy w demokratycznych państwach UE wybory wygrywają ugrupowania konserwatywne? Wówczas zdaniem pana Weбера i jemu podobnych należy użyć finansowej i politycznej przemocy, żeby złamać tego rodzaju poglądy obywateli. Pan Weber oczywiście myli się co do tego, że stanowisko szefów państw UE nie obowiązuje unijnych instytucji. Parlament Europejski czy Komisja Europejska są tylko organami organizacji międzynarodowych. Jako takie nie posiadają żadnej siły sprawczej. Mogą działać tylko w granicach nadanych im przez państwa. Przynajmniej formalnie wszystkie te państwa mają równy mandat do podejmowania lub blokowania decyzji Unii. Powoływanie się przez pana Weбера na to, jakie deklaracje są wiążące prawnie, a jakie nie, jest śmiechu warte, głównie dlatego, że to jego ugrupowanie pogwałciło traktatowe zasady, tworząc rozporządzenie dotyczące warunkowości wypłaty unijnych funduszy, które same unijne służby prawne uznały za niezgodne z traktatami. Polityczne i interpretacyjne pohukiwania, jakie słyszymy już dzisiaj zarówno ze strony polityków w Niemczech, Holandii, jak i opozycji w Polsce, są dowodem na to, że polityczny spór wewnątrz Unii w żaden sposób nie kończy się wraz z podjęciem rozstrzygnięć na szczycie. Będą kolejne próby przeciągania liny i politycznego pałowania Polski, Węgier czy innych państw w zależności od potrzeby. Jednak to sami eurokraci, urzędnicy KE i europarlamentarzyści przyjmując rozporządzenia niezgodne z traktatami, wskazali, że w przyszłości ani Polska, ani żaden inny kraj chcący pilnować swoich interesów nie będzie odwoływał się wyłącznie do traktatów, bo te zostały pogwałcone przez same unijne instytucje. Państwa nadal odwoływać się będą do politycznego ciała, jakim jest Rada Europejska. Za każdym razem, kiedy będą istotne decyzje do podjęcia, państwa pilnujące swoich interesów sięgać będą po groźbę weta i innych narzędzi politycznych, które wymuszać będą negocjacje pod presją ważnych dla innych spraw. Tak długo, jak będzie się to działo, Unia pozostanie organizmem wolnych narodów. W których obowiązuje podstawowa zasada demokracji: prawo tworzą politycy – po to, żeby realizować interesy obywateli, którzy właśnie w tym celu wybierają ich do władzy.

GP

FELIETON

Lotteria Świąteczna



Do wygrania

5 MILIONÓW

zakładów Lotto

oraz
ponad
500
nagród!



2x
Toyota
Yaris

20 x
SONY
Xperia 5 II



12 x
iRobot
Roomba s9



500 x
Bon upominkowy



Kup dowolne produkty za min. 6 zł. Wybierz grę Lotto i dodatkowo zyskaj szansę na jeden z **5 milionów** zakładów Lotto.

Pamiętaj, zachowaj kupon loterii promocyjnej!

Graj w punktach LOTTO i na

lotto.pl

 Informujemy, że w gry liczbowe i loterie mogą grać jedynie osoby, które ukończyły 18 lat.

Szczegóły i regulamin na lotteriaswiateczna.pl. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 26 listopada do 31 grudnia 2020 r. Liczba talonów jest ograniczona i wynosi 5 000 000 sztuk. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.